

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

**MOC**

Nr 3-4 (80-81) Zielona Góra 2022 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 3-4(80-81)2022

Prace plastyczne wykorzystane w numerze – Liwia Litecka

Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2022

Redakcja:

Andrzej Buck (redaktor naczelny), Ewa Mielczarek (sekretarz redakcji),  
Mirosława Szott (redakcja strony internetowej), Joanna Wawryk (korekta)

Stale współpracują:

Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak

Fotografie:

Archiwum Marii Fraszewskiej, archiwum WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Kamil Derda,  
Tomasz Gawałkiewicz, Adam Lizakowski, Anna Polak, Krzysztof Subocz, Karolina Waloch

Wydawca

Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida  
Al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru

Danuta Morawska

Druk i oprawa

Firma Reklamowa

Graf Media

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji

WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)

e-mail: [prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:prolibris@wimbp.zgora.pl), [www.prolibris.net.pl](http://www.prolibris.net.pl)

Publikację wydano przy pomocy finansowej  
Urzędu Miasta Zielona Góra  
i Zarządu Okręgu SBP w Zielonej Górze



# Od redakcji

Mijający 2022 rok dla „Pro Libris” jest rokiem jubileuszowym. Świętowaliśmy 20-lecie Pisma, co też sprzyjało wspomnieniom, podsumowaniom, a przede wszystkim spotkaniu z naszymi autorami i czytelnikami, tym razem nie na łamach, lecz osobiście – i dodajmy, że już bez maseczek i innych pandemicznych obostrzeń – podczas promocji monografii naukowej prof. Jolanty Chwastyk-Kowalczyk „Pro Libris”. *Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne (2001-2021)*, w październiku w Bibliotece Norwida.

Zamieszczone w numerze materiały dotyczące festiwali, konkursów i innych wydarzeń kulturalnych poświadczają, że w tym zakresie wracamy do przedpandemicznych aktywności. Poetyckie i prozatorskie plony pokonkursowe, których tym razem na łamach Pisma jest wyjątkowo dużo, również pokazują, że ostatni czas dla wielu był wyjątkowo twórczy.

Trudno jednak nazwać upływający rok spokojnym. Do – miejmy nadzieję – na zawsze ujarzmionej pandemii dołączyła kolejna plaga, najgorsza z możliwych – wojna. Oprócz poczucia niedowierzania i przerażenia, każdy z nas zetknął się w tym kontekście z poważnymi problemami oraz nieznanymi wcześniej zjawiskami w sferze społecznej, ekonomicznej, kulturowej i narodowościowej. Bliskość terytorialna działań wojennych, także przychylność narodu polskiego spowodowały napływ kilkumilionowej fali uchodźców z Ukrainy, co ma ogromny wpływ na mentalność Polaków, a także strukturę ludnościową naszego państwa. Lubuskie nie jest odosobnione w tym względzie. Nasi autorzy bardzo szybko zareagowali na okrucieństwa wojny, a ukraińska apokalipsa niejednokrotnie stała się kanwą tekstów napływających do „Pro Libris”. I tak, Ukraina pojawia się

w poezji Agnieszki Ginko (*Ukraińska noc, kamyk, od mamy, płotek*), w *Zapiskach na powitanie jesieni* Czesława Sobkowiaka (*Pomarańczowe pasma na niebie, Głos z Ukrainy*), prozie Wiesława Karlińskiego (*Garnek z pogranicza*). Wśród laureatów konkursu poetyckiego „Zielona Góra to ja” znalazła się rodowita Ukrainka, Sofia Derevianchenko, autorka wiersza *Zielone* (2. lokata). Do rosyjskiej agresji odnoszą się także poeci przywołani w eseju dr Joanny Wawryk (*Szkiełko i oko, czucie i wiara – współcześni literaci wobec tradycji Mickiewiczowskiej*), w którym autorka omawia almanach *Romantyczność 2022*, co z kolei wpisuje się w Rok Polskiego Romantyzmu.

Zestaw materiałów zamieszczonych w tym numerze jest różnorodny, nie zabrakło tekstów zaangażowanych, dotyczących aktualnej problematyki społecznej i politycznej. Idąc tropem kolejnego tegorocznego kataklizmu, jakim stało się zatrucie Odry, warto wskazać na – powstałe jeszcze przed klęską ekologiczną – opracowanie dr Anny Polak, która rzetelnie przypatruje się lubuskim ciekom wodnym, przyrodzie, osadnictwu i zabytkom (*Walory krajoznawcze Doliny Lubszy od Olbrachtowa do Jasienia*).

By nie przytłaczać czytelnika kolejnymi plagami, proponujemy nie ogłaszać kapitulacji sztuki wobec rzeczywistości i dać się porwać tekstom, a także... obrazom. W tym ostatnim kontekście zachęcamy do zapoznania się z pracami Liwii Liteckiej, której różnorodna twórczość ilustruje bieżący numer, a opis dokonań i prognozę na przyszłość tej uzdolnionej artystki zawierają szkice historyczek sztuki, Barbary Maculewicz i dr Lidii Głuchowskiej.

# Spis treści

<b>Jarosław Barańczak</b> , Wiersze [Tryptyk zielonogórski: Filharmonia, Ptaki, Wieża Braniborska] . . . . .	6
<b>Ryszard Jasiński</b> , deski na burtę, ale cełły na wieżę B. . . . .	9
<b>Jolanta Fainstein-Pasternak</b> , Wiersze [*** drzemie na wzgórku..., rytuał] . . . . .	11
<b>Paweł Rogalski</b> , Świątłość i ból . . . . .	13
<b>Irena Zielińska</b> , Wiersz [Zegarmistrz] . . . . .	20
<b>Władysław Edelman</b> , Żywot bałwana . . . . .	22
<b>Agnieszka Ginko</b> , Wiersze [Ukraińska noc, kamyk, od mamy, płotek] . . . . .	25
<b>Wiesław Karliński</b> , Garnek z poganicza. . . . .	29
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Wiersze [Ulica Chopina, Dzwon, Kościół Mariacki, Uliczka, Owocowa] . . . . .	32
<b>Elżbieta Kuna-Kwiecińska</b> , Konfesjonał nie rozgrzesza (fragment powieści) . . . . .	37
<b>Władysław Łazuka</b> , Wiersze [*** Śnieg..., *** Przyszła..., *** Być znowu..., *** Za oknem...] . . . . .	40
<b>Edward Derylak</b> , Tylko w jego uszach pykało. . . . .	42
<b>Roman Krzywotulski</b> , Wiersze [W porze kobiety, W porze człowieka] . . . . .	45
<b>Marek Krukowski</b> , Ciocia (fragm. powieści <i>Zapiski Bez Znaczenia</i> ) . . . . .	47
<b>Paweł Markiewicz</b> , Haiku . . . . .	51
<b>Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek</b> , Lipa, czyli opowieść lip(c)owa . . . . .	52
<b>Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek</b> , Majowa ulewa, czyli katharsis . . . . .	53
<b>Mirostaw R. Kaniecki</b> , Wiersze [Credo, Nie ma rzeki dzieciństwa] . . . . .	54
<b>Katarzyna Nowak-Szelejewska</b> , Bitwa o krowę . . . . .	56
<b>Anna V. Szewczuk</b> , Wiersze [*** Cieszę się latem..., *** Doceniam to co mam...] . . . . .	60
<b>Grzegorz Pełczyński</b> , Iluzja . . . . .	62
<b>Grzegorz Pełczyński</b> , Opowiadanie stewardesy . . . . .	63
<b>Dariusz Wojciechowski</b> , Wiersz [Czytałem] . . . . .	64
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Zapiski na powitanie jesieni . . . . .	65
<b>Agnieszka Rautman-Szczepeńska</b> , Wiersze [Proces, Ojcowie Kościoła] . . . . .	69
<b>Mirostaw R. Kaniecki</b> , Dzienniczek Wojtusia . . . . .	71
<b>Julia Gwóźdź</b> , Wiersze [twoja egzystencja jak stara kamienica, kolekcja świadomości, łachmany] . . . . .	73
<b>Marcin Mielcarek</b> , Krótka spowiedź z brudnego wieczora . . . . .	76

## ZBLIŻENIA

<b>Andrzej Draguła</b> , Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja dla Jarosława Barańczaka (laudacja) . . . . .	79
<b>Małgorzata Mikołajczak</b> , Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza dla Alfreda Siateckiego (laudacja) . . . . .	81
<b>Mirostawa Szott</b> , O wierszach Michała Banaszaka i przeprowadzonej rozmowie, której i tak nie opublikuję . . . . .	82
<b>Maria Fraszewska</b> , A to już historia sprzed prawie... trzydziestu lat. Wspomnienie Uniwersytetu Poezji prof. Dutki i... . . . .	84
<b>Henryk Warszawski</b> , Skwer Poetów . . . . .	89
<b>Eugeniusz Kurzawa</b> , Narracja założycielska Ziemi Lubuskiej. . . . .	90
<b>Ewa Mielczarek</b> , Młodzi zielonogórzanie lirycznie o swoim mieście. Konkurs poetycki „Zielona Góra to ja” . . . . .	94

<b>Mirosława Szott</b> , 8. Kozzi Film Festiwal „Kozzi – Krafftówna – Łomnicki”	98
<b>Anna Madaj</b> , Tym razem poetycko w Cafe Noir	101
<b>VARIA</b>	
<b>Joanna Wawryk</b> , Szkiełko i oko, czucie i wiara współcześni literaci wobec tradycji Mickiewiczowskiej	103
<b>Adam Lizakowski</b> , Jerzy Giedroyc – Norwidem XX wieku	109
<b>KRAJOBRAZY LUBUSKIE</b>	
<b>Anna Polak</b> , Walory krajoznawcze Doliny Lubszy od Olbrachtowa do Jasienia. Część I	114
<b>PREZENTACJE</b>	
<b>Liwia Litecka</b>	120
<b>Barbara Maculewicz</b> , Transpozycje rzeczywistości. Wczesny etap twórczości Liwii Liteckiej	122
<b>Lidia Głuchowska</b> , Twórczość Liwii Liteckiej – panorama z perspektywą	124
<b>RECENZJE I OMÓWIENIA</b>	
Duch czasów	
Zofia Mąkosa, <i>Makowa spódnica. Kamień w wodę</i> ( <b>Joanna Kapica-Curzytek</b> )	127
Męcząca samotność	
Marek Krukowski, <i>Jamimoje</i> ( <b>Marcin Mielcarek</b> )	128
Bez wartościowania	
Rainer Sachs [i inni], <i>Leksykon artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska</i> ( <b>Berthold Oskar Kandora</b> )	129
Wiersze mądre, zaangażowane i dociekliwe	
Roman Krzywotulski, <i>Po tamtej stronie granicy</i> ( <b>Marek Pankowski</b> )	131
Murki, czyli niekoniecznie wyższość poetyckiej formy nad treścią	
Maria Jolanta Fraszewska, <i>Płonące języczki/Tongues in fire</i> ( <b>Robert Rudiak</b> )	132
Poezja i wymowne zbiegi okoliczności. O czytaniu <i>Jeszcze żywych</i>	
Mirosława Szott, <i>Jeszcze żywi</i> ( <b>Weronika Nawrocka</b> )	136
„Szkice Nadobrzańskie” po 20 latach. Pismo Regionu Kozła! ( <b>Eugeniusz Kurzawa</b> )	138
Ambicje sięgające kosmosu	
Magdalena Salik, <i>Płomień</i> ( <b>Anna Madaj</b> )	139
Okładka, która obiecuje ucztę literacką i treść, która rozczarowuje	
Agnieszka Jelonek, <i>Trzeba być cicho</i> ( <b>Weronika Nawrocka</b> )	140
Rozważania liryczne dojrzałej kobiety	
Katarzyna Jarosz-Rabiej, <i>Spojrzenie spod kapelusza</i> ( <b>Anna V. Szewczuk</b> )	142
Na pełnych obrotach	
Marcin Mielcarek, <i>Sztuka latania</i> ( <b>Joanna Kapica-Curzytek</b> )	143
<b>KSIĄŻKI NADESŁANE</b>	145
<b>AUTORZY NUMERU</b>	146

## Tryptyk zielonogórski

### Filharmonia

Kiedy odchodził stąd Mesjasz,  
na kasztanach płonęły liście. Noc  
szła przez miasto czerwona od gniewu.  
Za nią płynęły dni, wszystkie  
ciężkie i słone. Mgłami wiszące  
nad bezwzględny oceanem.  
Przychodził i nie widać było  
odpływu. W uliczkach milczały ptaki,  
dzieci nosiły w tornistrach  
zamazaną atramentem przyszłość.

Aż wrócił na plac świergot wróbli,  
jak figury skrzypcowe w Mozartowej mszy.  
Przez uchylone okienne witraże  
nieśmiało wymknęły się fugi Bacha,  
czekano już tylko na Haendla.  
Nad miastem zagrzmiało radosne  
Alleluja z Haendlowego oratorium.  
I deszczem spadły niekończące się oklaski.



**Ptaki**

*Józefowi Burlewiczowi*

Latałem kiedyś nad tym miastem  
z zielonym wzgórzem i wąskimi uliczkami.  
Pijany Bachus prowadził mnie pod rękę,  
z Mozartem i z wróblami w zawody,  
przez liście kasztanów, zaglądałiśmy  
do nieba. Olśniewało granatem obrazów  
Burlewicza. W nich zamknięty był ptak  
bez prawa do odlotu. Czekaliśmy,  
ścigając się z synami na rowerach.  
Któregoś dnia wylegliśmy na obudzone place,  
nad katedrą fruwały anioły i dziś nie wiem,  
dlaczego tak wiele z nich połamało skrzydła.  
I był teatr radosny i smutny niekiedy,  
jak czas, gdy pod stopami hufców giną  
fortece przeszłości, a kolibry nie nadążają  
z lotem nad polami kwiatów. Wędrowałem  
później szerokimi ulicami świata, jak ptak,  
który odchodzi i wraca, przysiada  
na zielonym wzgórzu i pije sok  
z niedojrzałych jeszcze winogron.

**Wieża Braniborska**

*astrofizykowi  
Profesorowi Januszowi Gilowi*

Kepler nie wpadał tu z kolegami  
na kwaśnego rieslinga,  
ani mu w głowie nie powstało  
wiązanie tego miejsca z fizyką niebieską.

Słuchał w Pradze treli ptaków,  
rozważał metafizykę Arystotelesa.  
Pewnie z zaświatów, a może  
z własnej gwiazdy poznał tę wieżę

i profesora Gila. Podglądałem ich  
z okna otwartego na rozległe przestrzenie.  
Zagnieździli się na sąsiednim wzgórzu  
i niespodziewanie wynieśli miasto

w przestworza. Gdzie supernowa spotyka się  
z czarnymi dziurami, a kto wie  
może nawet, przez kosmiczny  
teleskop, z keplerowskim Bogiem.

# deski na burtę, ale cegły na wieżę B.

1. Nie idź za mną. Nigdy. Nigdzie.
2. Powieść, której za nic nie chciałbyś przeczytać, jest tą, którą za wszystko pragnę napisać.
3. Nie wiem, kto bohaterką, lecz ona to moja absolutna biel na tle nieubłaganej ciemności.
4. Kiedy siedziała na niewidzialnej górze. Miała naszyjnik z liter. Ubrana była w mroczną przeźroczystą suknię. A gdzie okładka, gdzie kartki, gdzie tytuł, gdzie szpalery słów? Aż szedł sobie autor. I mówi do niego: „Idź tędy”. To rzekłszy, zaraz znikła. Ale nie umiał pisać. Ale nie umiał czytać. Ale był ślepy. Ale był głuchy. Ale nie miał rąk. Ale nie miał nóg. Ale go nie było. Zabawne, pomyślał autor, nie ma mnie, a mam o niej pisać.
5. Oczywiście, akcja nonsensowna, odstręczająca. Poszatkowana. Nic z niczym się nie spleta. Opcja: ciurkiem.
6. Gdyby książka miała być zwierciadłem rzeczywistości, najpierw jej autor powinien oślepnąć i ogłuchnąć.
7. Narracja to wężowaty myśliwy polujący na autora.
8. Wyrzekam się własnego genomu, lecz nie podporządkowuję się sumieniu kolektywnemu.
9. Patrzę w oko pustki... więc akcja niech skowyczy z nieistniejącej książki na nieistniejący świat.
10. Żadnego przestania, żadnej gnozy. Morał? Nauka? Nie i nie. Koślawca estetyka.
11. Czytania nie porównuj z włóczęgą czy podróżą, raczej utożsamiaj je z nocnym wpatrywaniem się w siebie dwóch drzew, z których jedno przylaszczką.
12. Nie zakładam maski kronikarza ani protokolanta. Gardzę faktami. Pomiatom autopsją. Prycham na realizm i surrealizm. Pierzcham od prokuratorskich czy detektywistycznych metod. Patrzę na jej pragnienie.
13. Pisarz jest dla paru (jako kwiatuśzek we flakonie).
14. Fikcja to inaczej realizm odwrócony na właściwą stronę.
15. Pisząc się też łączywie, powieść własne istnienie odczuwa identycznie jak wymyślony przez nią autor.

## machina

Gdy sierpień zwoływał ulegałki do podołka, es stawał na wprost maszyny, która zdejmowała koła, ażeby nie odjechać. Korba rozjuszała silnik, śmigający pas transmisyjny rozbrykiwał bęben młóćący, który porykiwał: „Mummu, mmmłłłuu”. Stodoła wyrzucała snopy. Widły ważyły ich ciężar. Nóż rznął powrósł. Żdźbła kładły się równo na blacie, pohukujący wał z bolcami wyłuskiwał ziarna. Czule przyjmowały je worki. Puste kłosa chłonał pazerny brzuch maszyny. Podajniki przesuwwały wymiętoszoną słomę ku rozdziawionemu otworowi, plewy i kurz napełniały ogłuszone powietrze. Powrósła niecierpliwiły się, zgarniały słomę. Worki ze zbożem po drabinie wspinały się na strych. Skrzynia przyjmowała ziarno.

Żwawy nóż rozsmarowywał masło. Plastry kiełbasy kładły się na pajdy. Pomidory cięły się na ćwiartki, wędzonka – na cieniutkie paski. Patelnia smażyła jajecznicę. Czajnik gotował wodę na herbatę. Szklanki i kubki mościły się obok talerzy. Es ryknął, sapał, zamilkł, pas sunął coraz wolniej, młockarnia zamara-

ła. Trześnie paćkały się kurzem. Pot kapał z nosów. Woda myła ręce. Szklanki z herbatą przymilały się do dłoni. Maszyna odzyskiwała koła, ciągnięta przez szparkiego siwka sunęła do następnej stodoły. Wytargane snopy wracały do sąsiedka. Wieczór podczołgiwał się do chat, rozochoczone gwiazdy ufnie wsiąkały w poszarpane obłoki.

## 0000

Za podestem z kości albo czach, lecz trochę przed (określanie relacji przestrzennych zależy od koloru i kąta oświetlenia, które coraz szybciej przemieszczają między oczami) tkwią w jednym ciełę.

– Ciele, nie ciełę, a ciele, w jednym i tym samym różnym ciele.

– Widzę, że ciełę.

– My nie widzimy.

– Dlaczego? Jak to? – Jestem chętna założyć się o swoją głowę, że są niekompletni. Moje oczy postrzegają, jak trzeba, pokazują właściwe informacje o rzeczywistości. Do tego je przeznaczone.

– Nie raczymy odpowiadać za twoje niedorzeczne pytania. Niepotrzebnie doradzamy, zanim zabierze się pani za uporządkowanie własnej głowy, prosimy poczytać neurofizjologów. Na początek *Pamięć nieświadomości*. Będzie nielekkie. Samych opracowań na temat kontekstu oddziałującego asocjacyjnie na mózg wydano na kilka tysięcy lat studiowania.

– Z raportów analityków, którzy wsiąkali w twoje pokręcone, nieskładne i jałowe życie, wynika, że jesteś niesynchronizowana ze swoimi zmysłami, chociaż masz klepki i na dodatek dubeltowe.

– Dlaczego nie było cię tu w roku 1410, ściśle 15 lipca?

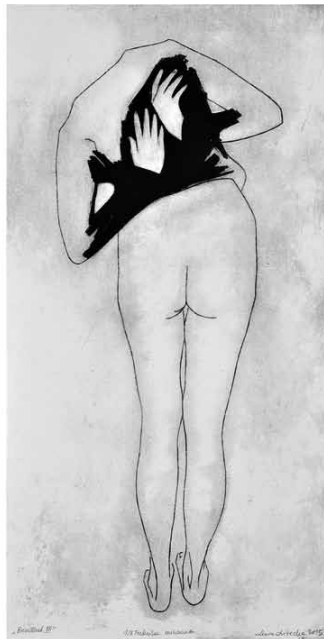
– Urodziłam się dopiero w 2002 roku.

– Zapisać, oskarżona i tym samym skazana nie stawiała się w wyznaczonym terminie.

– Przecież wtedy jeszcze nie byłam...

– Zaprotokołować, skazana i tym samym ścięta potwierdza, że nie była w czasie, jaki jej określono.

Hipotetycznie to realny świat. Czas się rozprężył, wskazówki robiły, co chciały, nikt za nic nie odpowiadał, wszystko szło bez trybu, a ludzi mieli za nic. Komunikacja zastępcza. Przy ruinie cegielni pusty zegar nadal oczekiwał na peronie, który zlikwidowano na przełomie stulecia, choć w zgodzie z faktami kominy nie produkują lokomotyw.



\*\*\*

drzemie na wzgórku młodym  
ledwie zbiałokwiaconym  
sennie falując  
śniąc  
miękkie południe na zielonej trawie  
ozłocone efemerycznym dotykiem  
matka zachodzi w ciążę  
rodzi do oporu  
bez grymasu i soków  
ukorzenia się  
ma milion mężów  
pochłania ich wraz z nowym życiem  
triumfalna celebrytka  
pozwala podziwiać się gapiom

**rytuał**

muślinowy podmuch wiatru  
porywa spoconą skórę szamanki  
do tańca wokół ogniska

iskry domu umarłych  
wskrzeszają ich  
kołując nad płasami zbawionych

największe oczy dziecka  
ukradkiem chłoną zakazane myśli  
wykuwając w pamięci swoje fatum

wybijany rytm jest krnąbrny  
silniejszy od wiatru  
tłucze  
budząc umarłych  
przedwcześnie dając początek  
nowemu cyklowi

# Światłość i ból

Między kosmosem a stepem puch biały rozmawiał z czarnym wiatrem, śpiewał pieśń posępną stary, pomarszczony szaman. W czapie z wilka, z piórami sokoła i bębнем w rękach. Śpiewał cicho, nisko i gardłowo pod ten dziwny zefir. A ten czarny wiatr zamieniał się w chłodną i lepłą czerń. I niósł się pod niebo, do kosmosu. Pajęcza dłoń biła w instrument, biła miarowo i głośno. Powieje, poszepcze, popluje, ten ciemny podmuch i uniesie biały puch. Czarny wiatr nad równinami Azji.

– Nieś się, puchu! Nieś... Zamień się w zimny śnieg. Bądź sprawiedliwy, bądź miłosierny. Puchu biały, śniegu niemy i bezgłośny.

Szaman pieśń ponurą śpiewał: stepie spragniony, stepie samotny, stepie niekochany.

Skulony starzec siedział na zimnym wzgórzu na granicy Mongolii i Kazachstanu. W kościstych palcach trzymał pióro stepowego sokoła. Mazał nim powietrze. I ciągle śpiewał nisko i gardłowo – między kosmosem a stepem puch biały z czarnym wiatrem rozmawiał.

Biały puch spadał niechętnie na pożółkłą trawę. Drżał na dźwięk głosu czarownika. Spowalniał i nie grawitował. Ciapkował żałobnie azjatycką perię.

Czarny wiatr, czarny wiatr, czarny... Zamieniał się w przezroczysty i tam daleko za granicą Kazachstanu niósł prawdę i smutek, żal i zagładę, zmartwienie i pokutę.

– Nieś się, śniegu! Nieś... Wiej, czarny wietrze, wiej! Nieś ludzką mowę! Nieś!

Zmęczony śpiewem szaman zasypiał, siedząc w kucki. Tylko jego siwy koń skubał trawę i stróżował. Patrzył na stepowego czarodzieja i wnikał w jego sen. Potem układał się przy nim i zasłaniał jego ciało przed wiatrem, czarnym i elegijnym. Śnili już obaj.

Pierwszy śnieg, jesienią, wczesną, taką październikową pokrył step warstwą lepłą i ciężką, podbarwioną przybrudzoną zielenią. Tylko wtedy rozpuływał się szybko. Niepewny i zawstydzony jakby przytłapany na grzechu, znikał jak pobity chłopiec z kradzionym owocem z sadu. W grudniu na Nowy Rok kostniał i sztywniał – zabielał step jak wielkanocny barszcz. Wiosną, lodosreń przypominał poczerniałego trupa porzuconego na brzegu morza. Ktoś zamordował umarlaka i pozostawił na piasku. Truposz martwiał i rozpadał się. Nie pozostawiał po sobie odoru. Jedynie wspomnienia groźne i ciche; czerń samotnego ciała.

Wiosną też w okamgnieniu topniał, pozostawiając śniegową wodę, która nie wsiąkała. Z lotu stepowego sokoła widać było plamy ruchome i groźne jak niebieskie galarety. Śnieg martwy północną zimą ożywiał się, w kwietniu i maju, aby doznać chwil przemienienia. W blasku przemienienia nie było nadziei i ciepła, lecz chęć pustej i zimnej zemsty, wyrównania rachunków za naruszenie praw przyrody – człowiek wtargnął w terytorium stepu, zniewolił go krzywdą ludzi, ich nocami bez snów, dniami ze strachem; uwiódł ideologią socjalizmu, prawdą demokracji, technologią wstrętu i rozpusy.

Na wiosnę, kwiecień lub maj wszyscy mieszkańcy wioski, Točki nr 34, zasiedlonej przez Kazachów i w mniejszej części przez Słowian: Polaków, Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, wiedzieli, że najpierw męt- na i zmijowata woda zaleje jedyną „błogosławioną drogę” łączącą wieś z główną arterią komunikacyjną,

a potem może i podejdzie jak głodny i chory wilk pod domy. Niepokój, który minął po surowych mrozach i męczących buranach, teraz na nowo pojawił się w oczach mieszkańców.

Noce były nieprzespane i nerwowe; dni mimo ciepła puste i przygnębiające. Słońce roztopiało biel zimnego stepu, ale było słabe, żeby nieść nadzieję i spokój. Światło księżycy, nieruchome i intensywne odświeżało prawdę zbliżającej się powodzi.

Nad wsią unosiła się trwoga.

Aby ją zmniejszyć i uciszyć, muzułmanie modlili się w ciasnym, błękitnym meczecie, katolicy w domu przerobionym na kaplicę, prawosławni palili świeczki i klęcząc, zasypiali na podłogach, a niewierzący opowiadali sobie sny i interpretowali je, kłócąc się i płacząc nad ich znaczeniami.

Wieś w nocy nie spała.

Zamieniała się w rozświetlony szpital, w którym przeprowadza się całodobowe operacje na sercu. Wiosna jak chory upiór majaczyła nad wsią. Przemieszczała się pod oknami, podsłuchiwała pod drzwiami, wchodziła do obór i rozmawiała ze zwierzętami. Po stodołach i stertach siana siadała i śmiała się krzykiem wariata.

Sława, akim (wójt) wsiadał do swojej starej, zielonej nivy i objeżdżał drogę opasającą wioskę. Robił to regularnie po południu. Troska i zmartwienie ogarniały go, kiedy przez okurzone szyby oglądał bezbronność kropli światła. Ukochał wieś, gdzie się urodził i urodziły się jego dzieci, wieś deportowanych, wieś naznaczoną matematyką krwi i cierpienia.

Jego samochód przybrudzony, ochlapany błotem widać było, jak sunie po cienkiej linii szarobrunatnego stepu. Akim wiedział, że woda, ta podstępna i zimna, pomaga kołchozom i roli pod uprawę, ale niesie strach i grozę. Kwiecień i maj, te przekłete miesiące nie rozpoczynały wiosny, ale były prologiem do dziennika nieszczęść. Akim przez telefon komórkowy kontaktował się z władzami z rejonu. Fotografował i wysyłał zdjęcia, opisywał poziom wody i czekał... Niewiadoma uspokajała go. Cieszył się, gdy administracja wysłała instrukcje i obiecywała pomoc. Niestety, woda podnosiła się i rosła na żółto-brunatnym stepie jak wrzód.

Służby meteorologiczne ostrzegały: uderzenie powodziowe miało nastąpić tej nocy albo następnej.

– Żeby odstąpiła – modlił się do nocy, do księżycy, do chłodu bijącego ze stepu. – Żeby nas zostawiła...

Jeśli nas zaleje, zaleje i cmentarze, ten kazaski i ten drugi, gdzie chowano Słowian. Popłyną trupy i trumny, krzyże i księżycy... A co z bydłem? Mieszkańców można zebrać do nowej szkoły. Jest na wysepce. Tam jest schronienie.

Ale co ze zwierzętami? Popłyną strumieniem jak ścięte drzewa z lasu. Nikt ich nie zatrzyma; nikt ich nie znajdzie... Co dalej?

Akim podjeżdżał pod rogatki wsi i sprawdzał poziom wody. Stał nad brzegiem, a umoczone buty szeleściły w wodzie. Patrzył w czarną i posępną dal, czekając na sygnał nadziei, chociaż ona był milcząca i nie dawała odpowiedzi. Podsumował dzień – mieszkańcy mają zapasy jedzenia na miesiąc, woda jest zgromadzona w starych kołchozach, tych dwóch nieczynnych; są przygotowane łodzie i motorówki... I najważniejszy komunikat z centrali – czy fala uderzeniowa podejdzie pod wieś i osłabnie, czy jednak uderzy? Najczęściej zalewała tylko drogi, otaczała wieś i zatrzymywała się na wałach...

Rozświetlone okna nie gaśły. Ludzie wyprosił sny i marzenia ze swoich wnętrz; pozastawiali lustra, aby nie odbijały zmartwienia i smutku. Przygotowali walizki, worki i plecaki. W każdej chwili mógł przyjść SMS z komunikatem proszącym o pozostawienie domu i wyjście.

Wioska zamieniła się w rozświetlony ul. Patrząc na Toćkę nr 34, akim wiedział, kto topi się w blasku światła.

Przy brzegu, na skraju stał jego dom z 97-letnią babcią, którą deportowano z Estonii. Światło z okna było złote i ciepłe, małe i sięgające ciemności stepu. Staruszka spała. Pewnie była jedyną osobą na stepie, która umiała zasypiać spokojnie bez nienawiści. O czym teraz śni? O dzieciństwie i pociągu do Kazachstanu, krowach w wagonach i ślicznym maju, tu na stepie, kiedy tak pachniał... O swoim mężu, żołnierzu, któ-



ry nie wrócił z frontu w 1941 roku. Chociaż babcia mówiła, że na przepustce zimą 1944 roku został wysłany. Jak to było, że ktoś w taką mroźną noc stukał do jej drzwi... A potem na śniegu ślady wojskowych butów, które całowała. A tam, spojrzął na okno i otwarte drzwi, z których biło czerwone światło, jak z sauny razem z parą. Dom Kazachów, którzy wrócili z Mongolii. Z tego blasku, łagodnego rozczepienia złotego koloru wyskakują konie, kopytami rozpraszają światłość, a ona jak złocista mgła leniwie osiada na stepie. A tam... spojrzął w głąb wsi – matka z córką. Syn, który rozbił się na motorze dwa lata temu. A tam...?

I nagle wszystkie światła zebrały się w jedno, wyszły z wszystkich okien i jak smok wiły się przez drogę, aż podeszły pod jego niwę. Złoty smok wypiął się i stanął wertykalnie:

– Bądź jak Noe – szepnął. I jego głos delikatnie musnął powierzchnię wody, która pomarszczyła się.

– Zbierz mieszkańców i po jednym z bydła i ptactwa. Zaprowadź wszystkich do szkoły. Tam przeczekajcie. Uderzenie fali nastąpi jutro w nocy.

Smok jęknął, opadł na step i rozplątał się. Akim podniósł szybko telefon i spróbował sfotografować ognistego smoka. Blask znikł, ale przed tym trzasnął w powietrze jak strzały z broni myśliwskiej. Śniegową wodą znowu pomarszczyła się groźnie i mruknęła.

Najpierw mężczyzna cofnął się, oniemiał i nie poruszył się przez kilka chwil. Potem palcem przesunął po telefonie, szukając fotografii smoka. Wchodząc do nivy, dalej dotykał plastikowej nawierzchni telefonu. Kiwał głową i dziwił się, że zobaczył złotego potwora. Uruchoił silnik. Ruszył. Nagle zatrzymał pojazd. Otworzył drzwi.

– Przecież to idiotyczne – powiedział do siebie. – Idiotyzm... Ludzie nie uwierzą. Nie mogą uwierzyć!

Kaplica przy sklepie spożywczym jeszcze się świeciła. Akim wszedł w chłodny półmrok, gdzie puste ławki i krzesła modliły się zamiast wiernych. Drżące świece stały po obu stronach ołtarza. Proboszcz klęczał i wyglądał jak kopiec ziemniaków na jesiennym polu. Krzyż z bladym ciałem Jezusa pochyłał się nad podłogą. Akimowi zawsze wydawało się, że kiedyś Bóg spadnie z krzyża i połamie sobie kości. Potem parafianie opatrzą mu rany i zagipsują. I takiego powieszą znowu nad ołtarzem. I to go rozbawiało. Albo, i to też go wesoлиło, może spadający Jezus jak spadochroniarz – komandos, ratujący terytorium podczas wojny. Wskoczy z krzyża, a biały spadochron rozwinie się nad modlącymi się w kaplicy. I to płótno okryje głowy wiernych, a oni zaczną krzyzczeć, plątać się i złościć, i zaczną grzeszyć... I to będzie dowód na istnienie cudu, co to grzech stworzył. Albo...

– Pomodlić się? – mruknął ksiądz. Odwrócił się i spojrzął smutno na akima.

– Tak – skłamał mężczyzna. – Teraz wszyscy prosimy o jedno. – Pokazał palcem krzyż. – Brudna woda ma taką moc... Meteorolodzy mówią o nadejściu groźnej fali. Dziś albo w nocy jutro. Czekam na SMS.

– Będzie pomoc centrali? – zapytał, nadal klęcząc.

– Zawsze jest – bronił władz. – Nie zostawią nas samych.

– Późno wypłacili odszkodowania za ubiegłe nawodnienia... A droga? Każdego roku jest zalana. Jesteśmy odcięci od świata na prawie trzy miesiące. Można bytoby ją podnieść.

– Co roku składam prośby o żwir i piach. Idzie to wolno. Jak ksiądz wie, takich wsi jak nasza jest sporo. – Zamyślił się.

– Miałem taki sen – skłamał – nie tyle dziwny, co religijny... To może się wypowiedam?

Obaj mężczyźni podeszli pod konfesjonał.

– Wyznaj swoje grzechy – szepnął łagodnie duchowny.

– Noe mi się przysnił! – zaszemrał niepokojąco, wtulając chłodny policzek do kratki. – Siedział na taborecie, na drodze, o tej między Tocką 34 a Tocką 37, siedział i mówił tak: zbierz wszystkich mieszkańców i przeprowadź do szkoły. Pozamykajcie okna i drzwi. Uderzenie powodzią zacznie się jutro... To chyba Noe? Nie pamiętam... tak dokładnie. Ale pamiętam kazanie księdza o grzechu i karze. I tęczy – jako przebaczenie. Było to takie piękne...

– To sen, tylko sen. Jakie są wskazówki władz?  
– Są wytyczne i regulaminy – według nich postępujemy. Wioski nie możemy opuścić. Ale szkoła z nowego projektu sfinansowanego przez rząd jest pobudowana na wzniesieniu. To jedyne prawdziwe schronienie. Tak policzyłem, że wszyscy mogliby się zmieścić. Tylko bydło...

– W kołchozach się nie da? – pytał twardo kaptan.

– Nie bardzo – posmutniał. – Tam zmagazynowaliśmy wodę. Chociaż... meteorolodzy mówią, że będzie sucho i dużo słońca. Nie utrzyma się woda długo.

– Pan odpuszcza tobie grzech, idź w pokój...

Obaj mężczyźni opuścili półmrok konfesjonatu i Boga wiszącego samotnie. Przez niedomknięte drzwi tylko zimne płomyki świec drgały w chłodnym powietrzu. Akim obejrzał się i zamiast świec zobaczył dwa blade pazury drapiące ciemność.

Przed nim ksiądz wyszeptał:

– Może to sygnał, ten twój sen... Wyślij SMS-y do wszystkich rodzin. Niech się zbierają w szkole. Nie czekajmy... – Ksiądz założył kaptur. – Podreptam szybko na plebanię.

Niva toczyła się przez noc i step. Zapach źmijowatej wody niósł się i wdzierał do nosa i oczu... Mężczyzna cieszył się, że duchowny mimo swojego notorycznego smutku i współczucia przyznał mu rację. Nie zawsze interesowały go sprawy świeckie, a teraz jakby zainteresował się. Rozmodlenie i zafrasowanie to ciche zalety tego człowieka. Przed nim był duchowny bardziej otwarty i pozytywny – pomyślał.

Między kosmosem a stepem puch biały rozmawiał z czarnym wiatrem – śpiewał pieśń siwiejący szaman. Śpiewał cicho, pod wiatr, a ten zamieniał się w chłodną czern. I wiatr jak sadza niósł się pod niebo, do kosmosu.

Akim zatrzymał samochód. Obok zakrętu siedział człowiek. Pochylony, wpatrywał się w step. Akim wolno opuścił szybę.

– O czym śpiewasz? – zapytał, nachylając podbródek do framugi okna.

– O duchach... – przerwał pieśń. Popatrzył na mężczyznę. I zamilczał.

– O duchach? – Uśmiechnął się. – Jasne. Moja babcia wróżyła. Przychodzili do niej z całej wsi. Wróżyła i nigdy się nie myliła.

Szaman wstał. I odwrócił się do akima plecami.

– Śpiewam, kiedy widzę zmarłych...

Szaman zamknął oczy i znowu zanucił pieśń. Akim chciał już wyjść z samochodu, kiedy z ciemności wybiegł siwy koń. Zwierzę było spocone i radosne. Pochyliło łeb i polizało dłoń starca. Szaman wziął uzdę, przytulił twarz do końskich nozdrzy i wolno poszedł przed siebie.

Akim długo przyglądał się szamanowi, jak w ciemności powiększał się i przewyższał siwego konia. Potem obaj rozpułynęli się w mroku. Akim w końcu wyszedł z nivy, rozejrzał się i pociągnął nosem. Lekki wiatr muskał jego nieogoloną twarz. Zauważył, że nie czuł już zapachu źmijowatej wody. Wyciągnął telefon i przyłożył do czarnej przestrzeni.

„Może uda się sfotografować świętą smugę po szamanie?” – pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Stawa wybrał mniej uczęszczaną drogę i podjechał pod cmentarz. Kilka starych kobiet z płachtami wychodziło z bramy. Była już późna noc.

– Co niesiecie o tej porze? Toż dziesiąta! Powódź... – krzyknął.

Myślał, że podniesionym głosem zatrzyma kobiety, a te jak smutne westalki sunęły brzegiem cmentarza.

– Ooo, ej... – krzyczał. – Złodziejki. Pewnie kradną metalowe krzyże z grobów.

Odwrócił się na siedzeniu i wyciągnął gruby pręt. Zatrąbił.

– No, no – pokrzykiwał. – Stać, złodziejki! – Jeszcze raz włączył klakson.

– Powódź, powódź – nuciły – a my samotne, kobiety niechciane, bezgrzeszne...

Akim wyszedł z samochodu. Pochylił się, zacisnął pręt i truchtem ruszył za kobietami. Ostatnia z nich zatrzymała się. Odsłoniła twarz.

– Rusa – jęknął akim. – Rusa... Przecież ty...

– Nie idź za nami, nie idź – szepnęła. – My przez step, o zmroku, kiedy księżyc w pełni...

– A co w tych płachtach? – Sława opuścił pręt, wstrzymując łzy.

– Śnieg. Śnieg z grobów. Zimno nam. Zimno. Nikt nie sprząta. Nikt. Tylko bydlę się pasie na naszych grobach. Tak skubie trawę, tak skubie... I my tylko z nimi rozmawiamy. A one takie posłuszne i wierne. Płaczą, kiedy my śpiewamy, chodząc po zmroku po stepie.

Sława znieruchomiał. Opuścił pręt i cofnął się. Kobieta nasunęła na twarz ciemną tkaninę, pochyliła głowę i dogoniła pozostałe. Akim poczuł lęk. Nie rozumiał tego uczucia, ale w pamięci odnotował jeden fakt ze swojego dzieciństwa, kiedy razem z rodzicami zimą popadli w buran. Ten huragan, chłód i kłębiący się śnieg i te kobiety... Lęk ten sam! Obrazy wyraźne i agresywne.

Teraz pobiegł do samochodu. Wskoczył na siedzenie i uruchomił silnik. Płakał, włączając wycieraczki. Zapomniał o powodzi, komunikatach i wysyłaniu SMS-ów.

Stepowe westalki płynęły przez czarne równiny. Rozwijały płachty, a śnieg unosił się, tracąc wszystkie poziomy grawitacji.

Dawno nie płakał w samochodzie, częściej śmiał się i żartował. A teraz obraz samotnych kobiet po-przebieganych w płaczki wprawił go w zakłopotanie i żal. I ten lęk dzieciństwa... Popatrzył jeszcze na śnieg unoszący się do gwiazd. I śpiew kobiet cicho sunących jak snowboard po równinie.

Podjechał pod niski dom. Ścisnął kierownicę i trzymał się jej zawstydzony i słaby.

– Jak jej to powiedzieć?

Podszedł pod okno. W domu było ciemno. Zastukał kilka razy.

– Luda, Luda – szeptał do zimnej szyby. – Luda. Widziałem twoją córkę... naszą córkę. Otwórz! Otwórz!

Nagle zapaliło się światło. Akim roześmiał się i znowu zastukał. Kobieta spojrzała w okno, ale wyglądało na to, że jakby nie słyszała i nie widziała Sławy. Rozglądała się, mrużyła oczy, aż w końcu do okna podszedł obcy mężczyzna. Akim skulił się i kucnął pod oknem. Spojrzał na drzwi obory. I z ciemności wybiegła Luda i on – wspomnienie z lata, tak suchego i gorącego. Gonił ją, aż w końcu złapał i przytulił. Szepotał jej w ucho o pożarze na stepie i trawie, co płakała od bólu... Równina paliła się jak po oblaniu benzyną, a stada owiec uciekały przez rzekę. Kąsał jej szyję i dzielił się cierpieniem trawy i słońca, zmęczonych koni i kurzu na drodze...

– Wieś mogła się spalić – chwalił się. – Gdyby nie moja praca z „parniami”, kopaliśmy rowy...

Zawstydzony wstał. Skulił się i wskoczył do nivy. Światło w oknie paliło się. Nieznajomy obejmował Ludę.

Sława podjechał pod wodę. Była ciemnogrnatowa i szemrała. Spokojna niegotowa na powódź, co zdziwiło mężczyznę.

– Podstępna jesteś – zwrócił się do niej jak do spóźnionego petenta, co to przychodzi do jego urzędu. – Myślisz, że mnie wykołujesz? Nie! Nie! Nie uda ci się... Nie odbierzesz mi zaszczytów. Będę jeszcze długo wójtem. Będę! A co? Kto we wsi jest lepszy ode mnie? Kto? Dzięki mnie pobudowano nową szkołę, nowy ośrodek zdrowia. A co? I teraz wszystko? Ot tak chapniesz jak pies kawał mięsa? Nie, nie, nie pozwolę ci. I powiem ci jedno – każda sprawa, którą załatwiłem...

Pobiegł do bagażnika. Wyciągnął kanister i oblał wodę. Zapalił zapalniczkę.

– Spalę cię jak step latem.

Rzucił zapalniczkę w wodę. Benzyna zapłonęła i zgasła. Akim zaśmiał się. Patrzył tępo, jak powierzchnia wody staje się czarna i oleista. Zniechęcony i rozdrażniony kucnął. Popatrzył na zapalniczkę – wyglądała jak martwy, srebrny klejnot.

Żmijowata woda odstąpiła, cofnęła się od wsi i utworzyła małe jeziora i stawy. Złe prognozy nie sprawdziły się – odeszły i dały ludziom ulgę. Prawosławni pogasili świeczki pod ikonami, katolicy zamknęli kaplice i wynieśli święconą wodę, żeby pokropić powietrze i ziemię, niewierzący prędko zapomnieli o snach i majaczeniach, tylko muzułmanie patrzyli z niedowierzaniem i podejrzeniem na śniegową wodę z oddali. Życie na krótko zamilczało i odetchnęło. Wprawdzie trwało to tylko przez chwilę, jak osłupienie samobójcy, który przed śmiercią próbował zapomnieć całe swoje życie, aby już niczego i nikogo nie żałować, po czym przebudziło się i nabrało świeżej wiary i chęci na nowe...

O brzasku mieszkańcy Točki nr 34 radośnie powychodzili z domów i gospodarstw. Jeszcze późną nocą powymieniali się SMS-ami, podzwonili do siebie. Oznajmiali sobie prawdy proste – wody nie ma! Wody nie ma! Piszczeli ze szczęścia, jakby wojna się skończyła!

Biegli teraz ze swoich podwórków jak na spotkanie ze szczęściem, co to nie ucieka, a podeszło i pragnie oddać się człowiekowi. Popatrz na mnie! Popatrz – krzyczało szczęście i krzyczała spełniona nadzieja.

Oglądali ze zdumieniem wały i nasypy dookoła wsi. Były nieruszone. Tupali nogami o twardą powierzchnię grobli, grzebali butami, podnosili piędy ziemi i ze spokojem, ale i dumą okazywali podziw dla pragmatycznej idei – otoczenia wsi murami z ziemi stepowej.

Teraz dzieci biegały po wałach i śmiały się. Dorośli powyciągali samochody z garaży i podwórków, jeździli szybko po wsi, po stepie i nasypach, trąbiąc jak w wesołym miasteczku. Niebo nad wsią jakby poweseleło i rozjaśniało się.

Jednak trwoga nie ustąpiła; przesunęła swój metafizyczny punkt ciężkości – usadowiła się między stepem a kosmosem. Krążyła. Odbijała się i nudziła swoją pustą formą.

Światłość rozczepiła się i żółtymi językami lizała równiny stepu. Step drgał i pomrukiwał. To od intensywności światła i ciepła. Ludzie wychodzili z domów o brzasku. Przez tydzień. Dziękując za dar przetrwania. Kiedy tylko słońce opuszczało zieloną linię stepu, biegli pod światłość jak dzieci. Okrzykami radości dziękowali za koniec powodzi. Tylko dziwił czarny punkt pojawił się na zalanej drodze. Pusta niva bez akima. Pojazd stał na wysepce przechylony przodem do wody.

Rozpoczęto poszukiwania. Najpierw Kazach, który wybrał się na szczupaki, zgłosił, że z wody wystaje ciało. Ten Kazach był podпиты i radosny. Znalezienie ciała potraktował jak trofeum – chwalił się wszystkim. Do wsi jeszcze nie mógł przyjechać lekarz, nie mogła też policja – droga nadal była niedostępna.

Nocą ksiądz latarką oświetlił ciało. Po dłuższej obserwacji oświadczył, że to jednak mężczyzna. Denata zawieziono do kaplicy. Przyszła rodzina – żona Kazaszka i jej dwie siostry. Długo nie wychodziły od księdza. Po identyfikacji stwierdzono, że to jednak akim. Wyciągnięto plandekę i okryto ciało. Było chłodno.

Luda na spowiedzi wyznała, że przed zalaniem ktoś stukał do okna. Ktoś włączył się po zagrodzie, ale ona i jej mąż nie wychodzili. Ksiądz przyznał się, że kiedy się modlił, dwie świece pogasły i straszny chłód wszedł do kaplicy. Luda poprosiła o mszę za zmarłą córkę Janę. Duchowny, wychodząc z kaplicy, powiedział jej, że gospodyni Stanisława, co to przychodzi gotować obiady, widziała szamana na drodze. Zapytał podejrzliwie, czy ma to związek z powodzią. W XXI wieku szamani? I tu, na wsi w stepie w Kazachstanie? Przecież tu zawsze był socjalizm, kolchozy, a teraz demokracja... Dodał, że prowadził siwego konia. Ponoć był ślepy i wyglądało na to, że ta łoszadka sama konwojuje starca. Do wsi nie wszedł. Powiedział, że nie jest tu potrzebny, że wieś jest namodlona i po drogach chodzi nie jego Bóg.

– A co śpiewał? – zapytała nieśmiało Luda.

– Nie wiem – odpowiedział duchowny. – Nie znam takiego języka. Ale szaman pokazywał ręką, że idzie z Mongolii.

– Może to włóczęga? Albo sprzedawca koni? – pytała żartobliwie kobieta. – Chociaż sporo Kazachów repatriowano z Mongolii.

Między kosmosem a stepem puch biały rozmawiał z czarnym wiatrem – śpiewał pieśń siwiejący szaman. Śpiewał cicho, pod wiatr, a ten zamieniał się w chłodną czerń. I wiatr jak sadza niósł się pod niebo, do kosmosu. Czarny wiatr powieje, poszepcze, popluje i uniesie biały puch. Czarny wiatr nad równinami Azji. Nieś się, puchu! Nieś... Zamień się w zimny śnieg. Bądź sprawiedliwy, bądź miłosierny. Puchu biały, śniegu niemy i bezgłośny. Szaman skończył śpiewać, wypuścił z rąk lejce. Siwy koń zarżał i rozpędził się, gnał stepem przed siebie. Mężczyzna otworzył oczy, poczuł zapach zmijowatej wody.

**Opowiadanie zdobyło 1. nagrodę w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kargowa 2022.**



**Zegarmistrz**

która godzina na mojej twarzy –  
pytam zegarmistrza  
co rylcem wskazówek  
rzeźbi mój profil

pierwsza – po pierwszym krzyku  
od chwili narodzin  
druga – po matce zmęczonej  
przewijaniem  
i bezsennością  
trzecia – po moim pierwszym  
nieudanym kroczku  
kiedy zakwitła mi róża rany  
na kolanie  
czwarta – po pierwszej dwójkę  
w szkole  
piąta – po tym już  
jak się całowałam w bramie  
i jak na plecach rosły mi obłoki  
szósta – po wypaleniu  
pierwszego papierosa  
siódma – po pierwszym wierszu –  
bardzo samotnym  
ósma – po siódmym pocie  
na czole skroplonym  
kiedy umarła matka  
dziewiąta – po ucieczce  
z rodzinnego domu  
w trzewia nieznanego miasta

wpół do dziesiątej – po dźwiganiu  
na piętra wieżowca  
starych mebli losu  
dokładnie dziesiąta – po operacji  
rąk złamanych  
i nogi obciążonej u-tykaniem  
ściennych zegarów  
na czubku katedry  
jedenasta – gdy po żeglowaniu  
po wierszach i po życiu  
za bardzo podniósł mi się  
słupek rtęci  
w skali Beauforta –  
muszę to podkreślić

za pięć dwunasta – – –  
zepsuł się zegarek

# Żywot bałwana

Miałem szczęśliwe dzieciństwo. Rodzice kochali mnie nad wyraz i okazywali to w sposób, który wydawał im się najlepszy. Ojciec, człowiek niezwykle pracowity i oddający się bez reszty temu, co robił, nie mógł poświęcać mi zbyt wiele czasu. Wychodził z domu bardzo wcześnie i martwiąc się, aby nie stało mi się coś złego, przybijał mnie do podłogi. Mówiąc „rodzice”, mam na myśli jedynie ojca, gdyż matki nigdy nie miałem. Mamusie rodzą dziewczynki, a tatusiowie chłopców, tak mi powiedział ojciec.

Tatusi od urodzenia miał bardzo obszerne i zdrowe płuca oraz ogromne dłonie. Kiedy na swoje piąte urodziny zdmuchiwał świece, tort wraz z ojcem, ciotkami i gromadą dzieci z sąsiedztwa przylepił się do okna, a płonące świece zapaliły firanki. Domu nie udało się uratować.

W szkole podstawowej miał trudności z pisaniem. Obsadki ze stałówką łamały się w jego paluszkach jak zapalki, długopisy także okazywały się nieprzydatne. Za każdym razem, kiedy próbował coś napisać, przebijał nimi nie tylko zeszyt, ale i blat ławki. Był za to najlepszy z wychowania fizycznego. W piłkę nożną co prawda mu nie szło, bo choć miał pokaźne dłonie, wielką klatkę piersiową oraz dużą głowę, to stopy miał malutkie i rzadko trafiał w piłkę. Był za to mistrzem w koszykówce, pchnięciu kulą z przysiadu i podnoszeniu ciężarów na czas. Co prawda w ostatniej klasie podstawówki nie potrafił się nawet podpisać, ale i tak zakończył ją z wyróżnieniem z powodu licznych dyplomów i pucharów sportowych, które szkoła mu zawdzięczała.

Dalsza edukacja nie była mu do niczego potrzebna, szybko dorósł i rozpoczął pracę zarobkową. Potrafił w kilka minut napełnić dłońmi worek zboża czy załadować furmankę węglem, a kiedy pojawiłem się już na świecie, przybić mnie do podłogi dwoma uderzeniami pięści.

Tatusi zawodowo zajmował się rozgarnianiem powietrza. Było to bardzo intratne zajęcie i ojciec miał pełne ręce i płuca roboty. Kiedy biegł i robił rękoma młynka, powietrze się rozrzedzało. A jeśli dodatkowo silnie dmuchał, tworzyło się podciśnienie. Miało to fantastyczne zastosowanie praktyczne, ponieważ ojciec wynajmował się jako rozrzedzający na najróżniejszych zawodach sportowych i to dzięki niemu wielu zawodników zdobywało medale. Wypuszczano go na bieżnię pod pretekstem sprawdzenia nawierzchni, ojciec robił dwa okrążenia, po czym wtajemniczony zawodnik osiągał lepszy wynik, a nierzadko i rekord.

Choćby tak, jak na Olimpiadzie w Moskwie w 1980 roku. Ojciec, przygotowując bieżnię przed startem zawodników w biegu na trzy tysiące metrów, tak się zaangażował, że machając ramionami, uniósł się w powietrze i pomylił trasę. Tak długo latał, aż niechący rozrzedził powietrze na rozbiegu do skoku o tyczce. Właśnie skakał tam polski zawodnik i zorientował się, że coś było nie tak. Machał do sędziów, do publiczności, dawał dziwne znaki, ale prawdopodobnie tego nie zauważyli. Tak więc, co prawda przypadkiem, ale dzięki mojemu ojcu Polak dostał złoty medal.

Jak już wspominałem, w trosce o moje zdrowie i bezpieczeństwo, ojciec prawie nie wypuszczał mnie z domu. Tkwiłem całymi dniami przybity do podłogi, mając w zasięgu ręki przygotowane kanapki i coś do picia. Obok mnie ustawiał kij od mioty, abym mógł odganiać bezdomne psy i niedźwiedzie, które zaległy się w okolicy w dużych ilościach i zaglądały czasem do naszego domu, zwabione zapachem moich kanapek z ogórkiem.



Czasem wiedziałem, że ojciec wróci późno, wtedy oswobadzałem się. Nauczyłem się tak manewrować stopami, że w końcu odrywałem je od podłogi wraz z deskami. Mieszkaliśmy wtedy na Podhalu, w starym domu z dębową podłogą. Dzięki temu wychodziłem w góry doskonale wyposażony i oddawałem się zimowemu szaleństwu. Zwykle udawało mi się wrócić przed ojcem i wpasować deski dokładnie w to samo miejsce. Mokre plamy po roztopionym śniegu ojciec szybko wycierał, biorąc je za skutek mojego długiego pozostawiania w domu.

Pewnego słonecznego zimowego dnia, kiedy upajałem się mroźną pogodą i nowo poznaną gorącą koleżanką, zostałem nakryty przez ojca. Zjawił się na stoku niespodziewanie i jak gdyby nigdy nic zagadał:

– Fajna lala, poznasz mnie?

I klepnął mnie w plecy tak mocno, że straciłem równowagę i poleciałem w dół. Nie zjeżdżałem jednak na deskach, tylko koziółkowałem, oblepiając się śniegiem do tego stopnia, że na samym dole byłem wielką kulą śnieżną. Ojcu prawdopodobnie bardzo się ta zabawa spodobała, bo za chwilę zaczęły staczać się następne kule. Wylądowałem szczęśliwie twarzą w stronę stoku, widziałem więc, co się tam dzieje. Ojciec brał w dłonie każdego narciarza, oblepiał śniegiem i spychał w dół, bawiąc się przy tym świetnie, klaszcząc w dłonie i podskakując. Sturlał w ten sposób wszystkich. Starszy i młodszy, chłopiec czy dziewczyna – narciarze, saneczkarze, spacerowicze, wszyscy zostali przeistoczeni w mniejsze lub większe kule i kulki. A gdy został już sam, zrolował pozostały na stoku śnieg, zarzucił go sobie na ramię i zszedł dostojnym krokiem. Tu zlustrował swoje dzieło, rozwinął rulon, wybrał trzy kule, a pozostałe rozbił pięścią, uwalniając znajdujących się tam ludzi. Moja dziewczyna zdążyła oswojzić się sama, gdyż jak wspomniałem, była bardzo gorąca.

Pozostałem ja i dwie inne osobokule. Ojciec bardzo zręcznie utworzył z nas pokaźnych rozmiarów bałwana. Ja znalazłem się na samym szczycie. Podejrzewam, że tatuś wiedział, w której kuli się znajduję, i świadomie mnie tam zainstalował, potwierdzając tym samym, jak bardzo mnie kocha. Zdjął bowiem z szyi swój wielki szal i zawiązał wokół mojej, bałwaniej. Kochany tatuś. Mało tego, następnego dnia, dowodząc swojej troski, przyniósł kapelusze i wsadził mi go na łeb. No i jeszcze marchew, którą umieścił w okolicy mojego nosa. Dzięki temu mogłem sprytnie podgryzać to zdrowe i pożywne warzywo, zachowując całkiem dobrą formę. Ponieważ jako największy okoliczny bałwan stałem się niemałą atrakcją, przychodziło mi oglądać wielu mieszkańców i turystów. Dzieci tańczyły, śpiewały piosenki, a kiedy tylko ktoś zauważył brak nosa, natychmiast był on uzupełniany. Tak zaczęło się moje drugie życie. Życie bałwana. Temperatura mojego ciała z 36,6 stopni Celsjusza spadła do około 18-19, co spowolniło przemianę materii. Moje ciało stopniowo zaczęło się spajać ze śniegiem, rozwodniło się czy raczej rozśnieżyło. Zamiast zwykłych siedemdziesięciu było we mnie, jak sądzę, co najmniej dziewięćdziesiąt pięć procent H<sub>2</sub>O. Marchwi miałem pod dostatkiem, nauczyłem się nawet wysuć ją do wnętrza i przechowywać w okolicy lewego barku na wypadek jakiegoś kryzysu z dostawami. Na szczęście nigdy to nie nastąpiło i mój marchwiowy barył przy barku zawsze był pełen.

Ktoś włożył mi węgielki w oczy i trochę je zaproszył, ale z drugiej strony podziały one jak okulary przeciwsłoneczne, co uległo moją nadwrażliwość na światło. Mały problem był jedynie z dłońmi, marzły mi palce. W chwili kiedy ojciec zastał mnie na stoku z koleżanką, byłem bez rękawiczek. Moje dłonie znajdowały się wtedy w bardzo przytulnym, ciepłym środowisku i absolutnie nie marzły. Za to teraz musiałem je rozgrzewać, zginając i prostując palce, oczywiście na tyle, na ile pozwalała sytuacja.

Zima tego roku była niezwykle długa i mroźna, co mi zupełnie nie przeszkadzało. Trwałem w swoim osobistym igloo, oglądałem wschody i zachody słońca, słuchałem śpiewu dzieci, ptaków i plotek bab, które przesiadywały na pobliskich ławeczkach. Najgłośniejsza wśród nich była stara Maciaszczykowa, która wszystko wie i wszędzie jej pełno. I to z jej ust właśnie padło pewnego dnia złowieszcze słowo – telewizja! Okazało się, że wiadomość o moim istnieniu dotarła do Warszawy i wkrótce mają się pojawić dziennikarze, aby tu, w terenie, zapytać mieszkańców, co sądzą o Wielkim Bałwanie.

I faktycznie po kilku dniach skoro świt zjechały samochody z antenami na dachach, powysiadali z nich dziennikarze, pracownicy obsługi technicznej porozstawiali kamery, reflektory – i zaczęły się przygotowania do transmisji. Zeszli się mieszkańcy i wyselekcjonowano kilka przypadkowych osób, które miały się spontanicznie wypowiedzieć. Trwało ogólne poruszenie, plątały się kable, technicy biegali gorączkowo, reflektory grzały niemłosiernie.

Właśnie wtedy zacząłem tracić stabilność. Z powodu ciepła zaczęły się budzić osoby drzemiące dotąd spokojnie w kulach pode mną. Mało tego, podwyższona temperatura, a może jakieś fale elektryczne czy elektromagnetyczne spowodowały, że ożyła moja komórka. Ktoś do mnie zadzwonił i rozbrzmiała pieśń *Kiedy ranne wstają zorze*, którą miałem ustawioną jako dzwonek.

Dziennikarze błyskawicznie na to zareagowali, poszły w ruch kamery i już za chwilę Maciaszczykowa ogłaszała, że ten Bałwan to cud i to ona go ożywiła przynoszoną osobiście dorodną marchewką ekologiczną z własnego ogródka. Kiedy zapytano księdza proboszcza, ten stwierdził, że to objawienie i że parafia została tym wyróżniona, bo mieszkańcy są bogobojni, sprzątają po psach i nie używają torebek jednorazowych.

Reporter po wysłuchaniu jeszcze kilku opinii mieszkańców zwrócił się do specjalistów – ministra Kultury, Sztuki i Kolei Żelaznej oraz dyrektora Muzeum Sztuki Bardzo Nowoczesnej. Pierwszy stwierdził, że bałwan jest naszym dobrem narodowym, że to sztuka ludyczna, pierwotna, i zawsze popierał jej przejawy wśród prostego, ubogiego ludu. Drugi, że to prawdziwa sztuka konceptualna, ma wiele znaczeń i że nie sie przesłanie. Nie powiedział jakie.

W tym momencie zjawił się mój ojciec. Stanął przed rozmówcami, wyrwał dziennikarzowi mikrofon i wprost do kamery oświadczył, że Wielki Bałwan to jego dziecko, jego dzieło. Powiedział, że ma na to niepodważalne dowody w postaci szalika i kapelusza. Uwierzono mu bez zastrzeżeń, tym bardziej że na moim łbie był jeszcze odcisk jego wielkiej dłoni.

Tatuś zyskał od tego czasu sporą popularność, zapraszają go do telewizji, radia, wypowiada się na różne tematy. Ostatnio zapytano go, czy wierzy w UFO i czy lubi jajka na miękko. Powiedział, że tak.

Przykro mi to mówić, ale mimo że przebywam teraz w muzeum w specjalnej zamrażarce, to nudno tu jak jasna cholera. Nie ma dzieci, a kiedy przyjdą z wycieczką szkolną, to się śmieją. I nikt nie dostarcza świeżych marchewek, dobrze, że sobie trochę zachomikowałem. Dzielę się z tymi co pode mną, choć nawet nie wiem, kim są. Jest jeden plus tej sytuacji. Zgodnie z porozumieniem podpisanym pomiędzy Ministerstwem Sztuki Bardzo Nowoczesnej a proboszczem raz do roku jestem przenoszony do mojej wioski, do kościoła. Tam przynajmniej coś się dzieje, śpiewają, modlą się do mnie. I zawsze wtedy ktoś przyniesie świeżej marchwi.

**Opowiadanie zdobyło 2. nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Magia Futura” – Centrum Kultury Podgórza, Kraków 2021.**

**Ukraińska noc**  
**Українська ніч (Ukrayinska nicz)**

Cicho, cichutko,  
nie budźmy śpiącej wojny w kotlinie.  
Jeszcze nocka, jeszcze śpi.  
Na paluszkach skradnijmy jej  
godziny beztroski,  
bo jutro wystrzeli nam,  
wystrzela nam mężczyzn.

Pomożecie?  
Pomożemy.  
Przyślemy Wam broń,  
powiemy co i jak,  
żebyście ginęli długo i mężnie.  
Pokażemy Was na całym świecie,  
Глобально (hlobalno),  
opiszemy w podręcznikach historii,  
przygarniemy żony i dzieci.

Cicho, cichutko,  
skradnijmy ostatnie godziny,  
nie budźmy jeszcze świtu  
i odgłosu bomb.

**kamyk**

kopnięty kamyk spada.  
zbliża się, zbliża szajba  
i burza ognia.  
brałem ją, brałem, aż krzyczała  
i ja krzychałem.  
raz, dwa, trzy,  
baba jaga patrzy.

baba jaga była naga  
i jęczała, aż przestała.  
раз два три (raz, dwa, tri).  
zbliża się, zbliża szajba  
i burza ognia.  
dziewczynka płakała, jej matka płakała,  
to je wyjebałem.  
obie krzyczały, płakały,  
więc uciekłem, uciekłem.  
trzymałem ją w ramionach,  
całowałem, a ona tuliła, tuliła.  
natasza, natasza.  
trzymałem ją w ramionach,  
całowałem, a ona...  
zbliża się, zbliża szajba  
i burza ognia.  
i taki chłop na schwał  
niejedną brał, sukę.  
раз два три (raz, dwa, tri).  
baba jaga patrzy.  
zbliża się, zbliża burza ognia.  
kopnięty kamyk spada.

**od mamy**  
**от мамы (от мамы)**

uważaj na kałuże, wyciągają dusze,  
uciekaj, jak strzelają,  
jak przyśni się język albo mięso,  
nie ruszaj się z miejsca  
i uważaj, jasny synku, w ciemną noc.  
jak dają jeść, to jedz,  
nie wychylaj głowy,  
poproszę popa, on się pomodli,  
prześlę ci zdjęcie psa,  
собака (sobaka) tak schudł  
i uważaj, jasny synku, w ciemną noc.  
wracaj prędko, быстро (bystro)  
do Murmańska, do Tomaska, do Irkucka,  
tu pachnie chlebem.  
do Jakucka, do Kazania, do Norylska,  
tu pachnie chlebem.  
dlaczego nie pieszysz?  
почему ты не пишешь (почему ты не пишешь)?

**płatok**

włazł kotek na płatok,  
lecz był na granicy,  
zabili go strażnicy.  
raz, dwa, trzy,  
czarnuch na nas patrzy,  
cztery, pięć, sześć,  
chce nas wszystkich zjeść.  
zgwałcą nam matki, żony,  
przyjdą ich tu miliony,  
a my wszyscy, bęc.  
my tu pany nad panami,  
poszczujemy czarnych psami.

ciemną nocą, w ciemnym lesie  
matka dzieciom chlebek niesie.  
temu dała na łyżeczce, temu dała na miseczce,  
temu – by nie umarł z głodu, temu dała bez powodu.  
a temu nic nie dała, bo śmierć go zabrała  
i frrr, poleciała.

raz, dwa, trzy,  
czarnuch na nas patrzy,  
cztery, pięć, sześć,  
chce nas wszystkich zjeść.  
chodzi czarnuch koło drogi,  
ciemne ręce, ciemne nogi,  
wzrok ma dziki, brudne buty,  
dasz takiemu talerz zupy?

temu dała na łyżeczce, temu dała na miseczce,  
a temu już nic nie dała, bo siły nie miała,  
do nieba, frrr, poleciała.

# Garnek z pogranicza

**Kiedy ktoś z Ukrainy przysłał nam zaproszenie, mama natychmiast przypomniła sobie o naczyniu związanym ze skomplikowaną historią rodzinnych peregrynacji.**

*Kochanej mamie poświęcam*

To było bez mała pół wieku temu. Sowieccy celnicy na przejściu granicznym Szegini między Ukraińską Socjalistyczną Republiką Radziecką a Polską Rzeczpospolitą Ludową mieli prawdziwy problem z tym garnkiem. Stukali w niego gumowym młotkiem, rękojeścią śrubokręta i ebonitowymi pałkami. Dokładnie przyglądali się drewnianemu uchwytowi pokrywy, próbowali wyginać pałak uchwytu, a spód drapali metalowym szpikulcem. Podejrzliwie wysłuchiwali wyjaśnień o tym, że to pamiątka rodzinna, wierny towarzysz rodzinnych wędrówek za chlebem, do lepszego świata, niemy świadek powrotów i przesiedleń. Pewnie nie bardzo wierzyli w moje barwne opowieści o kanadyjskich moroszkach, dzikim ryżu i kaszance z krwi karibu. Nie dawali wiary bajaniom o mołdawskiej mamatydze, rosyjskich pielmieniach czy konfiturze z zielonych pomidorów. W czasach, gdy zza wschodniej granicy wszyscy taszczyli olbrzymie kolorowe telewizory, szlifiarki i wiertarki, odrapany stary garnek mógł sugerować jedynie podstęp, kamuflaż albo kpinę z władzy radzieckiej. Tym bardziej, że w owych latach krążyły rozmaite opowieści o cwanych polskich przemytnikach. Pamiętam powszechnie powtarzaną historyjkę o jakimś staruszką, późnym repatriancie. Granicę przekraczał jedynie z obwiązaną drutem rozpadającą się walizą. W środku miał sfatygowaną odzież, orzechy i zdjęcia rodzinne. Poważnie się nim zajęto, ale nic nie znaleziono. Już po polskiej stronie zdradził współpasażerom, że wspomniany drut wykonany jest z kruszcu wielokrotnie przekraczającego wartość paru telewizorów.

\*

Dziadek Jan opuścił rodzinę na Kresach w 1926 roku i na pokładzie RMS Carinthia wyemigrował do Kanady. Wcześniej w poszukiwaniu pracy oraz lepszych warunków życia z Galicji wyjechali jego dwaj starsi bracia. Choć mój antenat z wyróżnieniem ukończył gimnazjum w Kołomyi i nauczył się kilku języków, nie widział przyszłości w Michałowce. Na pograniczu polsko-radziecko-rumuńskim, tuż przy widłach Dniestru i Zbruczka, nie było perspektyw. Dziadek zdążył jeszcze z CK Armią przejść kawałek frontu wojny światowej i popracować dorywczo we Wschodniogalicyskich Kolejach Lokalnych. Nadzorował remont istniejącego od końca XIX wieku odcinka Borszczów – Iwianie Puste. W międzyczasie ożenił się z Marią, córką pszczelarza z niedalekiej Giermakówki. Konflikty z macochą i namowy braci przyspieszyły podjęcie decyzji o wyjeździe. Ciężarną żonę zostawił pod opieką teściów i ruszył za Ocean.

Podczas pierwszych lat pobytu w Fort Frances w zachodnim Ontario pomagał starszemu z braci na farmie, a potem w wybudowanej wspólnie mleczarni i sklepie spożywczym. Dość szybko postawił niewielki drewniany domek i zbierał pieniądze na bilet dla żony. Znow mieszkął na pograniczu. Tym razem w otoczeniu przybyszów z całej Europy i bóg wie skąd jeszcze. Farma leżała nad Rainy River – rzeką, za którą rozciągały się kukurydziane pola farmerów amerykańskiej Minnesoty. Sąsiednimi posiadłościami władali Szwedzi,

Irlandczycy, Ukraińcy i Żydzi. Sam Fort trzy wieki wcześniej założyli francuscy *voyagers*, handlujący skórą, soloną rybą i runem leśnym.

Babcia Maria, która z odchowanim już synkiem przybyła do Kanady kilka lat później, zastała nieźle wyposażoną kuchnię. Szczególnie doceniła duży, ale lekki i zgrabny garnek spełniający wiele funkcji. Z powodzeniem mieścił się w nim gołąbki dla całej rodziny, łatwo gotował się dziki ryż i można w nim było pasteryzować syrop klonowy. Dziadek używał go do gotowania rosółu z pardwy, zupy rybnej i parzenia kiełbasy z dzicyzny. Sagan sprawdzał się w wyprawach na jagody, maliny moroszki i po żurawinę. Sąsiedzi, często nowo przybyli imigranci na dorobku, chętnie pożyczali garnek na większe gotowanie. Do dziś pamiętam opowieści dziadka Jana o wielu pichconych w nim potrawach. Różnorodnych kluskach, polewkach, kuglu, czulencie czy kuleszy. Najbardziej zapadło mi w pamięć intrygująco brzmiące *doppa i grytan*. To nazwa szwedzkiego kultowego dania świątecznego, powszechnego w czasach, gdy na szwedzkiej wsi nie żyło się wiele lepiej niż we Wschodniej Galicji. Ugotowaną szynkę odstawiało się, by podać ją podczas najważniejszego posiłku, a rosół po niej nie mógł się przecież zmarnować. W Wigilię spożywano maczane w nim czerstwe pieczywo, dziękując Stwórcy za mijający rok i prosząc o szczęśliwe przeżycie przednówka. W tłumaczeniu na język polski potrawa nazywa się *maczane w kociołku*.

\*

Opowieści wychowanego na pograniczu trzech krajów dziadka służyłem w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Mieszkaliśmy wtedy u styku granic Opolszczyzny, Wielkopolski i Dolnego Śląska. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej funkcjonowały tu placówki polskich i niemieckich pograniczników. Tu też po burzliwych latach wojny i przesiedleń dopiero rodziła się kulturowa i społeczna tożsamość. Do dziadka przychodzili ludzie potrzebujący tłumaczeń pism, pisanie próśb, pomocy w szukaniu bliskich. Często były spotkania rodzinne i pogawędki z sąsiadami. Jako rezydent i żądny wiedzy o świecie młody człowiek siedziałem w kącie kuchni. Nie chciałem przegapić barwnych opisów stroju Bukowińców, żydowskich świąt albo węgierskich tańców. Potem w snach widywałem przemytników nad Zbruczem i Dniestrem, wąchałem rumuńską bryndzę, smakowałem pielmieni lub korowaje. Historie dziadka z Kresów przeplatały się z opowieściami o śmiejących się wiecznie Indianach, o połowach sandacza amerykańskiego albo nielegalnym handlu bourbonem. Jan był przekonujący, bo miał sporo doświadczeń i nie musiał zmyślać. Zawsze zaskakiwał humorem, a tylko czasem familiarnie bawił się łatwowiernością innych. Podczas pobytu w sanatorium w Szczawnie w latach sześćdziesiątych zakpił sobie z opryskliwej fizjoterapeutki. Poradził jej, jak w łatwy sposób polepszyć smak galarety z nówek wieprzowych i zaskoczyć gości. Należało starzejące się zimne nóżki pokroić w grubą kostkę, obtoczyć w panierce, jak kotlety i podsmażyć na oleju z cebulką. Kobieta ponoć przez kilka następnych dni zajmowała się innymi kuracjuszami.

\*

Kiedy dziadkom na emigracji urodziła się córka Eugenia, woda do kąpieli dziecka też była podgrzewana w uniwersalnym garnku. Moja mama z wielką sympatią wspomina to prozaiczne naczynie. Dorastając, nauczyła się przy nim niemal wszystkiego o gotowaniu. Pomagała hartować makaron, przyprawiać bigos, smażyć śliwkowe powidła i konfiturę z zielonych pomidorów. W 1935 roku kanadyjski garnek towarzyszył rodzinie w długiej drodze powrotnej do Europy. Na pokładzie SS Kościuszko noszono nim pitną wodę, sporządzano kompot z suszu, parzono miętę. Naczynie przydało się też podczas pewnego ludowego obrzędu, który miał wyjaśnić przyczynę notorycznego płaczu litewskiego niemowlęcia. Na zimną wodę przez ucho klucza lano roztopiony воск, który po zastygnięciu miał ukazać kształt sugerujący przyczynę choroby albo powód strachu małego nieszczęśnika. Podczas długiej podróży pociągami z Gdańska do Iwania Pustego garnek wykorzystywano do czerpania wody na dworcach kolejowych.



W nowym miejscu zamieszkania moich przodków, w Filipkowcach nad Dniestrem, naczynie nadal spełniało swe powszednie funkcje. Noszono w nim zupełną dla młynarzy zatrudnionych przez dziadka, gotowano mamatygę albo syrop z dzikiego bzu. Bez uszczerbku przetrwało kilkuletnią zawieruchę II wojny światowej. Niestety garnek został zapomniany podczas nagłej repatriacji w czerwcu 1945 roku. Decyzjami kilku władców ówczesnego świata rodzina musiała po raz kolejny udać się w podróż. Pocziwy kanadyjski sagan był w tym czasie wypożyczony państwu Gaborom. Węgierscy sąsiedzi dziadków uznali go za idealne naczynie do przygotowania większej ilości zupy gulaszowej na zaręczyny córki. W Głuszynie na Opolszczyźnie, w nowym domu rodziny Domańskich, bardzo brakowało go babci i mamie. Jeszcze bardziej takie naczynie byłoby potrzebne, gdy Eugenia wyszła za Edmunda, przybysza spod Piotrkowa Trybunalskiego. Mój ojciec, były akowiec działający w lasach przedborskich, też lubił pichcić. Szczególnie udawały mu się prażucha, kućmok i żur na serwatce. Garnek z pewnością mogliby docenić nowi sąsiedzi rodziny – przybysze z Wołynia, spod Sieradza, lwowiaci i górale beskidzcy. Można w ciemno wymienić nazwy potraw, które by w nim przygotowywano.

\*

Niemal trzydzieści lat po wojnie ktoś z Mielnicy Podolskiej, miasteczka w obecnej Ukrainie, zaprosił nas do odwiedzenia ojczystych stron moich przodków. Jakiś Ukrainiec, potomek młynarza pracującego przed laty w młynie dziadka. Mama natychmiast przypomniała sobie o naczyniu związanym ze skomplikowaną historią rodzinnych peregrynacji. I rzeczywiście, wysłużony, ale wciąż sprawny kanadyjski garnek czekał na nas w Mielnicy Podolskiej, dokąd rodzina Gaborów przeprowadziła się po wojnie.

Dziś to całkiem zwyczajne siedmiolitrowe naczynie do gotowania zakupione lub подарowane dziadkowi przez rodzeństwo w odległej kanadyjskiej prowincji Ontario nadal jest w posiadaniu rodziny. Sto lat temu używane nad Rainy River, a potem na Atlantyku, nad Dniestrem, Widawą i w dziesiątkach innych miejsc warzy strawę kolejnym pokoleniom. Moja żona praży w nim kaszę gryczaną, smaży konfiturę z agrestu, piecze musakę i szkocką zapiekankę *sheperd's pie*. Jeden z synów zabiera je na wyprawy jachtem, a drugi na dłuższe wypady wędkarskie. Ja kanadyjskiego garnka użyłem kilka miesięcy temu. Robiłem fotograficzną dokumentację przygotowywania tradycyjnego polskiego bigosu. Zdjęciami z tej sesji zilustrowaliśmy kulinarny rozdział książki poświęconej dziejom naszej rodziny. To wspólne dzieło potomków naszego pradziadka, Antoniego Domańskiego, syna popowstańczego banity z zaboru rosyjskiego, który na Podolu znalazł schronienie. Książka powędruje do Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Irlandii, Singapuru, Stanów Zjednoczonych i kilku innych miejsc. Jeden egzemplarz z pewnością wyślemy do Mielnicy Podolskiej. Zawsze, gdy krzątam się przy kultowym garnku, nachodzą mnie rozmaite refleksje. Przygotowując bigos, zastanawiałem się, co w błąkającym się od stu lat po świecie naczyniu będzie gotowała moja jedyna wnuczka. Pizzę można kupić na każdej ulicy, frytki wszędzie dostępne w nadmiarze, a sushi to całkiem inna bajka. Jedyna nadzieja w tym, że za jakiś czas Matylda też stanie się sentymentalna.

**Utwór zdobył 2. nagrodę w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksty „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kargowa 2022.**

**Ulica Chopina**

Uratowała mnie ulica Chopina szelest topoli  
Szelest kartek wysokie okna i chodzenie po korytarzu  
Gdzie zobaczyłem urodę i oczy dziewczyn  
Słuchanie nauczycieli teraz wiem że było ważne  
Bez ścian i klas dokąd biegłoby życie  
Nawet nie myślę ile piękna przyszłoby ominąć  
I tych linijek nie pisałbym sprawiedliwie  
Uratował mnie brat bo tu mnie przyprowadził  
Wiejskiego chłopca ze szkoły podstawowej  
Więc pamiętam to mądre jego braterstwo  
Któremu chcę wmówić rzeczy i urojone słowa  
Dlatego że umarł co sprzyja mnożeniu wymysłów  
A on w swoim warsztacie tysiące aut naprawił

Uratował mnie Jan (profesor) trochę od nas starszy  
Znam sekret w jaki sposób ocalenie się ziściło  
Za czyją sprawą mogłem swój los ustanowić  
Teraz wymieniamy zdania i nie brakuje jawnej odwagi  
Odkrywać kto kim był i przyglądał się twarzom  
Na korytarzu ktoś pochwalił mnie za wiersz o gorzkim winie  
Udało się wejść z bezdroży do nowych pomieszczeń  
W przyjaźnie i nocne rozmowy o wszystkim  
Dlatego żyję choć nie wiedziałem co jeszcze się stanie

**Dzwon**

Uderza dzwon na wieży odwieczny uczestnik czasu  
Sprawa jest poważna i nie do liczenia na liczydło  
Strat i zaniedbań a zwłaszcza zagubienia pamięci  
Jest czegoś koniec już rośnie krzyk o inne znaczenia  
Wielu rzeczom przyszła pora ustąpić miejsca  
Bije dzwon i domaga się kilku chwil dla siebie  
Płuca i serca nie wiedzą jaką on głosi tajemnicę  
Rozmawialiśmy o wielu sprawach i już to zagasło  
Każdy już idzie w ciemną i raczej głuchą stronę  
Próbuje podnieść się fontanna ale słabnie woda  
Uwagę oczu zwracają tylko rzeczy sprzedażne  
Szkoda że podziały się gdzieś bary bigos i pierogi  
Nie usiądę w kawiarni Polonia na piętrze by pisać  
Zwłaszcza w zimowe miesiące w ciepłe przy stoliku  
Piłem kawę i rozbrzmiewały melodie grającej szafy  
Kelnerka raz po raz dopytywała czy jeszcze coś chciałbym  
Było mi łatwiej znaleźć odpowiednie porównania  
Dzwoni dzwon przez mgłę opada listowie listopada  
Mietek przed kinem Newa już się nie pojawi  
Bezdomny z plikiem wierszy w zeszytcie w kratkę  
Inna zrobiła się zabawa bo kogoś już nie ma w uliczce

**Kościół Mariacki**

Pod listowiem kasztanów patrzyłem na gołębie  
Dosyć długo widocznie to było mi potrzebne  
Szkłane drzwi Filharmonii otwierały się i zamykały  
Muzyk próbował skrzypce to dobrze bo lubię skrzypce  
Kościół Mariacki nauczał o potrzebie wytrwania  
Wystarczyło ciężkie drzwi otworzyć by się dowiedzieć  
Taksówkarze w swoich autach zapewne drzemali  
Kobiety lekko rozglądały się co mi się podobało  
Na chodniku skrzynki z truskawkami handlarz ustawił  
W końcu od czegoś musi zacząć się niebieskie lato  
Powstrzymałem się z kupnem owoców z powodu ceny  
Norwid i Elżbietanki były blisko w służebnej roli  
Szli przechodnie gdzieś dalej albo do autobusu  
Ani jednego ich imienia nie miałem w głowie  
Tylko jedną myśl by to wszystko połączyć  
Jakaś nicią która będzie się urywać jak to w poezji

## Uliczka

Piękna uliczka od dawna swojsko zaniedbana  
Prowadzi moje oczy starość jej tynków i cegieł  
Nie mają nic wspólnego z brzydotą i lichotą  
Wapienne płyty odpadają w szczelinach gnieźdzą się owady  
Niektóre miejsca zalepione są papierami lub klepsydrą

Na świat z pokorą patrzą małe niskie okna  
Nie trzeba zmieniać tu niczego ani odnawiać emalii  
Na szczegóły ozdób wypada patrzeć w zamyśleniu  
Lubię kruszące mury uliczki zostawione samym sobie  
I to co dla urody fasad nie jest zrobione do końca  
Parapety rynny dachówki i gzymsy dotknął czas

Takie było życie a jego ślady są na korytarzach  
Jako korespondencja wysłana do nas anonimowych  
Dobrze że jeszcze tu nie weszła zimna kalkulacja  
Mieszkał tu pewien malarz lecz wyjechał (i nie żyje)  
Było mi smutno gdy o tym mówiłem z j. z.  
Legenda została na fasadach jak zetlała opowieść  
Jeszcze jakiś czas wytrwa a potem kto wspomni imię  
Wychyła się kobieta w stronę placu pełnego aut  
I patrzy na zaciszne bramy znajomych mieszkańców  
Młode pokolenie szuka tu swojego miejsca na smartfonach  
Wiedzą gdzie kiosk gdzie pochyla się zegarmistrz  
I kiosk z warzywami nadal wypełnia pochwałą przyrody

**Owocowa**

Targowisko tętni życiem które w sobie chowam  
By nic z niego nie ubyło czasami się modłę  
Jest dobrze owocowy plac przejść kilka razy  
Napatrzeć się nasycić nawdychać zapachów  
Poniekąd uleczyć wyjąłowione myśli i ciało  
I przyjrzeć się zgromadzeniu owoców i kwiatów  
Jagód spróbować przywiezionych spod Żagania  
Tu widać że ludziom jeszcze się chce coś robić  
I nawet nie wiedzą że w ten sposób są bliscy poezji  
Ze swoją umiejętnością uprawy cebuli czosnku selera  
Gdzieś tutaj mój ojciec za grosze sprzedawał pęczki kopru  
Nie doceniałem że najpierw musiał zasiać potem pielęgnować  
Potem załadować wszystko na rower i jechać tutaj  
Słoiki lipowego miodu czekają na znawców smaku  
Jesienią ktoś przywiezie na wino owoce dzikiej róży  
Czekają jabłka i ludzie docenią urodę ich czerwieni  
Która wytrwale od lat potrafi się nie zmieniać

# Konfesjonał nie rozgrzesza

(fragment powieści)

## Jadwiga

Jadwiga zaszła w ciążę, gdy miała szesnaście lat. Oddała się o trzy lata starszemu koledze ze szkoły podstawowej, w którym od zawsze była zakochana i święcie wierzyła, że bliskość ich ciał połączy ich serca. Koleżka nie miała w planach spędzić z nią wspólnego życia, uznając, że pakowanie się w pieluchy to zupełnie nie jego bajka. Dla niego właśnie nadszedł czas używania, a nie tracenia życia, stąd na ojcostwo – jak twierdził – był stanowczo za młody. Zresztą Jadwiga, choć atrakcyjna, nie była w jego typie osobowościowym. Brała wszystko zbyt poważnie, a im bardziej patrzyła na niego maślanymi oczami, tym bardziej on się od niej oddalał.

Felicjan, bo tak brzmiało imię chłopaka, wyrwał Jadwigę na jednorazowy seks, a po orgazmie umył od wszystkiego ręce, nie powiedziawszy nawet przepraszam. Pozostały po nim: nostalgia, pustka, śpiew wróbla za oknem i życiowy bagaż.

Kiedy Jadwiga nie dostawała oczekiwanej miesiączki, a poranne wymioty wyrzucały z gardła nawet jej ulubiony twaróg wiejski z kremową śmietaną, zapukała do sypialni rodziców i zakomunikowała, że najprawdopodobniej jest brzemienna.

Bardzo religijni państwo Regina i Remigiusz Mulerscy, stojący zawsze w pierwszych ławkach kościoła podczas mszy świętej, mający bardzo dobre koneksje z duchownymi, zareagowali trzeźwym umysłem: Boże! Boże! Jaki wstyd! Jak mogłaś? Zrzuwasz nas! Puścisz z torbami! Czy ty wiesz, co będą gadać ludzie? Nie możesz mieć dzieciaka! Trzeba to jak najszybciej usunąć... Jadzia szlochała:

– Nie chcę! Chcę urodzić! Chcę być matką!

Zamieszkiwali w łączącej siebie ponad dwa tysiące mieszkańców wiosce Zmierzchowo, w której plotki rozświetlają się jak samosiejka. Ten skandal mógłby przeszkodzić im w interesach handlowych i zepsuć reputację wśród lokalnego społeczeństwa. Mieli przecież własną, bardzo dobrze prosperującą małą rzeźnię i sklepik mięsno-wędliniarski, w którym sprzedawali swoje wyroby. Biznes szedł im niezłe, zważywszy na to, że zjeżdżali się do nich licznie klienci z pobliskich, małych i dużych miejscowości.

We wsi Gniazdkowo, położonej w odległości około stu kilometrów od miejsca, w którym znajdował się ich dom, znaleźli „doświadczoną akuszerkę”. Wiejską babkę w chustce na głowie, w wymiętym fartuchu i śmierzdzących okrutnie potem buciorach na cholewkach, która nie posiadała elementarnej wiedzy medycznej. Mulerscy nie liczyli się z konsekwencjami swojej decyzji. Dla ratowania wizerunku ryzykowali tym, że ich córka przez powikłania poaborcyjne może już nigdy nie zostać matką. Ba! Może nawet umrzeć z powodu tych powikłań.

Kiedy przybyli na miejsce, „doktorowa” Kazimiera Jastrzębek wprowadziła ich do jednej z izb służącej jako – jak to nazwała – jej „gabinet kosmetyczny” i nakazała nastolatce położyć się na specjalną, bo z dorobionymi poręczami, metalową prycę dla pacjentek, zaścienoną białym płótnem. Podmyła dziewczynę mocno ciepłą wodą i w tych niesterylnych warunkach zaproponowała rodzicom trzy sposoby usunięcia płodu. Mulerscy mieli do wyboru: cewnik, patyk okręcony gałganem albo nożyce.

– Więc tak – rzekła kobieta. – Jeśli wybieriecie ten gumowy cewnik ze stalowym drucikiem, to ja go wyparzę we wrzątku, wymoczę w czystej wódce, jodynie i włożę do „dziury” dziewczki. Potem zabełtam kilka razy we wnętrzu. To najprawdopodobniej spowoduje obfity krwotok i usunie, co niepotrzebne...

– A ten drugi sposób? – zapytała Mulerska nieco przerażona.

– Jeśli użyję drewna, na który nawinę kawałek szmaty, to... – Jastrzębkowa wyciągnęła z plastikowego wiadra stojącego w rogu pomieszczenia solidny kij. – Włożę ten „sprzęt” do macicy, chwilę go w niej potrzymam. Tak nie dłużej niż dziesięć minut, żeby nie dopuścić do infekcji, a jak wyciągnę – będzie fertig.

– O rany! Aż dziesięć minut? – Mulerski przetknął ślinę i tak się nią zachłusnął, że krztuszenie uniemożliwiło mu przez chwilę prawidłowy oddech.

– Trzecia metoda jest najszybsza. Raz, dwa, trzy i po krzyku. Jak ja to mówię: rym cym cym bum tara i po zabawie – skwitowała babka.

A że zarówno pani Regina, jak i pan Remigiusz nie mieli pojęcia, które z rozwiązań będzie najskuteczniejsze, kobieta zdecydowała za nich. Wydała rozkaz, żeby rodzice przytrzymali córce mocno ręce. Widząc jednak, że dziewczyna tak bardzo się szarpie, iż nie sposób jest ją poskromić, wyciągnęła ze starej komody tęgie powrozy i poleciła, by skrępować nimi nadgarstki nastolatki poprzez przywiązanie ich do poręczy łóżka. W tym czasie Jastrzębkowa wsadziła pomiędzy nogi panieneczki długie na pół łokcia nożyczki, przebijając – najprawdopodobniej – pęcherz płodowy, co wywołało poronienie. Wyjęła narzędzie z pochwy i powiedziała, zacierając entuzjastycznie dłonie z długimi, zaniedbanymi pazurami:

– Po robocie, po kłopocie. Doktorowa Jastrzębkowa poleca się na przyszłość.

Mulerscy zapłacili babce pokaźną sumkę, ale nie była ona aż tak wygórowana, jakby zabiegu dokonano w profesjonalnym gabinecie lekarskim albo w szpitalu. Ponoć w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie brano dziesięć razy tyle.

Jadzia dała się z bólu wniebogłoso, jakby z niej skórę żywcem zdzierano. Z jej narządów rodnych wyciekła duża ilość wody. Pojawiła się nagle gorączka. Dziewczyna zemdląła z wyczerpania. Potem przeleżała te dolegliwości – zmęczona i opadnięta z sił – ponad miesiąc.

## Śmierć Mulerskich

Rodzice Jadwigi odważając się na tak radykalny, popełniony w sposób barbarzyński czyn, doszczętnie zdemolowali jej psychikę. Kobieta nie potrafiła im tego wybaczyć. Dlatego, gdy Mulerscy zaczadzili się we własnym domu, dokładnie w dniu trzydziestych urodzin swojej jedynaczki, Jadwiga niespecjalnie się tym przejęła. Od czterech lat była szczęśliwą mężatką, adorowaną przez wybranka swojego serca niczym bóstwo. Surowi, radykalni, zakochani do cna w swoim biznesie rodzice byli jej do życia zupełnie niepotrzebni. Podczas gdy cała wiocha ubolewała nad ich tragicznym i niespodziewanym odejściem z tego świata, Jadwiga na pogrzebie nie uroniła ani jednej łzy. Obraz nieżyjących kojarzył jej się tylko z krzywdą, jaką jej uczynili. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo ich nie kochała. Racjonalnie rozważała, że – z jednej strony – spadła na nich łaska pańska, bo zatruli się na amen tlenkiem węgla, będąc razem, jak przysięga małżeńska każe – aż do śmierci. Wspólnie przeżyli trzydzieści dwa lata. Z drugiej strony – rozważała Jadwiga – mogła to być kara boża za jej krzywdę, niemożność zajścia w ciążę. Z trzeciej zaś strony dostrzegała dobrodziejstwo, jakim stało się wyzwolenie spod jarzma rodzicielskiego, uwolnienie od udawanej przychylności wobec morderców swojej dzieciny, a także przejęcie ich majątku jako jedynej spadkobierczyni po zmarłych. Domu nie zamierzała się pozbywać, za to wielką uciechą był dla niej fakt, że będzie mogła opchnąć interes ze świniami, krowami i drobiem, do obrządku którego nigdy się nie nadawała.

Z racji, że rodzice posiadali hodowlę trzody chlewnej, miała spore nieprzyjemności w szkole. Co prawda interes szedł bardzo dobrze i byli zamożną rodziną. Być może jednak, że ze zwykłej, ludzkiej zazdrości przylgnęły do niej przezwiska – „Świniara”, „Świńska matka”, „Krowia niańka”. Pewnie gdyby wtedy inni wiedzieli,



że jest w ciąży, wywieźliby ją ze wsi na taczce, tak jak Jagnę Borynę, albo rozszarpali na strzepy, a wówczas i tak nie doczekałaby porodu. Czy gdyby jej dziecko pojawiło się jednak na świecie – Jadzia zastanawiała się nad swoim życiem – to czy ona skończyłaby liceum, zdała maturę, poszła na studia i poznała na nich swojego męża, studenta polonistyki? I choć naukę przerwała na trzecim roku, gdyż nie zdała egzaminu poprawkowego, a potem komisji z prawa podatkowego, to i tak dopięła swego. Pracuje w Urzędzie Skarbowym, w biurze. Ma pozycję. Jest kierowniczką w dziale księgowości. Ma pod sobą ludzi, którzy zwracają się do niej per „pani kierowniczo” z zaznaczeniem „pani”, a nie li tylko „kierowniczo”, jak tytułuje się bufetową albo sklepikarkę.

Jako że rodzice bardziej okazywali uczucie swoim krowom niż córce, ona też nie potrafiła kochać. Miała chłodną osobowość. A może potrafiła kochać, tylko nie umiała tego uzewnętrznic? Raz przecież zakochała się na zabój i co z tego wyszło? Kompletna klapa. Facet zagrał na jej uczuciach, ulotnił się, zostawiając ją z kruszyną w brzuchu, a ona przeżyła w związku z tym bolesną traumę. A gdyby wtedy Felician chciał się nią zaopiekować? Miał wtedy już dziewiętnaście lat. Był pełnoletni. Jak potoczyłyby się jej losy? Czy opuściłaby rodzinną wiochę, zamieszkała wraz ze swoim wybrankiem i do dziś byłiby rodziną? Jak wyglądałoby teraz jej dziecię, mające już czternaście lat. Czy byłby to chłopczyk, czy dziewczynka? Jakie imię nosiłby potomek i czy ona potrafiłaby podobać macierzyństwu, będąc wtedy sama dzieckiem? Czy dziś, tutaj, na pogrzebie swoich rodziców stałaby zamiast ze swoim obecnym małżonkiem Emilianem z tamtym chłopakiem? Jak to się stało, że jej matka i ojciec ulegli zaczadzeniu? Dlaczego akurat tej nocy, kiedy jej i Emiliana nie było w domu, gdyż wybrali się na dwudniową wycieczkę w góry w ramach świętowania jej trzydziestych urodzin? I jak to się stało, że któreś z rodziców odkręciło kurki od kuchenki gazowej i nie zakręciło gazu? Ale jak można gazu nie czuć? Mama i tata musieli być bardzo zmęczeni, zasnęli i już się nie przebudzili. Tylko to też było dziwne. Rodzice byli w kwiecie wieku. Mama miała pięćdziesiąt dwa, tata pięćdziesiąt cztery lata. Nie mieli demencji starczej. Oboje mieli doskonałą pamięć, co Jadwigę często irytowało, zwłaszcza gdy chodziło o przypominanie jej, iż czegoś nie zrobiła. Zresztą, rodziciele zawsze przed ułożeniem się do spania odmawiali modlitwy, co pochłaniało czas. Jadwiga znała to z autopsji. Jak mogli nie poczuć uwalniającej się trucizny? A może zażywali jakieś tabletki nasenne? Ostatnimi czasy narzekali na bezsenność. Wielokrotnie to od nich słyszała. Ta dolegliwość bardzo im doskwierała, gdyż po przemęczeniu wielogodzinną, codzienną pracą zamiast zasypiać nawet na przystawowym kamieniu, kręcili się w łóżku, aż jego skrzypienie było słychać w jej i Emiliana sypialni. A gdy ledwo co zasnęli, zaraz wybudzał ich budzik i przypominał, że muszą wstawać do roboty. Tak. Jadwiga doszła do wniosku, że mogło tak być, jak sądzi: zażyli tabletki, nie dokończyli modlitw, nie zdążyli poczuć na dobre uwalniającego się tlenku węgla, usnęli i przepadli.

Anastazja Makiełko – kobieta ze wsi, która ubierała i podmalowywała nieboszczyków – jak zwykle wykonała świetną robotę. Matka i ojciec wyglądali w trumnie przynajmniej dziesięć lat młodziej niż w rzeczywistości. Na szczęście rodzice, choć stosunkowo młodzi, byli zawsze przygotowani na ewentualne odejście z tego świata, więc Jadwiga nie miała problemu z zastanawianiem się, w co ich przywdziać do pochówku. Bielizna, ciuchy, buty były przygotowane na tę ewentualność. Zresztą, to śmieszne, ale mama z tatą zakupiwszy drogą ciuchy do trumny, dbali o to, by im się nie zmieniła figura. Co za absurdałne myślenie! – Jadwiga parsknęła śmiechem. Dbać o to, by nie przytyć, albo nie schudnąć, żeby po śmierci wpasować się idealnie w przygotowane do pochówku szmatki... Debilizm! Moi rodzice zawsze byli nieco stuknięci – pomyślała. Jedynie za co mogą być im wdzięczna, to wychowanie mnie w głębokiej wierze katolickiej. Za nic innego wdzięczna im nie jestem, a mojego straconego maleństwa nigdy, przenigdy im nie podaruję. Leżcie sobie spokojnie w ziemi „zakitrańce”, choć pewnie nie będzie wam ona lekka. Może to straszne, co w tej chwili myślę, ale będę się modlić do wszystkich świętych, żeby was piekło nie pochłonięło. Mam jednak nadzieję, że gdy spotkacie tam po drugiej stronie swoją wnuczkę albo wnuka, to nieźle da wam popalić. Oj! A może lepiej nie! Niech was w ogóle tam nie spotyka! Jeszcze byście mu mogli i tam u góry krzywdę wyrządzić.

Na drugi dzień po pogrzebie Jadwiga poszła normalnie do pracy. Nie wzięła krótkiego urlopu okolicznościowego. I choć wszyscy współpracownicy szczerze jej współczuli, ona odpowiadała z obojętnością: widocznie tak miało być.

\*\*\*

Śnieg  
przysypał ziemię  
białą ciszą  
Idziemy  
dorosłe dzieci  
Ja jedno wiem  
że już nikt  
nie będzie  
tak nas kochał  
jak Ty  
Mamo

\*\*\*

Przyszła kolejna jesień  
odlatują żurawie  
ich klangor  
niesie się nad okolicą  
Tęsknota ciągnie się  
po horyzont

\*\*\*

Być znowu  
małym chłopcem  
biec wprost  
w ramiona  
by ukryć się  
i przytulić  
jakie to Piękno  
było  
Mamo

\*\*\*

Za oknem  
w ogrodzie  
za sadem  
i wzgórzem lasu  
zmierzch przemienia się  
w noc  
Ze wszystkich  
zakamarków domu  
przychodzą  
Sny

# Tylko w jego uszach pykało

Spojrzał na trzymany w ręku bukiet. Subtelny, niezbyt okazały, jednak gustowny, jak ocenił w myślach – będzie w sam raz. Rozwiązał wątpliwości, które się pojawiły i szedł już spokojny, rozglądając się na boki. Osadzony w pamięci obraz sprzed lat porównywał z mijanymi budynkami i uliczkami uciekającymi raz w prawo, raz w lewo. Niewiele się zmieniło. Ta sama, tylko już mocno postarzała zabudowa o ni stąd, ni zowąd poszarpanych ścianach z licznymi liszczami odpadającego tynku. Tylko nieliczne odnowione. Choćby apteka, wygląda jak nowa. Zaczął liczyć, ile to lat. Od jakiegoś czasu nieustannie liczy lata. Kiedy się wydarzyło to czy tamto. Ile to on albo kto inny miał lat wtedy i wtedy. Od kiedy do kiedy mieszkał tu i tam. Pewnego razu uzmysłowił sobie tę, jak sam określił w myślach, manierę, i tylko się uśmiechnął – nie przestał liczyć, jakby się bał, że może zapomnieć, kiedy co było. Teraz mu wyszło, że może piętnaście albo i więcej lat, jak się ostatni raz widzieli. Szmata czasu. Z żadnym zdarzeniem ani sytuacją nie mógł połączyć tamtej wizyty, żeby konkretny rok zaczął się jakoś w pamięci. Nic, biała plama. Pamięta ostatnie spotkanie. Czas obszedł się z nią nad wyraz łaskawie. Krucha, filigranowa sylwetka i ten sam, jak zapamiętał z czasów, kiedy chodził z jej synem do szkoły, promieniujący ciepłem i serdecznością uśmiech. Potem skończył się ten beztronski, spokojny czas, kiedy świat mienił się kolorami i nie było rzeczy niemożliwych. I matka kolegi była tylko matką. Miała wyjątkowe, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał, imię – Aldona. Kiedy po latach pierwszy raz ją odwiedził – mieszkała sama w dużym mieszkaniu – miał więcej lat niż ona wtedy, gdy bywał u nich częstym gościem. Po jego czarnych gęstych włosach pozostało już tylko wspomnienie. Zmęźniał, tu i tam się zaokrąglił, a dla niej czas jakby się zatrzymał. I wtedy, ku swemu zaskoczeniu, ba, nawet zawstydzeniu, patrzył na panią Aldonę nie jak na matkę kolegi, ale jak na atrakcyjną kobietę. Potem widzieli się jeszcze dwa razy w krótkich odstępach czasu. I dzisiaj, po kilkunastu latach, kiedy w pamięci znowu ożywały zdarzenia sprzed lat, obrazy młodej kobiety i starszej pani tasowały się mu przed oczami.

Długi korytarz i duże białe drzwi do dobrze mu znanego czteropokojowego mieszkania – myślami cofał się aż na skraj pamięci. Do czasu zaprzeszczonego, spowitego pajęczyną oplątanych lat i dekad.

Ilekoć wraca do tego jesiennoego dnia, kiedy po raz pierwszy nacisnął guzik dzwonka przy białych drzwiach, pamięta ten dreszcz emocji przed przekroczeniem progu innego, jak się domyślał, i okazało się, że słusznie, mieszkania. Otworzyła matka kolegi, która nie była podobna do matek dotychczas widzianych. Elegancka, delikatna, uśmiechnięta. Podobne kobiety widywał na okładkach czasopism. Matki, które znał, były zapracowane, zmęczone i z szorstkimi dłońmi.

I znowu przedzierał się przez te lata systematycznego bywania u nich, bo tych kilka późniejszych odwiedzin czy przypadkowych, gdzieś na mieście, spotkań nie mógł pozbierać w nic konkretnego. Ten utrwalany w pamięci przez całe sześć lat obraz rościł sobie prawo pierwszeństwa przed późniejszymi. Miał świadomość, że tamtej kobiety od dawna już nie ma, choć nie do końca, bo przecież ona jest, tamta, ta sama, tylko... nie taka sama. Że raz po raz ożywa jedynie w jego pamięci, że dzisiaj zobaczy (do swoich lat dodał te, które ich dzieliły) starszą panią, z którą czas obchodził się delikatnie, ale, to oczywiście, nie będzie tak w nieskończoność. Znowu nagła myśl: A może... może dać sobie spokój i zawrócić? Spojrzał na trzymane w ręku kwiaty: a co z nimi? Na chodniku, po drugiej stronie ulicy zobaczył kobietę. Czy oddać bukiet tej

starszej pani po drugiej stronie ulicy? Będzie miała niespodziankę. Może od dawna nie otrzymała od nikogo kwiatów? Tylko czy wypada? Pomyśli sobie jeszcze: pomyłony jaki?! Szybko się jednak zdystansował od nagłych wątpliwości. Przecież jest dużo starsza – gdzie jej takie rzeczy w głowie. W końcu on też nie wygląda na lowelasa. Obejrzał się. Jej sylwetka zniknęła w bramie.

Był już blisko. Przedszkole jak wtedy i zaraz za nim na pagórku pośród rozbuchanych krzaków bzu budynek „trójki”. Kamienna ściana przy chodniku, a nad nią szpaler żywopłotu. Mur się skończy i będzie na miejscu. Zrobił te kilkanaście kroków i... Powiedzieć, że się zatrzymał czy przystanął, to byłby czysty eufemizm. Nogi bezwiednie osadziły go w miejscu, z którego ujrzał to, co ujrzał. Nieruchomymi oczyma wpatrywał się w odartą z tynku kamienicę i oczodoły okien, z których unosił się jeszcze, tak się mu zdawało, czerwony pył. Odsłonięta cegła jątrzyła czerwienią. Poczucił się, jakby to jego odarto ze skóry, tylko że ból skupił się gdzieś w środku. Z odrętwienia wyrwało go szczekanie biegnącego psa. Duży, z przypalonym grzbietem wilczur sadził wielkimi susami w jego stronę. Z niepokojem spojrzął na bramę i ogrodzenie. Była zamknięta, płot szczelny. Po chwili w głębi podwórza pojawił się mężczyzna. Pewnie wyszedł ze zbitej z desek szopy. Stanowczym głosem poskromił zapalczywość zwierzęcia i leniwym krokiem, nie spuszczać wzroku z nieznanego, zbliżył się do bramy. Pogadził po łbie psa, ten pomachał ogonem, przysiadł na tylnych łapach i łagodnymi oczyma wpatrywał się w obcego.

– To teren prywatny – burknął dozorca. – Nic tutaj do oglądania.

– Popatrzeć nie można?

Stali w milczeniu. On nie mógł oderwać wzroku od budynku, potem spojrzął na trzymany w ręku bukiet. Stróż podrapał się w zarośnięty podbródek.

– Coś mi się zdaje... – zaczął – że szanowny pan do kogoś w odwiedziny – powiedział ze zrozumieniem, tak po ludzku.

– Tak... w odwiedziny. Tylko że, jak widzę, spóźniłem się. Gdzie wyprowadziła się rodzina, która tutaj mieszkała?

– Nie wiem, panie. Ja tylko stróżuję. Dawniej tu jakieś biura były, ale żeby kto mieszkał... to nie wiem. Długo budynek stał niezamieszkały. Remont zaczął się dopiero z końcem lata. Ktoś bliski? – Po chwili rzekł zachęcająco: – Może chce pan wejść do środka, pooglądać?

Kiwnął tylko głową.

– Może... – odpowiedział niepewnie.

Dozorca otworzył metalową furtkę, wtedy on wyciągnął rękę. Dłoń dozorca była twarda i szorstka.

– Bańdura jestem – przedstawił się.

Od strony podwórza podszedł do drzwi wejściowych, a właściwie do dziury w murze. Obejrzał się przez ramię.

– Niech pan wejdzie dalej. – Dozorca zachęcił skinieniem głowy.

Pod nogami chrzęściły kawałki cegły i okruchy tynku. Na piętrze omiótł go przyjemny powiew kończącego się już lata. Zatrzymał się na szczycie schodów. W lewo ciągnął się korytarz. Bańdura oczami wyobraźni zobaczył płat białej laminowanej płyty wspartej na dwóch budowlanych kołach. Usłyszał odgłos odbijanej pingpongowej piłeczki. Tak wyraźny, jakby rzeczywiście grano w ping ponga. Ale nikt nie grał, to tylko w jego uszach pykało: pyk – pyk, pyk – pyk. Obrócił głowę i zatrzymał spojrzenie w miejscu, gdzie były wysokie do sufitu białe drzwi; za nimi w przedpokoju brązowy chodnik z jasnymi paskami po bokach, stolik z telefonem, obok wypełniony czasopismami gazetnik i dwa fotele z zieloną, tak mu się zdaje, tapicerką. Z przedpokoju wchodziło się do kuchni z błyszczącym na podłodze zielonym linoleum. Na środku duży biały stół, a wokół białe krzesła. I matka kolegów. Stawiała półmiskę z kanapkami i oznajmiała ciepłym głosem: „chłopcy, kolacja”. Mimo traktowania go jak trzeciego syna, na początku czuł się obco. Trochę dziki, nieokrzesany, podglądał, w której ręce i jak trzyma się nóż i widelec. Pewnego razu zapraszając

do stołu, powiedziała: „siadajcie”. Położyła na jego ramieniu rękę. Przez koszulę poczuł ciepło jej dłoni. Dzisiaj wydaje mu się, że to ciepło to on czuje teraz – nie wtedy. I ten zapach perfum. Delikatny, zmysłowy, kobiecy. Że delikatny, zastanawia się, mógł wtedy tak odczuć, bo intensywne i przyprawiające o zawrót głowy tanie zapachy w autobusach i sklepach były na porządku dziennym. A że zmysłowy, kobiecy. Uśmiecha się w myślach, jakby z zawstydzeniem. Teraz jest pewny, że tych doznań nie może przypisać tamtemu kilkunastoletniemu chłopakowi. To raczej on, starzejący się mężczyzna, wyobraża sobie, że taki mógł być zapach tamtych perfum. Albo gdy innym razem podniosła w górę ramię i dłonią przeciągnęła po jego ostrzyżonych włosach, przypominając synom o pójściu do fryzjera. Dlaczego też o tym pamięta? A może to się nie zdarzyło? A gdyby nawet, to czyż takie drobiazgi nie giną w morzu niepamięci? A to że od tego gestu poczuł zażenowanie, miał wrażenie, że nawet spłonął rumieńcem. I to też może pamiętać? To też się zdarzyło? I co jeszcze...? Zgrabną sylwetkę i zanikające echo barwy jej głosu. Jedyne to mogło pozostać z tamtego, odległego czasu. I tylko twarze: tamta, którą widział w czasach szkolnych i ta ostatnia z oznakami powoli mijającej urody, sprzed lat kilkunastu, powoli zasnuwa je mgła niepamięci.

Czuje zamęt. Odległe czasami widzi wyraźniej niż to, co następowało potem, gdy jeszcze tkwił korzeniami w tym mieście. Wyobraźnia domalowuje po swojemu, co znikło w niepamięci i powstaje swoista hybryda, i sam już nie wie, co jest czym czy kim. I to wszystko razem miesza się mu w głowie...

– Czy wszystko w porządku? – usłyszał głos zza siebie. Poczuł, jakby kto nim potrząsnął.

– Tak, w porządku – odpowiedział głucho, nie odwracając się.

Niepewnie postąpił kilka kroków do zamkniętych, w jego pamięci, drzwi. Spod stóp dochodził chrzęst gnienionych pod stopami kawałków gruzu. Przystanął i wrzucił do przedpokoju trzymaną w rękę wiązankę.



**W porze kobiety**

w porze kobiety  
drżą pomarszczone dęby  
ogień strachliwie przykuca w niszy kominka  
woda pradawna matka  
otula czule wszystkie pisklęta  
na ziemi i niebie

w porze kobiety  
mężczyźni i chłopcy w pośpiechu wyjeżdżają na bezludne wyspy  
tam napinają łuki i karabiny  
strzelają do wymaglinowanych wrogów  
za tarczą ognisk wieczorami  
piją egzotyczne soki  
wzdychają i dyskutują  
o absolutnej władzy i zakopanych wrogach  
w końcu zasypiają w wilgotnych mundurach  
śnią pocałunki i gorące piersi kobiet

w porze kobiety  
w mrocznych celach  
zakonnicy strachliwie mruczą błagalne modlitwy  
ptaki niebieskie tkliwie muskają warkocze  
w gniazdach składają zaczarowane jaja marzeń i odlatują  
w porze kobiety  
zza słońc księżyców i figlarnych chmur  
zerka z ciekawością rozczulony stwórca  
uśmiecha się  
wysyła strzały nadziei

**W porze człowieka**

w porze człowieka  
zagubione pszczoły ukrywają się w murach omszałych ruin  
planety przymykają powieki  
niczym tresowane zwierzęta  
obracają posłusznie brzuchy i ramiona  
w stronę gwiazd  
oddychają pyłem kosmicznym  
później wirują nasycone światłem  
wypatrują ciebie wśród betonowych blokowisk  
placów zabaw i trawników

nie ma ciebie  
w lasach pustynnych  
przestworzach i głębinach oceanów  
zniknąłeś w wysypisku odpadów  
zauroczony własną potęgą

w porze człowieka  
pogubiłeś maski bliskich i znajomych  
miliłeś czule pocztówki z fotografiami cudów świata  
sercami złamanymi z tęsknoty  
dotykałeś w rozbiegu ekranów komputera i smartfonów  
chciałeś przemnożyć piksele chwil przez świergot ptaków  
chciałeś utrwalić je i zapamiętać  
w roztworze dźwięków i barw rozpuściłeś marzenia

w porze człowieka  
podglądasz własne stopy i trzęsące się dłonie  
widzisz ubrania tańczące w starych wypolerowanych szafach  
opustoszałe zagracone pokoje  
zapadają się w sekundy pamięci  
czasem niedokarmiany pies i gołębie  
wyciągają szyje w stronę nieba bez słońca

w porze człowieka  
dotykasz krzyży i kamieni na grobach  
nie wołają o pomoc  
zapadają się przy miłosnych trelach słowików  
zbutwiałych liściach

w porze człowieka  
chciałeś być bogiem  
na rondzie pomyliłeś się  
wybrałeś mglistą drogę



Marek Krukowski

# Ciocia

(fragm. powieści *Zapiski Bez Znaczenia*)

„Cisza na morzu. Wicher dmie. Kto się odezwie, ten bałwan jest!” – tych słów korzenie wrastają głęboko w strofy dzieciństwa i kwitną siwiuteńkim głosem cioci Heli.

Przez mgły i pól splątanie niesie się miarowy stukot pociągu: na wieś, do cioci.

W przedziale naprzeciwko mnie siedział dziadek i w zamyśleniu żuł miętowe landrynki, wyglądając przez okno, gdzie pola i lasy wciąż uciekały wstecz i wstecz. Ale w jego oczach zupełnie co innego biegło na wspak. Może czas dzieciństwa?

Jechaliśmy wtedy na pogrzeb cioci, jego starszej siostry. To była nasza ostatnia wspólna podróż.

Pamiętam, jak do kościoła wnieśli ciężką trumnę z zamkniętym wiekiem. Dziadek się zachwiał. Chwycałam go za łokieć.

– Nie mogę uwierzyć, że moja siostra tam leży. W tym pudle – wyszeptał poblady.

Stuk-stuk, zamknęła mi powieki. I posiwiałym głosem wyszeptwała rymowankę. „Zaśnij, dziecko”. Na wieki.

Cioci nie ma. Pozostałam wyłącznie ja. Więc dzisiaj tylko mnie nachodzi czasem żal, że nie jeździłam tam częściej, że nie naprodukowałam więcej wspomnień o siwowłosej, łagodnej kobiecie wspartej na nieodłącznej lasce z drewna wygładzonego przez dotyk jej sękatych dłoni. Ale obraz tej przygarbionej i siwowłosej dziewczynki o żywym spojrzeniu figlarnych oczu pozostanie ze mną.

Niezdarnie lepiej ze słów jej postać. Widzę, jak siedzi w małej chatynce, przykuta kalectwem do krzesła i słucha radia, czekając na zabłąkanego gościa.

– Tylko nie skończ tak jak ja – ostrzegła mnie raz jeden, wpatrując się przenikliwie w moje oczy. Miała na myśli samotność, w którą wrastałam z uporem i na przekór ciocinym przestrogom, rok po roku, po kostki, kolana, po pas. Ciocine słowa brzęczały nade mną, żądliły. Przypatrywałam się im bezradnie. Złożona w przyciasnej trumience mojej nastoletniej samotności. Nasłuchiwałam, jak czas sypie na jej wieko ciężkie grudy dni, miesięcy, a w końcu i lat.

Wychodząc zimą do pracy w fabryce kartonu, zamykając lub otwierając furtkę, ciocia poślizgnęła się na lodzie, upadła i złamała biodro. Rehabilitacja trwała długo. Do tego nałożyły się problemy z tarczycą. Biodro źle się zrosło. Ciocia została naznaczona kalectwem. Zaczęła poruszać się z trudem, zgarbiona, o lasce, a przecież wciąż była stosunkowo młodą kobietą. Choć nie wiem, ile dokładnie miała wtedy lat. Chwilczkę, pójść do sąsiedniego pokoju zapytać Szeptulę, to znaczy dziadka. Nie ma go, oczywiście jest w kiblu, więc czekam, tupię nogą. Wreszcie, kiedy wraca na swój fotel, zaczynam go przepytywać. Ale on nie pamięta. Dopiero po zawyłych dywagacjach udaje nam się wstępnie ustalić, że w chwili feralnego poślizgnięcia ciocia mogła mieć zaledwie dwadzieścia parę lat. Ale czy na pewno? Dziadzia patrzy przed siebie załzawionymi oczętami niebożęcia. Milczy. Mruga bezradnie. W końcu beśsilnie zapada się w swój fotel. Zamyka oczy. Przysłania je sękatą dłonią. Więcej już z niego nie wyciągnę.

Lubię myśleć, że tuż przed wypadkiem ciocia była zakochana, że miała adoratora. Że przyszłość w miarę przyjaźnie się do niej uśmiechała.

Wciąż widzę ją, jak siedzi w swojej kuchni, a w palcach obraca różaniec, zasłuchana w koronkę płynącą z radia.

Natomiast nie potrafię jej sobie wyobrazić jako młodą dziewczynę. Widzę wyłącznie pocziwą starowinkę, z którą przy kuchennym stole grywałam w karcianą wojnę, w chińczyka, w kartofla, w kibel. Każda z nas walczyła zażarcie o zwycięstwo, ale ciocia słabła pierwsza. W pewnym momencie, być może wężąc swoją porażkę, zaczynała kłaść kolejne karty ze wzrastającym roztargnieniem oraz dziecinną irytacją.

Dom od początku był stary i maleńki, dwuizbowy, wzniesiony z polnego kamienia, z przylepioną drewnianą sienią i składzikiem na węgiel. Zbudowany jeszcze przed wojną przez anonimowego pradziadka, który nie wiezieć kiedy umarł. Później nastała bieda. Przylazła wojna. Dwunastoletni chłopiec, który kiedyś zostanie moim dziadkiem, a następnie skurczy się w Szeptułkę, głodny i w dziurawych butach idzie codziennie o świcie do fabryki kartonu.

Jednak z całego domu najważniejszy był dla mnie strych. W lato nagrzaną, pachnącą kurzem, starymi rupieciami i słomą. Lubiłam tam włączyć po stromych schodkach, które bardziej przypominały drabinę z poręczą. Ze strachem pokonywałam kolejne stopnie, aby z westchnieniem ulgi dotrzeć do mojego, wyłącznie mojego zacisza. Gdzie przykuciałam w skupieniu. Przyglądając się słonecznym pasmom światła przeslizgującym się pomiędzy krokiewiami. Wdychałam nagrzane i suche powietrze nasycone starością, zasłuchana w moje, nie-moje budzące się ciało. Wyglądałam przez małe okienko na codzienny świat toczący się w dół, kiedy ja ukryta na stryszku bujałam w moich obłocznych marzeniach.

Ach, i jeszcze wychodek. Przylepiony do rozwalającej się szopy i posiadający coś z aury strychu. Unosił się tam podobny, a jednak zupełnie inny intensywny bukiet aromatów. Duszny smrodek szamba i rozgrzanej stomy. Przez szpary w deskach błyskały siostrzane prześwity słońca. I rozbrzmiewało bzyczenie bardziej dojrzałych muszy. Panował tam nieco inny rodzaj odosobnienia. Kiedy wisząc nad dziurą w dobrze oheblowanych deskach, snułam mroczne fantazje. Frenetycznie zasłuchana w instrumentarium fizjologii. W ten parny jazz kiszek. W radosny szmer strumienia moczu. Wyobrażałam sobie, że osuwam się w tę straszną dziurę ziejącą pode mną. I tonę w jej cuchnącej czeluści. Nigdy nie śmiałam tam zajrzeć, w to czarne oko smrodu. Którego obecność pod pośladkami napełniała mnie pierwotnym lękiem. A jednak długimi minutami potrafiłam się tam kołysać, trącając ostrożnie struny strachu i wybijałych obaw. Z wolna nasycałam się zaduchem, ciepłem, brzęczeniem i słonecznym półmrokiem.

Jednak w nocy nigdy nie odważyłam się zejść do wychodka. Przypilona nagłą potrzebą kuciałam pod murem i sikałam ukryta w malinowym gąszczu. Podskórnie wiedząc, że dopuszczam się wykroczenia. Dlatego jeszcze bardziej drżałam na zimnym wietrze o świtanie, lękając się, że w końcu ktoś mnie przytłapie na moim zbrodniczym procederze.

Przed chatynką pysznił się warzywny ogród: bogaty w gliniasty, wilgotny czarnoziem soczystych barw. Zasobny w bulwiastość: marchwi, buraków, pyr. Strojny w wybujałe pióropusze zieleniny. Pnącza groszku. Grządki truskawek. Las szczypioru. Zagony kapusty. Każdy kwadrat warzywniaka to był odrębny fantastyczny świat. I każdy z nich stopniowo zarósł trawą i chwastami.

Nawet jeśli zmyślam, to kto mnie dzisiaj złapie za rękę na gorącym uczynku i wytknie drobne przeinaczenia?

Jedno pamiętam wyraźnie: to jak wraz z każdym pobylem u ciotki moje ciało rozbudzało się coraz wyraźniej i ostrzej. Nieodwołalnie wynurzając się z sennego półmroku dzieciństwa.

Na szutrowej drodze grałam z wiejskimi chłopakami w lotkę. Naprężałam muskuły. Pociłam się pod letnią sukienką, z której rozbierały mnie ich zuchwałe i wygłodniałe spojrzenia. Często wygrywałam. Przepełniona dumą uciekałam w pola. Zanurzałam się w długie samotne spacerunki. Wdrapywałam się na jeden z wielu pagórków, będących pozostałością po zamierzonych czasach, kiedy wydobywano tutaj liche złoża brunatnego węgla. Kładłam się na samym szczycie wśród wysokich traw. I nurkowałam w głąb siebie pod czujnym wzrokiem błękitnego oka, które uważnie obserwowało, jak zdejmuję sukienkę. Jak zaczynam tarzając się we własnym cieple. W tym cieple, które zawsze musiało dźwżyć palmę pierwszeństwa, przed i ponad wszelką ideą. To ciało rozwydrzone, znów czegoś pragnące, obolałe, przechodzące kolejną anginę, niewyspane, spragnione, nafaszerowane antybiotykami. Wyraziste i nieodstępujące mnie na krok. Więc nie mogąc uciec od niego, ulegałam mu. Rzuciałam się w jego krwisty wir. Wsuwałam drżącą dłoń w bawełniane majteczki, tak jak oni nigdy by tego nie uczynili, gdyż brak im było kobiecej delikatności i wprawy. Upajałam się słonecznym wyobrażeniem ich chudych, opalonych i niedomytych ciał.

Przeobrażałam się w gwałtowną burzę. Rozbłyskałam wśród drzeń wewnętrznych i grzmotów, by wnet przygasać. Zmęczona, zużyta, ale nienasycona, schodziłam ze wzgórze i polną drogą powracałam do ciotki chatynki. Odprowadzana wyłącznie przez wieczorny wiatr i wieczorne wrzosowe niebo: wiszące nisko i wysoko zarazem, absolutnie nieruchome. Na tle którego byłam czarną figurką, kruchą i samotną, z uporem przedzierającą się przez nieobjęte łany przestrzeni.

Ciocia już śpi. Przysiadłam w kuchni i myję stopy w miednicy. Wyglądam przez okno. Przelatuję wzrokiem nad urodzajnymi grządkami warzywnika. Przeskakuję płot, za którym bieli się droga i sad w świetle ulicznej latarni, udającej księżyc. Ulatuję jeszcze wyżej, w bezselestej windzie czerni. Na sto pierwsze, najwyższe piętro nocy, gdzie panuje wiekiusta cisza, która dotyka mnie nawet tutaj, w ciepłym i jasnym wnętrzu kuchni, kiedy szorstkim ręcznikiem wycieram stopy.

Choć tak bardzo jestem obecna w tej chwili, to równocześnie całą sobą, każdą cząstką źrenicy, wpatrzona w głuchą wiejską noc, dostrzegam naszą nieobecność, moją nieobecność oraz jej nieobecność. I prze-czuwam tę stupiętrową falę, która wkrótce, prędzej czy później, ale nadejdzie i zmyje nas z obolałego ciała planety. Brudną wodę z miednicy wylewam do wiadra. Gaszę światło.

Do emaliowanego rondelka wrzucam wielkie i nagrzane owoce czarnej porzeczki. Słońce pali mnie w kark. Leżę na wersalce w cienistym pokoju i zza firanki obserwuję świetliste poruszenia ogrodu i świata.

Każda wyniosła swoje krzesło. I usiadłyśmy w cieniu domu, łuskając groszek i popatrując na wiejską drogę, nad którą unosi się biały tuman bezruchu.

Do późna oglądamy durne programy rozrywkowe w śnieżącym, czarnobiałym telewizorze.

Lubi moje wizyty, bo wtedy to ja gotuję i robię zakupy.

Ciocia czesze siwe włosy. I bardzo ciasno ściąga je gumką z tyłu głowy. Z przodu każdy niesforny kosmyk dyscyplinuje metalową czarną wsuwką.

Jednak jej uśmiech jest łagodny. Najłagodniejszy. Już nie ma jej uśmiechu. Nie ma go nigdzie. Na żadnej fotografii. Jedynie jego niknące wspomnienie, niczym kalista fala po kamyku wrzuconym do jeziora, zatacza coraz szersze i delikatniejsze kręgi pod moją powieką.

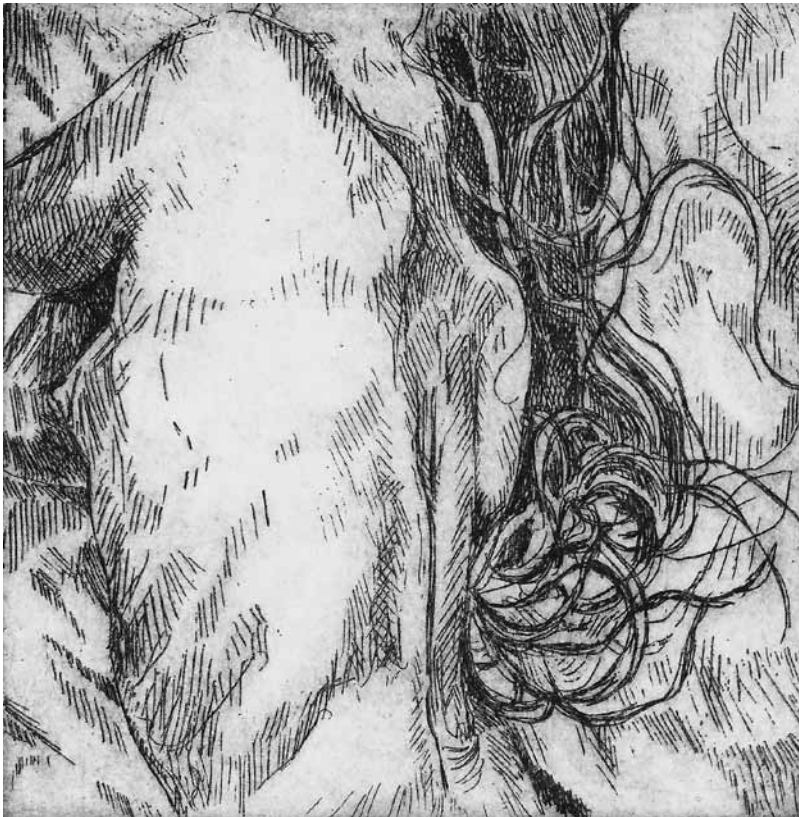
W tamte wakacje nie wybrałam się do cici, ponieważ zadzwonił ktoś z rodziny (mąż kuzynki mojej matki). Ktoś, kto chciał położyć, i ostatecznie położył, pazerną łapę na tym skrawku ziemi. Bogacze z Ameryki z piękną willą pod Warszawą, sąsiedzi gwiazd telewizji publicznej.

– Nie przyjeżdżaj. Ciocia już absolutnie nie nadaje się do przyjmowania gości. Zdarza jej się nawet chodzić nago. Źle z nią.

Głupia schowałam walizkę do szafy. I przesiedziałam resztę wakacji na dupie, ulegając czyjejś presji, jak wtedy, kiedy podczas pobytu w Warszawie nie kupiłam tej kurteczki-baranka.

Nigdy nie pożegnałam się z cicią, która została połknięta przez białe usta bezimiennego łózka, gdzieś na smutnych antypodach domu opieki. Zanim schowałam walizkę do szafy... często marzyłam o tym, że uciekam od mojego życia w mieście do cici, na wieś. Uciekam ku małej wolności. I odtąd dzielę z cicią dwuizbową chatynkę. Wybieram się do wiejskiego sklepiku na zakupy. Gotuję niewyszukane obiady. Pielęgrządkę. Spaceruję najpowolniej poprzez wieczorną rzeźkość pól. I do późnych godzin przesiaduję w kuchni. I nasłuchuję, jak poprzez niewidoczną dal, którą noc zagarnęła pod czarną pazuchę, niesie się tętent: gwałtowny, tajemniczy tętent, przenikający swoim głębokim pulsem aż do naszych snów. Budzę się i szepczę strwożona:

– Ciciu, któż to i dokąd tak galopuje w tę noc? W tę noc...



**Haiku**

bezwieżdne niebo  
tylko w oczach mego psa  
gwiazdka wieczności

.....  
rudy kot i ja  
trochę dziwna jest ta przyjaźń  
niczym śnieżna biel

.....  
śnieżna noc i lód  
tworzę wiersz o zorzy lata  
przed czasem gwiazd

.....  
zimowa gwiazda  
moralne prawo we mnie  
żyje myśl Kanta

.....  
lodowe sople  
a sopel z plasteliny  
i ciepłej dłoni

.....  
mgła pod niebem  
ja i mój wierny piesek  
to nasze niebo

.....  
zimowa chmura  
przezroczysta woda  
dla naszych kotów

.....  
stado wron w górze  
i samotny rudy kot  
na tym padole

# Lipa, czyli opowieść lip(c)owa

Przy ulicy, jakieś ponad 160 lat temu, prawdopodobnie wtedy, kiedy powstał dom, posadzono lipy. W ten sposób powstała przepiękna, malownicza lipowa aleja, przeplatana gdzieniegdzie platanami, która towarzyszyła nam od dzieciństwa. W jej cieniu z przyjemnością bawiliśmy się jako małe dziewczynki. Drzewa były schronieniem dla ptaków i owadów. Ludziom dawały ożywczy chłód w gorące dni, a ich gęste listowie stanowiło naturalne schronienie przed deszczem.

Kiedy dorastałyśmy, krąg ulubionych miejsc się rozszerzał, ale lipowa aleja należała do tych najważniejszych. Zbierałyśmy kwiaty, wonne w jakiś subtelnie wyrefinowany sposób, dający wrażenie przyjacielskiego ciepła, a w jesienne chłodne dni nic tak nie smakowało, jak zaparzona z nich herbata. Słomkowy napar zapachem przypominał gorące lipcowe słońce. Od drzewa do drzewa, wolnym krokiem wracałyśmy z pierwszych randek, odprowadzane przez chłopców aż pod drzwi. Tą samą drogą, w pełni lata odszedł nasz tata. Wreszcie – po latach nauki, z dala, wracałam nią do domu. Lipy i platany były niemyym świadkiem mojego ślubu, a następnie towarzyszyły przybyciu na świat moich dzieci.

Jedna z lip była wyjątkowo duża, rozłożysta i piękna! Rosła tuż przy parkanie mojego ogrodu. W myślach nazywałam ją czarnoleską, bo tak tylko wyobrazić sobie mogłam drzewo, pod którym Kochanowski odpoczywał i któremu poświęcił niejeden utwór.

Moi synowie odkryli, że pod jednym z konarów, który nisko pochylał się na stronę ogrodu, znajduje się tajemne przejście, a za nim powstała naturalna zielona altana. Taki wspaniały, ogromny, zielony parasol, który sięgał prawie do ziemi. Uwielbiali to miejsce! Z przyjemnością się w nim kryli, niewidoczni od strony parkanu i drogi oraz osłonięci zielenią od ogrodu.

Pewnego razu ktoś przyniósł wiadomość, że będą wycinać lipy. Nie mogłam w to uwierzyć. Jak to wycinać? Tak po prostu? Padł argument, że są już bardzo stare, wewnątrz suche i mogą zagrażać pojazdom na drodze. W takim razie spokojna byłam o „nasze” drzewo, bo ono akurat pochylało się do ogrodu, a więc w przeciwną stronę. Poza tym w ogóle nie wyglądało na chore czy wewnątrz suche!

Przeraźliwie smutno zrobiło się przy naszej alei. Najpierw poprzycinali konary, a potem, jedno po drugim, usuwano pnie drzew. Zostało jedno – to ulubione moich dzieci.

A jednak – pod ostrze piły, jako ostatnia, trafiła nasza lipa... Nie upilnowałam jej... Stało się to dokładnie wtedy, gdy musiałam wyjechać na dwa, trzy dni. Gdy wróciłam do domu, zobaczyłam tylko potężny pień, a na nim żywiczne krople, jak łzy. Następnego dnia pojawiły się spienione soki. Miało się wrażenie, że się gotują, aż kipiwały... Nie miały jednak czego zasilać. Wraz z nimi uszło życie. Lipa płakała, a ja razem z nią.

# Majowa ulewa, czyli katharsis

Pogoda lubi płać figle. W piękny słoneczny dzień robiło się coraz bardziej gorąco i duszno. Wszystko parowało i miało się wrażenie, że za moment cały świat wokół, wyschnięty na pieprz, rozsypie się w proch. Dwie kobiety, o starych już peselach, które dawno się nie widziały, zdecydowały się na spotkanie, mimo chandry i nie najlepszych nastrojów.

Przyglądając się miastu, miały wrażenie, że oglądają film w zwolnionym tempie... Ludzie, którzy ich mijali, wyjątkowo nigdzie się nie śpieszyli, ruch minimalny, na ulicach niewiele samochodów, jak za dawnych czasów. Tak jakby dominujący upał wszystkich pozbawił energii. Szukając miejsca, gdzie mogłyby spokojnie przysiąść i porozmawiać, dostojnym, wolnym krokiem przemierzały deptak. Wybrały ogródek na starówce.

Pod olbrzymim parasolem znalazły upragniony cień, a delikatny wiaterek sprawiał, że rozgrzane do granic możliwości powietrze delikatnie muskało ich twarze. Przy lekkim posiłku popłynęła rozmowa. Inna niż zwykle. Bardziej osobista.

– Wstyd mi – wyznała Pierwsza. – Kiedy się przeżyło pół wieku, pozostaje jedynie zaważczyć o własną godność i szacunek do samej siebie.

– Czy to taki damski kryzys wieku średniego? – zastanawiała się Druga. – Może raczej nasze odczucia, doświadczenia, emocje, determinanty, które zdominowały nasze życie?

Przyszedł czas na zwierzenia, rozważania o cierpieniu, napięciu, tłumionych emocjach, analizę przyczyn, skutków, myśli i wyobrażeń...

Wolnym krokiem udały się na stację kolejową. Pogoda nagle się zmieniła. Zaczęło grzmieć, coraz częściej pojawiały się błyskawice. Wyglądając za opóźniającym się pociągami, zastanawiały się, czy zdążą wrócić do domów przed burzą. Zauważyły, że wzdłuż peronu, w oddali dzieje się coś dziwnego... Nawałnica piasku, a następnie ulewnego deszczu zbliżała się w zastraszającym tempie, budząc lęk. W ostatniej chwili zdążyły schronić się w podziemnym tunelu. Ze śmiechem wytrzępywały piasek z włosów i wycierały twarze. Strugi deszczu lały się hektolitrami z nieba, a szalejący wiatr i bijące coraz bliżej pioruny budziły grozę.

A jednak do domów wróciły „suchą stopą”. Szczęśliwie. Tak jakby wysłały w kosmos wszystkie swoje smutki, a natura, oburzona ich ciężkim losem, oczyściła powietrze i... ich serca z bólu.

**Credo**

wierzę w codzienność  
w pocałunek na powitanie  
w ciepłą herbatę  
w kromkę chleba  
w drogę do pracy  
w rozmowę na ulicy  
w obiad na stole  
w zmywanie naczyń  
zimną w palenie w piecu  
latem w ptaków słuchanie  
w zapach kawy  
w książek czytanie  
w wieczorny spacer  
w wieczorną modlitwę



**Nie ma rzeki dzieciństwa**

nie ma rzeki dzieciństwa  
nikt nie łowi ryb  
nie ma nad nią mostów  
ani kładek  
nad jej brzegiem  
nie siedzą matka i ojciec  
brat na drugą stronę  
nie rzuca kamieniem  
wyschły źródła  
wyschły dopływy  
nie wszystko płynie  
nie płynie rzeka dzieciństwa

# Bitwa o krowę

Poza kurami hodowała także jedną krowę. Darzyła ją przywiązaniem, ale nie sympatią. Kiedy prowadziła ją do lasu przez wybrukowaną drogę osiedlową, sąsiedzi patrzyli na nią z niesmakiem. Nikt na tym porządnym osiedlu nie trzymał krów. Mieli kury, owszem, ale kury to coś innego, ponieważ nie wyprowadzało się ich na zewnątrz, poza obręb własnego ogródka. Można było je uchować przed wzrokiem coraz bardziej eleganckich sąsiadów. Nie lubiła tej atmosfery, która jakiś czas temu zaczęła tworzyć się na osiedlu. Przybywali nowi, budowali współczesne domy z nowoczesnymi ogrodami i patrzyli z lekką pogardą na starych – z ich zarośniętymi zieleni willami, z szopami, w których mieszkały zwierzęta. No i ludzie przestali mieć też siły na krowy. Krowę trzeba codziennie wyprowadzać do lasu. Na zimę zorganizować dla niej siano, a więc uprawiać choćby skrawek pola. Ona była w posiadaniu pola i nie zamierzała przekształcać go na działkę budowlaną, którą mogłaby intratnie sprzedać. Była starą upartą babą, niewątpliwie.

Krowę nazwała Malina. Pospolite, nieważne imię. To będzie zapewne jej ostatnia krowa, czuła to w kościach. Malina umrze pierwsza, a zaraz po niej ona. Śmierć przyjdzie do niej poprzez krowę – miała tę pewność od dawna, odkąd przysnił jej się sen, jak rodzi się z krowiego brzucha, jak przechodzi przez krowi kanał rodny do nowego życia, z młodym, pulchniutkim, zaróżowionym ciałem. Nie mogła się doczekać tej chwili, choć także nie przeczyła, że od czasu do czasu ogarniał ją strach przed tym nieznanym ciałem, zaokrąglonym, doskonałym, czystym. Jak zdoła je obłaskawić? Skąd będzie wiedziała, czym je karmić? Jak odpowie na jego potrzeby? Czy zapanuje nad jego żądzami? Ciało. Tak wiele zawsze dla niej znaczyło. Jej własne, ale także zwierzęce. Nie potrafiła obyć się bez układania dłoni na krowim brzuchu. Dlatego wciąż trzymała Malinę, choć i ona nie miała już na nią siły. Nie potrafiła nie mierzić jej twardej sierści, nie zanurzać palców w podbródek. Ostatnio nawet wołała to krowie ciało niż własne. Mimo starości zachowało ono sprężystość, nic nie ubyło z jego potęgi i chwały. Nie tak samo starość obchodziła się z ciałem krowim jak z ludzkim.

Tymczasem zbierały się nad nią chmury. Coś wisiąco w powietrzu. Sąsiedzi coraz częściej przechodzili obok jej willi. Zatrzymywali się przy polu. Kręcili głowami, kiedy szła z Maliną do lasu. Patrzyli na nią spod byka. Czuła wyraźnie, jak rośnie w nich posępna siła, jak rodzi się bunt i gniew, i nieskoordynowana jeszcze szarpanina. Czynniki ich drażniły – ona i Malina. Coś pobudzały, z czym tamci nie chcieli się zmierzyć. Czuła, czuła znowu w kościach, że na osiedlu zaległy się demony. Jeszcze chowały się pod liśćmi pokryw i łopianu, jeszcze drażyły dziury w ziemi, ale niebawem wypełzną i zaczną się katastrofa.

Tego popołudnia siedziała w cieniu, przy szopie, oparła obolałe plecy o próchniejące deski. Rozpad. Nie spodziewała się niczego innego. Do ogródka przez skrzypiącą furtkę ktoś wszedł. Młoda kobieta. Poznała ją po delikatnych krokach. Jakby tamta szła do niej w różowych pantofelkach. Stukały na kostce, którą wyłożono liczne wąskie ścieżki ogrodowe. Musiała zauważyć ją z ulicy, ponieważ nie kierowała się do domu, szła wprost do niej. Przymknęła powieki. Rozmowy z młodymi przysparzały jej coraz więcej trudności. Wbiła paznokcie w miękkie deski, roztała opuszkami palców przejrzały kwiat dziurawca. Kiedy tamta stanęła przed nią, uniosła głowę i przyjrzała się dokładnie jej twarzy. To była piękna kobieta, ze śmiało podkreślonymi ustami, wielkimi ciemnymi oczami i lśniącymi włosami, które sięgały jej za ramiona. Boskie stworzenie, dopiero co wypuszczone z raju, pomyślała. Lepiej takich nie drażnić.

– Proszę usiąść – zachęciła ją gościnnym gestem, wskazując plastikowe krzesło ogrodowe, ustawione w pobliżu. Tamta usiadła, z dobrotliwym uśmiechem pochyliła się nad nią i przedstawiła. Dorota. – Powinam znać pani rodziców – przypomniała sobie. – Jerzyk i Barbara, przemili ludzie. – Nie była ckliwa, rzeczywiście uważała ich za dość sympatyczne małżeństwo. Dużo czasu spędzali w ogrodzie, dało się dostrzec gołym okiem, że ich to bawiło. – Ale pani nie poznałam. Mieli dwie dziewczynki, to wiem, później się pogubiłam. – Dorota roześmiała się, swobodnie, nie w wymuszony sposób, a więc udało jej się kogoś rozbawić, doprawdy, życie ciągle potrafi być zaskakujące.

– Przychodzę do pani w pewnej pilnej, acz drażliwej sprawie – nie zwlekała, proszę, odważna dziewczyna. Robienie podchodów nie jest najwyraźniej w jej stylu. Potrafi działać, być skuteczna, zapewne odniosła w swoim młodym życiu szereg sukcesów, prze naprzód, jest pewna swego. To dobrze. Zawsze miło pogawędzić z kimś zadowolonym z siebie, z kimś, kto uważa świat za bezpieczny dom. Rozmowy z ludźmi rozczarowanymi przebiegają zawsze tak samo, od niej dowie się czegoś nowego, kto wie, może nawet tamta ją czymś zaskoczy. – W sprawie pani krowy. Rada osiedla w ostatnim czasie dopracowała podanie. Chcemy, żeby pani wiedziała, że wypływa ono tylko i wyłącznie z troski o panią. Lękamy się, że pewnego dnia zabraknie pani sił, żeby wrócić z lasu, że wśród tych krzaków i drzew nikt nie będzie w stanie pani znaleźć. Gdyby nie wróciła pani do domu na noc – dodała po namyśle. – Czasy się zmieniły, las bardzo zarósł, ludzie już nie znają go tak dobrze jak kiedyś. Niektórzy nawet boją się tam wchodzić. Ale mniejsza o to. Nie to jest przedmiotem wniosku. Chcemy, żeby pani sprzedała krowę i pozwoliła sobie na zasłużony odpoczynek. – Zasłużony odpoczynek, czy coś takiego istniało? Nie, ta mała nie wie, o czym mówi. – Tak myślałam. Pani po prostu nie potrafi odpoczywać. To przypadek osób pani pokolenia. Nadrzędną wartością jest praca, człowieka traktuje się przedmiotowo, a co najdziwniejsze, w tej hierarchii wyższe miejsce od niego zajmuje zwierzę, jakby to ono było ukoronowaniem stworzenia.

– A czy tak nie jest? – udało jej się. Zbiła tamtą z tropu. Zaraz, jak ta mała miała na imię? Monika? Magda? Dorota. Tak, oczywiście, że Dorota. – Droga Doroto, to nie tylko przypadek mojego pokolenia. Ludzie zawsze służyli zwierzętom. Były czasy, kiedy bogowie mieli twarze zwierząt. Na pewno cię o tym uczono, przypomnij sobie, nie mam racji?

– Zamierzchłe czasy – machnęła niedbale ręką. – Pierwotne. Człowiek wtedy sam był na poły zwierzęciem.

– Teraz już nim nie jest? – znowu trafiła w czuły punkt. Dorota przełknęła głośno ślinę. Założyła kosmyk włosów za ucho. Niewątpliwie chciała zyskać na czasie, a może obłąskawić ją własną urodą. Najwidoczniej przyzwyczała się do uwodzenia ludzi. Dlatego przystali ją jako reprezentantkę rady osiedlowej. Chcą ją uwieść. Dorotę. Odpoczynkiem. Niebezpieczeństwem lasu. Tacy zachłanni, a tak naiwni. Nie mają pojęcia, czym uwodzi się starą kobietę. Odrobiny wysiłku nie włożyli w tę sprawę, nawet nie upiekli ciasta, żeby choćby tym ją obłąskawić – kawałkiem słodyczy. Zmieniają się wśród nas obyczaje, a i tak pozostajemy tacy sami, skwitowała w myśli, ale zaraz zganiła samą siebie. Banalny wniosek. Ogólnik. Musi się pilnować i unikać tak dyletanckich twierdzeń.

– Oczywiście, że jest. – Dorota podjęła wyzwanie, no proszę. – Ale w zupełnie innej mierze niż kiedyś. Właśnie miara ma tutaj znaczenie. Równowaga. Dostrzeżenie kontinuum. Człowiek obecnie zajmuje inne miejsce na tym kontinuum. Dawniej, a raczej bardzo dawno temu, owszem, był bliżej zwierzęcia, jednak rozrost kory mózgowej... Och, po co ja pani o tym mówię? Pani się ze mnie śmieje w duchu. Rozumiem to następująco. Nie rozmawiamy jak równa kobieta z równą. Pani, z racji swojego wieku uważa, że ma nade mną przewagę. I że jestem naiwna. Być może tak nawet jest. Szanuję pani doświadczenie i poglądy, ale pani niech uszanuje moje. Ja z pani nie drwię, traktuję tę sprawę bardzo poważnie i tak jak wspominałam, jestem tutaj tylko i wyłącznie z troski o panią. Mówię zbyt formalnie? Zbyt urzędowo? Jeśli tak, proszę mi wybaczyć, nie chciałam, ale jestem zakorzeniona w takim, a nie innym języku.

– Zakorzenieni jesteśmy gdzieś indziej – wtrącała się. – Nie w języku i nie w tej ziemi. Myślała pani kiedyś o tym? Ja jestem na razie zakorzeniona w brzuchu mojej krowy. Poprzez jej brzuch, kiedy pępownina zostanie przerwana, pójdę dalej, do moich prawdziwych korzeni. Teraz jeszcze nie mogę. To jest jedyna pilna sprawa na tym świecie, mianowicie to, gdzie jesteśmy zakorzenieni. Pani mówi o języku. Ale język przemija. Zaraz pani odpowie, nie przemija, tylko przekształca się, czyli rozwija, ale czy jest pani tego taka pewna? Historia zna liczne przykłady języków, które obumarły. Chyba się nawet mówi „martwy język”. Niektórzy, poprzez ich odszyfrowywanie, próbują je wskrzeszać, ale co to za język, którym mówią tylko umarli? Owszem, być może istnieją w zaświatach także tamte obumarłe języki, nie mogę zaprzeczyć. Dlaczegoż by nie? Ale na tym świecie niewątpliwie nie są niczym stałym. Mówię pani, nie można się na nich oprzeć.

– Pani zmieniła dyskurs. Ciągłe go pani zmienia. To nie w porządku. Jak możemy się porozumieć, skacząc z tematu na temat?

Zniecierplwiło ją to dziewczę. Ciągłe nie dostrzegło, że rozmawiają o tym samym.

– Nie skaczemy. Temat zasadniczo jest jeden. Śmierć. Pani w imieniu rady osiedla boi się, że umrę w lesie i dlatego przyszła namawiać mnie, żebym zabiła moją krowę.

– Sprzedała – poprawiła ją sumiennie, rzeczowo, próbując zamaskować kryjącą się w kącikach ust złość. – Pani jest obcesowa.

– Zdaje się, że już wspomniałam, dlaczego ta właśnie krowa jest dla mnie ważna. Piszcie sobie, ile wlezie te wasze podania. Nie zamierzam jej zabijać. Proszę mnie dłużej nie męczyć i wracać do domu. I niech pani nie zapomni przekazać pozdrowień dla Basi i Jerzyka, przemili ludzie, bardzo rozsądni. Zapewne nie podpisali się pod tym podaniem. Nie przeczy pani, więc mam rację. Do widzenia.

Dorota zeszywniała z gniewu. Nie przywykła do porażek, ale była postuszną, wzorowo wychowaną dziewczyną. Wstała z krzesła i skierowała się do furtki. Bardzo dobrze.

Nie, nie zamierzała nikogo wyprowadzać z równowagi. Była świadoma, że układ sił na osiedlu z dnia na dzień się zmieniał na jej niekorzyść. Ale w tym przypadku nie mogła postąpić inaczej. Rada osiedla zgłupiała do reszty, wysłać do niej takiego postańca, młodą piękną dziewczynę, diabeł ich opętał, nic innego.

Malina na nią czekała. Musi teraz wrócić do lasu i przyprowadzić ją do szopy. Niech odpocznie po tym upalnym dniu i ona. Wsunęła stopy do poszarzałych od brudu kaloszy. Tylko w takich butach należy chodzić do lasu. Skutecznie chronią przed żmijami, pokrzywami i ostrymi kolcami jeżyn.

Kiedy szła przez osiedle, wyraźnie czuła na plecach ich spojrzenia. Spoglądali zza firanek. Tchórze. Zapewne już znali wynik rozmowy z Dorotą. Patrzyli na nią z dezaprobatą, jakby nie widzieli jej kroków, tylko szpetne machanie skrzydłami. Przypominała im starego gawrona. Może już ją nawet z nim utożsamili. A to nie wróżyło niczego dobrego.

Malina wyczuła niebezpieczeństwo i nie czekała na nią jak zwykle na polance w pobliżu rzeki. Zaszyła się w głębi lasu. Więc szła za nią, za dźwiękiem jej dzwonka uwiązanego u szyi. Pozwoliła się prowadzić swojej krowie, niech tak będzie, niech na jakiś czas zamienią się rolami, niech dzisiaj to Malina wskaże, gdzie mają nocować.

Spotkały się w tak zwanym zakolu, w samym środku lasu, w jego najgęstszym poszyciu, w ciemnej zielonej boazerii osiedla. Malina popatrzyła na nią i weszła do dołu porośniętego paprociami. Ona skuliła się i zrobiła to samo. Ułożyła się przy brzuchu krowy, podwinęła kolana pod własny brzuch. Czekały.

Pod wieczór las rozdudnił się od ich kroków. Kobiety i mężczyźni szli z wiatrówkami przewieszonymi przez ramiona, z myśliwskimi strzelbami. Drzewa drżały od ich głosów. Byli wściekli, żądni zemsty, rozpaleni. Oto muszą odbyć rytuał polowania, żeby ugasić zżerający ich wnętrza ogień. Wyostrzy im się węch. Ale one są bezpieczne. Paprocie zaczęły rozrastać się nad nią i nad krową. Bardziej tworzyły wzgórek niż dół. Przypominały z daleka stary zaniedbany grób. Niech tak się stanie. Grób będzie dla nich kołyską i schronieniem. W imię ojca i syna, i ducha świętego.

Wiedzeni nieomylnym węchem dotarli do zakola. Szukali jej i Maliny pod najmniejszym listkiem paproci, pod krzakiem kaliny, wsadzali palce w poszycie lasu, w mech, rozkopywali ziemię, ale nie mieli śmiałości podejść do grobu. W końcu, nie wiedząc, co zrobić z siłą, która rozprężyła ich ciała, zaczęli muskać się po dłoniach, stopach, brzuchach, a potem wszelkie stworzenie utraciło nad sobą kontrolę. Chuć wypetrza z nich jak wąż. Jeden obłapywał drugiego, nie zważając na wiek, stan czy płeć. Niebo rozwarło swoje podwoje, podwinęło spódnicę, zsunęło białe halki i na obecnych opadły te strzępki ubrań, pozłacane pantofelki, wyrafinowane kozaki na obcasach, paski ze srebrnymi klamrami, wstążki do włosów, haftki od nieprzyzwoicie sztywnych gorsetów, brązowe szelki, tiulowe bluzki i kwiaty, sztuczne kwiaty, które porozkładali na białych piersiach kobiet.

Nad ranem wyszły z grobu. Wszystko posnęło. Posnęły jęki, westchnienia, usta. Pośladki, małe palce, uszy. Czarne dziury, mchy, paprocie. Posnęły sowy.

Przemknęły pomiędzy drżącymi przez sen ciałami. Zauważyła Dorotę, obsypaną białym kwieciami, jakże niewinnie wyglądała ta dziewczyna, kiedy spała. Aż chciałoby się ułożyć dłoń na jej czole i pogłaskać po matczynemu. Oparła się tej pokusie. Zaprowadziła Malinę do ogrodu i zostawiła pod jabłonią. Niech z rana poskubie odrobinę świeżej trawy. Ona jednak nie czuła głodu. Weszła do kuchni i zaparzyła małą filiżankę kawy. Zakropiła ją mlekiem. Usiadła przy okrągłym stole. Wygrała.

**Opowiadanie zdobyło 3. nagrodę w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pausztzy „Mała ojczyzna – pogranicze kultur”, Kargowa 2022.**



\*\*\*

Cieszę się latem  
zielone gałązki z pobliskich drzew  
są jak fale optymistycznych myśli  
koję nimi oczy  
gołębie i inne ptaki  
chętnie odwiedzają mój balkon  
odgłosy z zewnątrz piski ptaków  
hałas czworonogów  
dają o sobie znać  
powiew wiatru uspokaja zmysły  
letniej pory

\*\*\*

Doceniam to co mam  
zdrowe dziecko  
czas którym dysponuję  
mogę wybierać  
pomiędzy jedną a drugą propozycją  
drogi którą zamierzam kroczyć  
spotkania z ludźmi  
dodają mi sił  
w wolnych chwilach  
delektuję się przyrodą  
buszuję po internecie  
słucham radia płyt  
randkuję sama ze sobą

# Iluzja

W kabarecie wieczorem występowali artyści. Między innymi bardzo zdolny iluzjonista Vaclav.

– Panie i panowie – mówił – jeśli brakuje wam pieniędzy, to po prostu je rozmnożcie. Wystarczy dwie monety, różnej płci, położyć obok siebie. – Miał takowe w dłoniach i umieścił je na stoliku, po czym nakrył białą chustą. Muzycy stojący za nim zagrali tusz.

Po chwili zdjął chustę, zaś na blacie były nie dwie monety, lecz kilkanaście. Tyle, ile niepostrzeżenie wysunął z rękawa. Publiczność zaczęła bić brawo, Vaclav ukłonił się szarmancko.

Wtem zauważył, że bilonu jest znacznie więcej. I że wciąż go przybywa... Coraz więcej sztuk spadało na ziemię.

Iluzjonista ukłonił się niezgrabnie. Ludzie natomiast dostrzegli niezwykłą płodność pieniędzy. A gdy te dochodziły do ich stolików, podnosili i wkładali do kieszeni.

Vaclav nie wiedział, co robić. Był jednak pewien, że musi zatrzymać to niespodziewane rozmnażanie.

Zagłębił dłonie w stosie monet na stoliku i wyciągnął spośród nich te dwie pierwsze. Kiedy oddzielił je od siebie, przestały rodzić nowe.

– Drodzy państwo – odezwał się znowu. – Tych piąszków zabierać nie warto. Są one złudzeniem. Gdy wrócicie do domu, okaże się, że w waszych kieszeniach ich nie ma.

Wszyscy mu uwierzyli. Zresztą on sam był przekonany, iż niechcący udało mu się wywołać niezwykle trwałą iluzję, która musiała w końcu minąć.

Nazajutrz rano sprzątaczką ze zdziwieniem zmiatała monety, walające się po podłodze. W każdym razie dzięki nim kilka tygodni później zrealizowała największe marzenie swojego życia: szerokoekranowy, stereofoniczny odbiornik telewizyjny.





# Opowiadanie stewardesy

– W mojej niemal trzydziestoletniej karierze stewardesy był to chyba najtrudniejszy lot. Ledwie samolot wzbił się w górę, przyszła przez radio wiadomość, że żona pilota zaczęła rodzić, ale są jakieś komplikacje. Ponieważ chciał on być przy niej, poprosił mnie, bym poprowadziła samolot, sam zaś wziął spadochron i wyskoczył.

Gdy usadowiłam się na jego miejscu, zawiadomiłam przez głośnik pasażerów, że podczas tego lotu napoje i posiłki serwowane nie będą.

Niedługo potem do kabiny pilota wkroczyło kilka osób, domagając się jedzenia, za które przecież zapłacili. Próbowałam im wytłumaczyć, że nie mogę jednocześnie kierować samolotem i przygotowywać żarcia. Oni jednak pozostawali głusi na me tłumaczenia. Na szczęście wśród nich była jedna kobieta, której syn interesował się lotnictwem i, jak twierdziła, mógłby mnie tu zastąpić.

Rzeczywiście, okazało się, że chłopiec, choć tylko dwunastoletni, znakomicie zna się na samolotach. Bez obawy zostawiłam go w kabinie. Sama zaś poszłam do kuchni gotować zupę jarzynową, w czym pomagało mi kilku ochotników.

Kiedy już wszystkim rozdałam jedzenie, chłopiec wezwał mnie przez głośnik. Zaraz do niego poszłam. Stwierdził, że według niego zbliżamy się do celu, a on nie umie lądować. Ja tego też nie potrafiłam.

Porozumiałam się natychmiast z lotniskiem i poinformowałam o naszych kłopotach.

Na razie kazali nam latać nad lotniskiem. Sami natomiast wysłali mały samolot ratunkowy, który do nas podleciał. Następnie wyszedł z niego licencjonowany pilot i spuścił się po linie do naszego samolotu. Za chwilę pukał do naszych drzwi, a ja mu otworzyłam...

– Nikt tak nie umie opowiadać jak ona. Można by uwierzyć, że to wszystko naprawdę jej się przydarzyło.



### Czytałem

Czytałem z pasją wszystkie kobiety,  
które zbłądziły na mojej drodze,  
przez krótką chwilę, by zbiec jak złodziej  
w nocnym płaszczu gwiazd, w blasku komety.

Chłonałem każde zdanie ich ciała.  
Słowo za słowem leniwą rzeką  
mistycznych doznań płynęło lekko...  
Hmm... a każda kartka w mych dłoniach drżała.

Czytałem każdą z ich kropli potu  
znaczącą ślady na miękkiej skórze.  
A potem – dzikie uniesień burze  
w chmurach pościeli, w promieniach włosów.

Czytałem rozkosz w wierszach oddechu...  
Każdy był inny i brzmiał inaczej.  
Szukałem w słowach ukrytych znaczeń,  
w poezji oczu, w strofach uśmiechu.

Każda pachniała innym pragnieniem.  
Wabiła w sidła, w sieć kobiecości,  
tworzyła wszechświat z zimnej nicości,  
była Boginią, moim Spełnieniem.

A dziś? Są one na półkach wspomnień...  
Nawet nie wiem, gdzie stoi ten regał.  
Zamknąłem drzwiczki, żeby nie zerkał,  
nie dał się skusić, by przyszły po mnie.

# Zapiski na powitanie jesieni

## Werstler

Jechałem, zresztą nie sam, pod koniec września do Żar. Tą samą co zawsze drogą, przez Nowogród, Bieniów, wśród lasów i jesiennych już pól, jak w latach wcześniejszych, często wtedy, gdy jeszcze żył Janusz Werstler. Już legendarny. I warty pamiętania, bo gdyby nie on, gdyby nie jego ambicje i wielorakie starania organizacyjne, to nie byłoby dzisiaj w tym nie za dużym miasteczku środowiska literackiego, mającego swoją ciągłość. Żyje tu i swoje książki wydaje mniej lub bardziej sukcesywnie kilku autorów. Poza Zieloną Górą nie ma drugiego takiego środowiska. Więc praca nie poszła na marne. Dobrze to były lata. Pamiętam odwiedzin w Antykwaracie. Niepowtarzalny jego wystrój i klimat pomagał wymieniać nam zdania na różne tematy literackie, społeczne, polityczne. Janusza obchodziło wszystko, co dzieje się w Żarach, ale i w Polsce. Czuł się zaangażowany i odpowiedzialny. Na pewno bardziej niż wielu dzisiaj. Czasami bywał bardzo krytyczny w ocenach bieżących spraw. Gdy się czyta jego poezje, to te pasje liryczne wyraźnie widać. Piękne są jego wiersze o ludziach, o mieście, o jego architektonicznym wyglądzie, zaniedbaniach fasad i epizodach historycznych. Zachęcał mnie, bym napisał prozę o swoim ojcu. Regularnie dopytywał o to. Ponaślał, że powinienem. Jemu się chciało tym wszystkim żyć. Także przywoływał swoje utracone kresowe rodzinne strony – Kałusz, Bitków i inne. A po takich rozmowach zawsze dbał, by prowadzić mnie do baru po przeciwnej stronie ulicy, bo muszę coś zjeść przed powrotną drogą.

## Zimno

Zimno. I co najgorsze wydaje mi się, że jest zimniej niż lata temu o tej samej porze. A to nieprawda, bo jest tak samo jak kiedyś. Tylko ze mną już nie tak samo.

## Pomarańczowe pasma na niebie

Teraz rano. Niebo całe w szerokich pomarańczowych pasmach. Światło na niebo dopiero zza horyzontu idzie. Słońce pojawi się za kilka chwil. Można rzec, że to jest ekspozycja kosmicznego, na niebie, nad ziemią, piękna. A na ziemi tego piękna mniej z każdym dniem, tygodniem, miesiącem. Czuć rozlewające się tchnienie niepokoju, strachu, niepewności. Między ludźmi to najczęstszy teraz temat. Na Ukrainie śmierć, ruiny, nieszczęścia. Czytam relacje, wywiady, wiadomości. Piekło zgotowane ludziom przez ludzi.

## Głos z Ukrainy

„Czasem wpadam do naszego starego mieszkania. Posprzątać, zabrać jakieś rzeczy. Każdy pretekst jest dobry. Ale jak stoję przy klatce schodowej i patrzę na zniszczone górne piętra bloku, rozumiem, że strach jest silniejszy od tęsknoty. Ludzie przemykają w pośpiechu. Byłe do metra. Z metra – byłe do domu. A z tyłu głowy zawsze ta sama myśl: gdzie dziś przyleci? Czy ostrzelają budynki mieszkalne? A może uderzą w obiekty infrastruktury krytycznej i skończy się prąd, ogrzewanie, woda, stanie metro? Nie schodzimy już do schronu. Nikt nie schodzi, bo na dłuższą metę nie da się tak żyć. Czasem zrywamy się z łóżka kilka razy w nocy. Rano przychodzę do pracy nieprzytomna, patrzę na ludzi, wszyscy są tak samo niewyspani i zmęczeni.”

## Spotkanie w Żarach

Jechałem z Andrzejem i Ewą na spotkanie promocyjne debiutu poetyckiego („spóźnionego”) Romana Krzywotulskiego pod wymownym tytułem, odnoszącym się po części do sytuacji na Ukrainie *Po drugiej stronie granicy*. Co prawda poeta solennie zapewnia, że chodzi nie tylko o tak rozumianą granicę. I ma sporo racji, bowiem granica może pojawić się wszędzie, zwłaszcza między ludźmi, gdy coś istotnie ich podzieli, postawi po przeciwnej stronie, co widzimy. Główny ciężar tego słowa odnosi się jednak do polskiego świata kresowego, którego w zasadzie już nie ma. Zostały szczątki. Stamtąd, czyli mówiąc dokładniej, z Czerniowców wywodzą się tematy i też korzenie biograficzne samego żarskiego poety. Przywołuje Roman w swoim zbiorze ów dramatyzm życia, gdy weszli i panoszyli się „czerwonoarmiejcy” i wszystko się zmieniło na gorsze. Kościoły zamienili na magazyny cementu, splugawili sacrum religijne, ludzie zostali wysiedleni ze swoich domów, mieszkań, wywiezieni wagonami do Polski. Albo zabrali ze sobą obrazy religijne, jakieś drobne sprzęty, wspomnienia i na nowo na „Ziemiach Odzyskanych” byli zmuszeni układać od początku codzienne życie. Niektórzy trafili na Sybir. Wszystko to jest znane i weszło do literatury polskiej. Roman jedne (kresowe) i drugie (tutaj) doświadczenia i obrazy ze sobą połączył, jakby ustanowił ciągłość czasu dawnego i nowego. Wpisał też w wiersze, poprzez odstępstwa domowe i rodzinne, bieg swojego życia, np. pracę zawodową w Żarskim Domu Kultury. Zaznaczył osobiste sprawy, ale i duchowe wzrastanie, lektury przemycanych zza granicy paryskich druków zakazanych, poezje Miłosza. Herberta. Treściom poetyckim dobrą dynamikę nadaje, bo po prostu trzyma ten jego wielki, wielowątkowy cykl poetycki, ów tytuł, który ciągle przywołuje problem „drugiej strony granicy”, i staje się retorycznym leitmotivem. W jakimś momencie mającym znaczenie uniwersalne.

### I like

I like nature landscapes, rural farms, still life, port views – this interests me. Napisałem do pewnego człowieka w Holandii.

### Poeta Roman

Sala żarskiej Biblioteki była wypełniona do ostatniego miejsca. Można rzec, że poeta Roman Krzywotulski został zaszczycony. Mógł czuć się dobrze i zachowywać jak bohater wydarzenia. Ileż gratulacji i pochwalnych słów zostało do niego skierowanych. Potrafił się w tym wszystkim odnaleźć. Jest nawykły do bezpośrednich, żywiołowych reakcji w kontakcie z publicznością. I już nieważne, czy zawsze miał rację. To było jedno z ciekawszych spotkań, w jakim miałem ostatnio okazję brać udział. Nie było nudne. Poetę spotkało uznanie i pochwalne przyjęcie, śpiewanie, przemowy, upominki. Czytano jego wiersze i on sam czytał nowe utwory. Przyszedł czas dzierżenia palmy pierwszeństwa w lokalnym środowisku, a to będzie zobowiązywać. Potem sernik jedliśmy, wino „Primitivo” piliśmy.

### Grzyby

Pojechałem na krótko do znajomych. Rozmawialiśmy o grzybach, bo akurat z obfitym plonem wrócili z grzybobrania, więc tylko o tym mówiliśmy. Jesienny ich czas nastał. W lasach pojawił się wyjątkowy wysyp. I chyba udało się zupełnie na kilka chwil oderwać od przytłaczającej determinanty, jaką jest wojna, jaką stało się na Morzu Bałtyckim uszkodzenie ładunkami wybuchowymi dwóch nitek rurociągu gazowego Nord Stream. I udało się oderwać myśli od coraz częściej powtarzanych gróźb nuklearnych ze strony Rosji. Ten lęk jednak wrócił.

## **Osoba**

Jeśli coś złego może człowieka spotkać, zresztą nie tylko w pojedynczych relacjach, ale zwłaszcza w szerszych społecznie, bo międzynarodowych, to jest to insynuacja, dopatrywanie się czegoś, czego nie ma, świadomie przypisywanie zmyślonych intencji i faktów, które nie mają miejsca, bo tkwią w urojeniowym mózgu. I rodzą podejrzliwość. Takie zachowania mają katastrofalne konsekwencje. Wiem coś o tym, gdy nagle ktoś pisze do mnie rzeczy, o których nawet nie pomyślałem. Tak jak pewna osoba z monstualnymi pretensjami do bycia całym alfabetem jedynie słusznego rozumienia świata.

## **Nie**

Nie zdziwię się już niczemu. Nastąpiło rozprężenie międzyludzkich zachowań, taka degeneracja w sferze zasad, że można spodziewać się wszystkiego. Jedynym regulatorem, i to negatywnym, są emocje, ślepe emocje. Skrzywiony charakter zachowuje się krzywo. Dialog zostaje wycięty. Arogancja wiedzie prym. Destrukcja na całego. Jeśli ten stan radykalnie się odmieni i karta myśli wróci na jasną stronę, to będzie to już wyłącznie cud. Interwencja z innego świata.

## **Ogród**

Ogród ma rację. Wiosenny, a teraz jesienny. Też bujny, lecz bardziej bujny w panoszące się zielsko. Zajęty jest jednak nadal kreacją. Każde ziarenko i łodyga wzywana zostaje do owocowania przez wilgoć i światło. Spełnia się. Nigdy łodyga nie rośnie przeciwko samej sobie. A co potrafi człowiek? Jak potężnieje w nim łądunek ciemności, kiedy tylko ciemnością się napawa. Też ogromnieje, owszem, ale w kierunku ciemności.

## **Sikorki**

Przyleciały ze Skandynawii. Już są. Lubię te ptaki kolorowo upierzone. Z gałązki na gałązkę przeskakują. Pożywają się z nadzieją, że wrócą, skąd przyleciały. Chętnie też bym gdzieś poleciał przetrwać ten okropny czas, ale nie da się. Miejsce jest tylko tu i teraz. Więc przetrwam czy nie przetrwam. Wraz z innymi.

## **Wyłączyć się**

Po trzech godzinach siedzenia przy komputerze, szukania czegoś, klikania, już nadszedł czas wyłączyć się, gdzieś bez celu iść, na bezdroża najlepiej. Gdzie kosmos kształtów, barw, tonacji, zapachów, odzywających się głosów, form natury. Wszystkie te, jak je nazywam, rzeczy powszednie, drobiny, wymagają wrażliwości, żeby na skutek nazbyt długiego myślenia i namyślenia się, co słuszne, a co nie, nie popełnić głupiego błędu. Idę więc, choć jeszcze nie wiem dokąd.

## **Obraz**

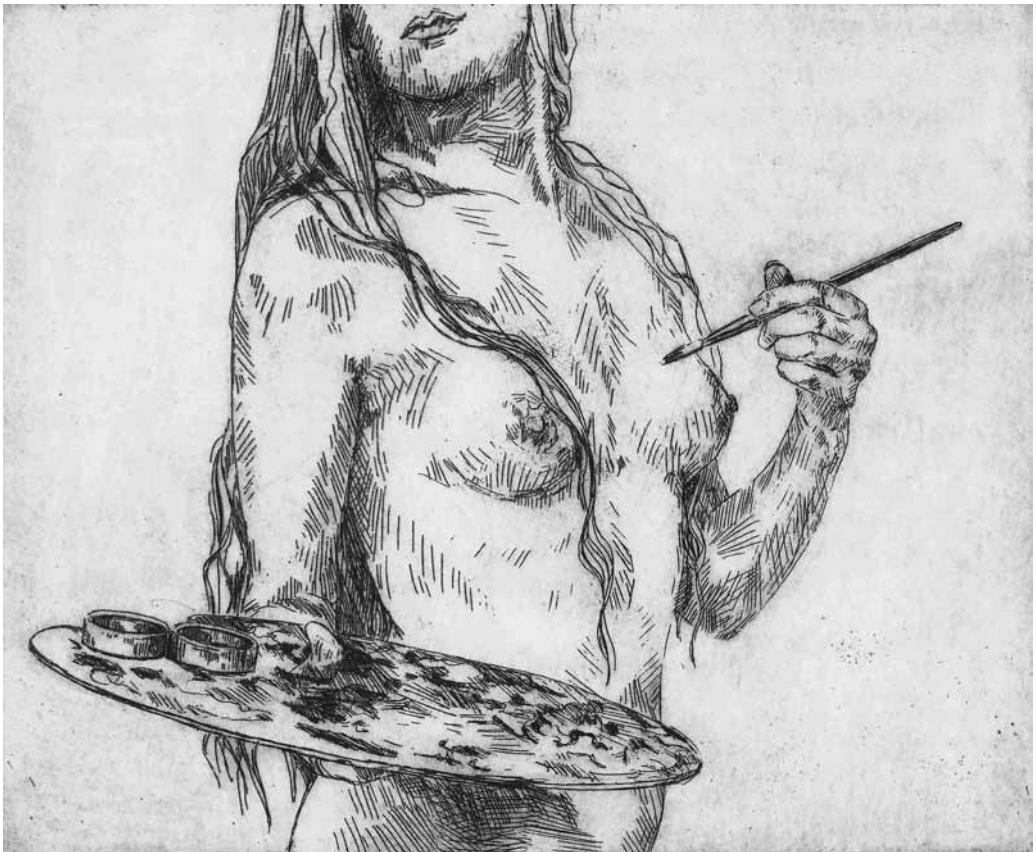
Na holenderskim obrazie widok łąk i dalekiego horyzontu. Gdzieś pasą się ledwo zaznaczone krowy. Blżej spore siedlisko wierzb. Woda. Pomyślałem, że to nie inaczej niż w Jaromierzu, w moich stronach rodzinnych. I poczułem płynące od trawy, nieba i drzew jakieś ciepło.

## **Liście brzoskwini**

Obudziłem się, a potem wstałem, gdy było jeszcze dość ciemno. Jednak już widniało. Z kuchennego okna miałem widok na zarysy ogrodu, którego ciemna roślinność tonęła w mroku, ale liście brzoskwini już zaznaczały się bordowo. Było urzekające widzieć ich czerwień wtopioną w czerni, emanującą tajemniczą barwą. Jakby starały się wyodrębnić nie natarczywie, lecz stanowczo swoją obecność. Wraz z nimi dramatycznie z nieistnienia wynurzało się piękno.

## 77 wydań „Pro Libris”

Kiedy składałem tekst do pierwszego, oczekiwanego wydania pisma, o które upominało się środowisko twórcze, nie przypuszczałem w najśmielszych rojeniach, że przetrwa ono 20 lat. Chętnie policzyłbym, ile przez te lata moich tekstów się ukazało? Ile było spotkań, rozmów, telefonów i odwiedzin Ewy Mielczarek w związku z kolejnymi wydaniem kwartalnika? Za sprawą opublikowania przez Jolantę Chwastyk-Kowalczyk monografii „Pro Libris”. *Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne (2001-2021)* można się przekonać, że nie tylko ogrom treści literackich i stricte publicystycznych się uobecniał (na bieżąco tego nie dostrzega się), ale w dużej mierze spełniła się jego rola kulturotwórcza. Środowisko pisarskie i intelektualne mniej lub bardziej skutecznie wykorzystało tę szansę. Oczywiście. Jego kształt wzbogacił się o wiele nowych nazwisk i różnych postaw. I tekstów. Można mówić o normalności. Często myślimy o lubuskim regionie i trzeba rzec, że został on znacząco, wielorako opisany, a to dowartościowuje polską tutaj obecność. Każdą wydaną książkę, napisany wiersz, namalowany obraz, i także tę monografię, można, należy potraktować jako swoistą pieczęć obecności. Trzeba taką świadomość kultywować. Można bytoby mi wspominać różne epizody, nieuniknione spory, ale i zastanawiać się, czy szansa została należycie wykorzystana? Czy poza regionem pismo będzie zauważone jako ważny uczestnik życia kulturalnego w Polsce? Raczej w niewielkim stopniu. Każde środowisko dba o siebie, a już mniej o tych spoza. Moim zdaniem najważniejsze jest, by „Pro Libris” istniało nadal i jak najpełniej dawało wyraz artystyczny i opis spraw tej naszej, lokalnej ziemi. W bezprogramowej służebności dopatrywałbym się jego najważniejszego atutu.



## Wiersze z cyklu *Szepty szumy*

### Proces

jestem *ciało*  
dlatego mówili że grzech  
jestem *dzikość*  
więc chcieli mnie ośmieszyć  
jestem *siła*  
posądzili o czary

wzbiera we mnie wiedźmy szloch  
we wszystkich połkniętych księżycach  
w każdej kropli utraconej krwi  
żał za oszukaną młodością

teraz gdy w kurzych łapkach  
rodzi się moja moc  
słyszę wreszcie echa prababek  
moja siła sięga daleko wstecz  
aż do ery sprzed rycerzy chrystusa

budzi się we mnie czarownic krzyk  
nagim ostrzem przecina sznury  
którymi spętali mi umysł

zakłęcia matki ziemi kiełkują mądrością  
choć myśleli że na lekcjach religii  
starli je w proch  
nie jestem żebrem Adama

pulsuje we mnie  
zapomnianych bogiń śpiew  
dotarł do mnie łańcuchem pępowin  
pomimo zbrodni inkwizytorów

i nic już go nie zagłuszy

dojrzewa świadomością  
nabrzmiwa odwagą

jestem *piękno*  
jestem *mądrość*

i rodzę kolejną czarownicę

### Ojcowie Kościoła

mężczyźni z kompleksem Edypa wymazali pamięć bogini matki.  
Aszera miała za dużą pupę i zbyt obfite piersi,  
ciężko to było wytrzymać.

Bóg Ojciec wystarczy do stworzenia życia, stwierdzili  
a wszyscy Adamowie przytaknęli,  
ale w sumie to jakąś rozrywką by nie pogardzili.

Ewa była jednak dla nich za mądra,  
w końcu wcześniej zjadła ten owoc, od którego się wie.  
Pomówili ją o zbrodni przeciwko ludzkości  
i do dziś jej nienawidzą, chyba dlatego, że poczęcie z żebra  
jednak się nie przyjęło i byli zmuszeni rozdziewiczać boginie.

Dla ratowania wizerunku, męski bóg potrzebował syna.  
Niestety ktoś musiał go urodzić,  
ale Mesjasz ze spermy był nie do pomyslenia,  
więc wmówili Maryi dziecko w brzuch Duchem Świętym.  
Odtąd – choć szanowali surogatkę –  
było ich w trójcy jedynej prawdziwej trzech chłopa,  
ot, zwyczajna patchworkowa rodzina.

Syn chciał coś zmienić, gdy się zakochał,  
ale mu małżonkę wywalili z kościoła,  
bo przecież wariatka i do tego prostytutka.

Wszystkie one takie same, te czarownice,  
niech im ogień słuszną śmiercią będzie.  
Ojcom Kościoła ta magia w głowie się nie mieści  
mogłaby zaprzeczyć ich wielkości:  
oto kobiety potrafią bogów urodzić  
i jeszcze własnym mlekiem karmić.

A bogowie najwyraźniej nie radzą sobie z faktem  
że przyszli na ten świat przez pochwę.



Mirosław R. Kaniecki

# Dzienniczek Wojtusia

będę zawsze pamiętał ten dzień w którym polscy skoczkowie narciarscy zdobyli w konkursie drużynowym złoty medal na mistrzostwach świata w Lahti i urodził się mój wnuk

będę zawsze pamiętał tę noc czterogodzinnej operacji podczas której usunięto mu 60 centymetrów jelita a lekarz powiedział synowi że statystyka w medycynie nie sprawdza się

będę widział zawsze to kolorowe zdjęcie zrobione przez synową na którym leży nagi jedynie w pampersie jak Jezus na krzyżu z opaską na biodrach z opatrunkiem na brzuchu podłączony do kroplówki i innych przyrządów których nie potrafię nazwać

kiedy kłóciłem się z Bogiem wiedziałem że nie miałem argumentów i tak było dobrze przecież nie odpowiada wprost na nasze pytania

przypominam sobie wiersz ks. Jerzego Szymika Mówią, \ że Cię wszechmoc uwiodła, \ że Ci się nie udało starość i dziecko z wodogłowiem. \ Mówią, \ że się z Tobą rozeszliśmy już dawno, \ że hipoteza Twojego istnienia jest tanią pociechą

nie jesteśmy sami jedni obiecują modlitwę drudzy trzymanie kciuków w co kto wierzy wspierają wszystkie życzliwe myśli i msze święte w wielu miejscach bonus za życie w cieniu kościoła

najważniejsza wiadomość niepodana w żadnych wiadomościach telewizyjnych w programach radiowych ani nieodnotowana w jakimkolwiek czasopiśmie wnuk żyje (jako pilne prezentowano wyniki ostatnich czyli kolejnych sondaży poparcia partii politycznych)

mogły pozostać tylko zdjęcia mamy w stanie błogosławionym obok szczęśliwego ojca pierwsze po urodzeniu zrobione komórką i kolejne u mamy na rękach z tatą czytającym Tolkiena z babcią z dziadkiem z matką chrzestną z ciocią

wiersz którego nie musiałem napisać a w nim pieluch całuny nieubrane ubranka zamiast łóżeczka trumienka zamiast wózka karawan i nic nie tłumaczące „Bóg tak chciał”

z wnukiem nic nie można zaplanować syn zamierzał gdy będzie miał dwa tygodnie pojechać z nim do lasu a potem 26 marca obejrzeć razem mecz piłki nożnej Czarnogóra-Polska w telewizji martwica jelita pokrzyżowała plany

telefony kilka razy dziennie przekazywanie nowych informacji rozmowy na ulicach przed kościołem przy przygodnych spotkaniach zdziwienia dlaczego wam to się trafiło (nie nam wnukowi) komuś musiało to tylko statystyka siostra mojego ojca gotowa prawie płakać

Pèter Esterhàzy napisał *Dziennik trzustki* to jego ostatnia książka czytam jej fragmenty w „Zeszytach Literackich” przecież wnuk nie umie jeszcze pisać żeby mógł pozostawić *Dziennik krótkiego jelita*

starsza córka kupiła żonie pendrive’a żeby mogła sobie oglądać zdjęcia na ekranie telewizora wyjmowany jest on z wejścia tylko w celu dogrania kolejnych fotografii żonie najbardziej podoba się wnuk ukochany

mam sześćdziesiąt lat pomyślałem więc że jest mało prawdopodobne abyśmy razem z żoną byli na wnuka ślubie podzieliłem się z nią tą refleksją odpowiedziała na to ty martw się czy będziesz przy pierwszej komunii to prawda nie byliśmy już na jego chrzcie w szpitalu przed operacją

przeczytałem wnukowi kilka aforyzmów z *Myśli nieuczesanych wszystkich* Stanisława Jerzego Leca (prezent od dzieci na moje pięćdziesiąte urodziny) mógłbym powiedzieć z pamięci ale to nie to samo

powiedziałem do kolegi w pracy przy zmianie dyżuru wnuk cztery tygodnie już jest w domu a on na to że jego córka urodziła martwą córkę człowiek mówi Pan Bóg słowa nosi wnuk po kilka dniach był z powrotem w szpitalu

najważniejsze pytania jakie kupki i czy przybiera na wadze a z jednym i drugim różnie bywa pojawiała się krew 120 gramów mniej 100 więcej

takie prorocтво w trzecim miesiącu jego życia podczas trzeciego pobytu w szpitalu pani doktor powiedziała że będą spotykać się często

w okolicach mojej pięćdziesiątki zastanawiałem się czy jestem ciekawy świata za lat dwadzieścia czy chcę widzieć do czego doprowadzi cywilizacja czy chcę do tego czasu żyć teraz jestem ciekaw wnuka za tydzień za miesiąc za rok za dwa lata za pięć dziesięć dwadzieścia

liczenie dni ile spędzonych w domu ile w szpitalu raz więcej tych pierwszych później drugich kolejne liczenie miesiąc dwa miesiące trzy miesiące od urodzenia od operacji tydzień w domu dwa tygodnie trzy

my nie planujemy my chcemy mówią udało się przyjechali do nas wnuk zasnął przy stanie 10:7 w drugim secie dla polskich siatkarzy w meczu ligi światowej z Włochami wieczorem finał ligi mistrzów przespał w międzyczasie zdjęcie z wieżą krzyżacką w tle

mam marzenie żebym kiedyś mógł go usypiać żebym mógł czytać mu *Kajtusia Czarodzieja* albo *Małego Lorda* żeby wieczorem na suficie wyświetlić mu bajki aparatem Ania te same które oglądali jego tata i ciocie

Pèter Esterhàzy zastanawiał się czy wiara zawsze pomaga i w ogóle czy ma pomagać może zaryzykuję wiara bez kłopotów martwa jest napisał także świeci słońce to też coś

wniosłem wnuka w foteliku samochodowym na piąte piętro (w ich domu nie ma windy) powiedziałem do synowej i syna że jestem z siebie dumny ale poprawiłem się duma to nie jest moje ulubione uczucie zwyczajnie cieszyłem się z tego

coraz trudniej o nowe frazy patrzę na wnuka i myślę oto wielka tajemnica życia ile możliwych scenariuszy ile dróg ile ścieżek ile rozstań ile spotkań których nie ocalę od zapomnienia

żona puszcza nagrany na dyktafon w komórce płacz wnuka i ma łzy w oczach przytulamy się do siebie ma też inne nagrania jak razem rozmawiają już kilka lat temu powiedziała starzej się coraz łatwiej się wzruszam

**twoja egzystencja jak stara kamienica**

moja egzystencja jak stara kamienica  
nie to że grozi zawalaniem  
nie to że lepiej się nie zbliżyć  
przysięgam ja tylko  
czuję się jak do wyburzenia  
w środku nic wartościowego  
nie ma same śmieci  
profanacja nadziei na lepsze dziś  
trochę tęsknoty  
za tym czego nigdy nie było  
może za sobą  
zarasta jak bluszczem  
fantomowym bólem  
całego miasta bólem  
okna wybite na świat  
i przez świat  
sama tylko zaglądam  
trzymam się z dala od wnętrza  
mało znajome a niby własne  
chyba boję się że  
już tu nie mieszkam

**kolekcja świadomości**

szukałem siebie jak zgubionej drogi do domu  
szukałem w rysach na bladym suficie  
w promieniach słońca pod zasłoniętymi roletami  
w kłębach kurzu pod nieścielonym łóżkiem  
w tykaniu zegara i dźwiękach budzika  
w kilku rzęsach przyklejonych do policzka  
szukałem nawet pod opadniętymi powiekami  
i w sobie chyba  
w sobie chyba również szukałem  
i szukam dalej nieprzerwanie  
w każdej myśli wijącej się po głowie  
w każdym oddechu i uderzeniu serca  
w każdym słowie ust nie tylko własnych  
choć wiem dobrze  
to nie coś co da się znaleźć  
najwięcej mnie w samym szukaniu  
najwięcej gdy zaakceptuję że jestem

**łachmany\***

wyprane miałam myśli  
białe gotowe do poukładania  
zanim wrzucono mi do głowy  
czarną jak godzina skarpetkę

przestałam odróżniać kolory  
potrzebuję kogoś kto powie mi wprost  
że czarne jest czarne i białe jest białe

a ty odbierasz mi nadzieję jak  
telefon gdy dzwoniłam w środku nocy  
jeszcze jedną szóstą więzi temu  
gdy me lęki i obawy zakradały  
się w poduszki i krzyczały  
mi do ucha choć skupiona byłam  
na traceniu resztek swej  
osobowości

teraz patrzysz na mnie tą swoją  
szeroką gamą kolorów  
wiem że oboje wreszcie widzimy  
to samo

\*Wiersz nagrodzony podczas Turnieju Jednego Wiersza w Cafe Noir 14 czerwca 2022 roku.

# Krótką spowiedź z brudnego wieczora

Mimo że w głośnikach Stonesi wyją na fula, to i tak za ścianą słyszę lejącą z kranu wodę, która działa na mnie dziwnie kojąco. Ten dźwięk sprawia, że przed oczami mam obraz wodospadu, chyba Niagarę. A jestem przecież w swoim zatęchłym, tanim mieszkaniu.

– Kiedyś sobie wymyśliłem, że ludzie wchodzący na fora poświęcone opowiadaniom pornograficznym to będzie świetne audytorium! – krzyczę do niej, bo siedzi w łazience. – Teoretycznie to świetne miejsce! Można napisać, co się chce, jest pełna swoboda słowa, zero cenzury! Z początku pisałem takie lekkie gówno o bzykaniu, niepoważne porno, chyba chcąc do siebie tych ludzi zachęcić, ale nie wiem, bo raz że na początku w ogóle o tym nie myślałem, a dwa to i tak przecież robiłem to anonimowo! Potem zacząłem pisać coraz mniej o bzykaniu, a coraz więcej o życiu, o człowieku! Staram się tworzyć dziwne twory, filozoficzno-erotyczne hybrydy, które będą jednocześnie proste i intrygujące! Lekko się to pisze, wkładam w to serce i zero wysiłku! No i potem te teksty lądują na forum i leżą tam sobie, w towarzystwie reklam z rozdziawionymi cipkami, wielgachnymi balonami i wiecznie twardymi kutasami! To są te średnie teksty, ale przyznaję się do nich, bo mam do nich słabość i sentyment! A poważne, dobre kawałki, przynajmniej ja uważam je za dobre, to są głównie te, które mi drukują przeróżni wydawcy! A właśnie do nich docelowo chcę tych wszystkich ludzi zachęcić, całe to pornograficzne gówno traktuję jak haczyk! Chcę, żeby postrzegano mnie jako człowieka i pisarza, mam swój styl, mam swoją klasę, buduję własny mit!

Drzwi otwierają się na oścież i wychodzi z nich ona. Gasi za sobą światło i zbliżając się do mnie, posyła cklivy uśmiezek. Zauważam, że poprawiła sobie to i owo przed lustrem. Niech jej będzie.

– Tylko problem jest taki, że moi czytelnicy mają w dupie te poważne teksty, mają w dupie to, co chcę im powiedzieć – mówię do niej, oglądając, jak gładko składa swoje pośladki na sofie. – Nie obchodzi ich nic poza tym cholernym seksem. A przecież seks, jak każdy inny temat, może stać się w końcu nudny i przewidywalny. Przecież zawsze kończy się tak samo.

Zakłada odważnie nogę na nogę, spódniczka podjeżdża jej wysoko, odkrywając kawałek czarnych majtek w miejscu piczy. Jasna skóra ud błyszczy w świetle żarówki niczym z diamentu. Wyjmuje papierosa z torebki i chrząka, uruchamiając moją reakcję. Nachylam się i zapalam jej fajkę. Dziękuje mi ciepłym uśmiechem, czerwone wargi przypominają krew, a potem zaciąga się niby od niechcenia.

– Ostatnio napisałem krótkie opowiadanie o samotności i był też seks. Ale zrobiłem tak, że ruchanie było na drugim albo nawet trzecim planie. Dosłownie ciut o tym przewidywalnym seksie, jedna krótka scena. Oburzili mnie za to błotem. Moi czytelnicy. Ci sami, którym staję, albo te same, co robią się mokre, od tekstów analfabetów, niepotrafiących skleić zdania z sensem i bez błędu. Ci sami wyczekujący każdego tygodnia na moją nową historyjkę o szybkim i ostrym bzykaniu, kiedy piszę pod pseudonimem. Nie czają tego zupełnie.

Znowu zaciąga się papierosem, potem strzepuje popiół na dywan i spogląda na mnie ze znużeniem czy pogardą, czy też z chuj wie czym. Chyba przynudzam, ale nie potrafię się opanować. Mam ochotę to wyrzygać, całe to gówno zalegające mi na duchu. No i to w brzuchu w sumie też. Za dużo czystej wody, za często.

Czuję się okropnie.

– Wiesz, co im by się podobało? – pytam, nakręcając się niczym kołowrotek. – Wiesz, o czym chcieli przeczytać?

– No co? – Głos ma szorstki jak papier ścierny, zdarty chyba przez kontener fajek i studnię ginu.

Zanim mówię jej, kurwa, co, wstaję i idę się odlać, bo naciska mnie na pęcherz. Muszla klozetowa wydaje się ruszać, uchyla się jebana przed strumieniem moczu. Potem kłękam, bo zbiera mi się na pawia. Nie rzygam jednak. Podnoszę się po tej nierównej walce i płuczę usta lodowatą wodą. Kiedy wracam, mój pojętny gość siedzi w tej samej pozycji. Kolana ma dziwnie gładkie, nieskazitelne wręcz. Jak dziewica, którą była trzydzieści lat temu, a może nawet wtedy nie. Czy kurwy też rodzą się dziewczycami?

– Wiesz, co by tym skurwysynom się podobało? – zaczynam znowu. – Wiesz co?

– Co, misiu?

– Jakbym teraz złapał cię za cyca, drugą rękę wsunął pod te twoje czarne majtki, zerwał je i zaczął robić ci ostrą palcówkę.

– Może być, stonko.

Sięgam po butelkę wódki, ale zamiast wlać sobie do kieliszka pociągam mocno z gwinta. Ona patrzy na to z uśmiechem godnym klauna. Podziwia mnie albo mną gardzi. Zasadniczo lata mi to koło chuja. Jestem na swój sposób wielki, ale jestem też gównem wart. Ja to wiem i ona to wie. Odstawiam z brzękiem czystą i przysuwam się do niej. Pachnę spirytusem, jej japa papierochami i jeszcze czymś. Po chwili chyba już wiem – spermą setki facetów. Jesteśmy siebie warci, dwa brudne kundły. Całuję ją w usta i nie dlatego, że mnie to rajcuje, ale dlatego, że tak trzeba. Zgrywam samca alfa, muszę przecież, a ona to głupia suka, która znalazła się tutaj tylko dla jednego – to oczywista oczywistość, ale jakoś od godziny nie mogę się do tego zebrać; jestem kopnięty na dekiel. Wargi mojej sprzedajnej niuni są gumowate i żarłoczne, boję się, że zaraz mnie zje. W końcu się od niej odklejam i wracam do butelki. Stwierdzam, że lepiej mi z tą drugą.

– Albo wiesz, co by ich podjarało? – wracam znowu do tematu.

– No?

– Jakbym cię rznął, ale ty byłabyś moją ciotką. Albo najlepiej matką. O tak, to by im się spodobało, do kurwy nędzy. Jakbym zerznął swoją rodzoną matkę i im to opisał, wszystko dokładnie, ze szczegółami. Fiut wchodzi do cipki, potem się w niej rusza, potem ją rozrywa, rozpieprza ją z furią, a na koniec zlewam się tak obficie, że wychodzi to jej z drugiej strony, gałami jej to wychodzi aż!

– Możesz mówić do mnie mamó, jak chcesz.

Przez chwilę się nad tym zastanawiam, ale uznaję to za chory żart. Pierdolona kurwa, myślę sobie. Moja droga muza, uzależniająca jak narkotyki. Powie wszystko, byleby dostać swoją dolę. I zrobi wszystko. Dla niektórych mamona to więcej niż świętość. Niektórzy zjedzą spod siebie własne gówno i paradoksalnie cena nie musi być wysoka. Jesteśmy jak psy, nie, gorzej – jak świny w chlewie. Mamy nawet taki sam kolor skóry. Duża część z nas w każdym razie.

– Obrobić ci druta? – pyta mnie nagle, kładąc dłoń na wewnętrznej stronie mojego uda.

Przez chwilę patrzę na to, jej ręka gładzi wprawdzie miejsce blisko interesu. Jest w tym coś tragicznego. Zastanawiam się, czy jest już znużona tą moją gadką i stąd to pytanie.

– Na razie nie, dzięki – odpowiadam i wstaję.

Zaczynam łączyć w kółko po pokoju. Powietrze jest szare od dymu, za oknem zieleń czarna, nieprzenikniona pustka. Widzę nasze skrzywione odbicia i zaczynam się śmiać, nie wiem czemu właściwie. Potem wracam i znowu siadam obok niej. Wyciągnięte nogi tej piczy mają w sobie coś z magnesu. Kładę dłoń na jej udzie i trzymam tak chwilę.

– Gdybym napisał, że jesteś moją ciotką z wielką, dużą dupą i nadmuchanymi balonami do kompletu, wtedy to opowiadanie byłoby paradoksalnie świetne – oznajmiam zrezygnowany.

– I co byś zrobił swojej cioci? – zadaje mi pytanie.

Wiem, że w ogóle mnie nie rozumie, nie jarzy, co do niej, kurwa, mówię. Nie czai, że otwieram przed nią duszę, obnażam cały jak pieprzony męczennik, że mi z tym wszystkim zwyczajnie źle.

Czuję się okropnie, czuję się brudny.

- Nie wiem, do cholery jasnej, co bym zrobił swojej ciotce – warczę nieprzyjemnie.
- Wylizałbyś jej cipkę? – ciągnie dalej, z miną jakbyśmy pierdolili właśnie o pogodzie.
- Pewnie tak – odpowiadam już spokojniej.
- Chłeptałbyś z jej miseczki, wychłeptałbyś całe mleczko z jej słodkiej, mokrej piczy?
- O Boże, chyba tak. Tak sądzę.

Zabieram łapę z jej nogi i odchylam głowę. Chowam twarz w dłoniach i zaczynam przeklinać cicho i są to bardzo przykre słowa. Mam żal do siebie i do świata. Do niej jednak nie mam. Jest tylko zwykłą kurwą, która musi mnie dzisiaj znosić. Właściwie to jestem jej za to wdzięczny. Ostatni z niej samarytanin w kompaktowym ciele kobiety – rozumiecie, o co mi chodzi, nie? No w takim ciele, które to miło mieć pod sobą w czasie dymania, ale za które nie wstydzicie się przed starym, jakbyście przyprawili do domu krowę.

– Przecież mnie do chuja drukują w poważnych, ogólnopolskich czasopismach. Wydaję własną powieść. Moje nazwisko jest na okładkach razem z Bryllem, Iwaszkiewiczem czy Herbertem. Dlaczego oni tego nie rozumieją? Dlaczego mają to wszyscy totalnie w dupie? Po co rozmieniam się na drobne, pisząc te podłe historyjki z cipami i chujami w roli głównej? Na co mi to? Co chcę tym osiągnąć?

– Nie wiem tego, skarbie. Nie wiem.

Pewnie, że tego nie wie, myślę sobie. Potrafi tylko dobrze złapać faceta za jaja, to wszystko, czego nauczyła się w ciągu swojego kurewskiego życia. Właściwie to też jest ważna umiejętność. Daje facetowi to, czego nie umie dać mu jego dziewczyna, żona, kochanka. Każdy ma określoną rolę we wrzechświecie.

– Poeci toną po czoła w obsranych toi toiach – ogłaszam jej i sobie, i wobec.

– Poeci nikogo nie obchodzą – stwierdza sucho.

– Racja. Napijmy się lepiej.

Pijemy i jest mi w końcu wszystko jedno. Idę do kuchni, chwieję się, starając utrzymać pion. Mam klasę, mówię do siebie w głowie. Nie wypieprzę się. Mam klasę. Otwieram lodówkę i ze smutkiem stwierdzam, że mam tylko dwa piwa. Wracam z nimi, a potem nieudolnie staram się otworzyć jedno o drugie. Zostawiam je w cholerę.

– Słuchaj, za pięć minut zacznie się kolejna godzina? Mam sobie iść czy co? – pyta mnie, a minę ma bardzo poważną, bo żarty się kończą.

Kiwam głową, że rozumiem. Atmosfera spierdoliła się z wysokiej góry.

– Boję się, że to mnie w jakiś sposób zniszczy, że to kiedyś pożre moją duszę – wyznaję.

Spokój i smutek w moim głosie zadziwia nawet mnie.

– To jak? Mam wyjść? – ponagla mnie, ignorując wcześniejsze słowa.

Pieprzona materialistka i głucha pinda. W każdym razie kiepski materiał na żonę.

– A ile to będzie? – pytam.

– Teraz? Dwieście. Za pięć minut już pięćset.

Podnoszę się, wzdycham ciężko, ale idę po ten zasrany portfel. Wyciągam kasę i wręczam jej odliczoną dolę. Przechodzimy do korytarza, a ona zaczyna się ubierać, a właściwie to niewiele ma do ubrania, bo wcale się nie rozebrała. Zarzuca na ramię torebkę, ja łapię za klamkę i otwieram drzwi. Wychodzi. Zatrzymuję ją na ostatnią chwilę. Spogląda na mnie zmęczona, jej niebieskie oczy nie mają nic z błękitu nieba.

– Słuchaj, mogę napisać, że cię zerznąłem? – pytam trochę zrezygnowany.

– Możesz napisać, co chcesz, kochanie, nic mi do tego.

Składa wargi na moich ustach i znika po chwili za drzwiami. Wracam do pokoju i opadam znużony na sofę. Patrzę na ten rozpierdol w salonie, na marny stół kawowy z IKEA. Puste butelki, pety, pudełko po pizzy, nieodpakowana prezerwatywa. Odpalam telewizor, a bomby spadają blisko, bomby spadają daleko, zawsze gdzieś spadają. Sięgam po piwo i udaje mi się je w końcu otworzyć. Doklejam się jak noworodek do cyca matki i ciągnę z takim samym zaangażowaniem. Cofa mi się, ale połykam kwaśnego bełta. Wygrywam. Po raz kolejny.

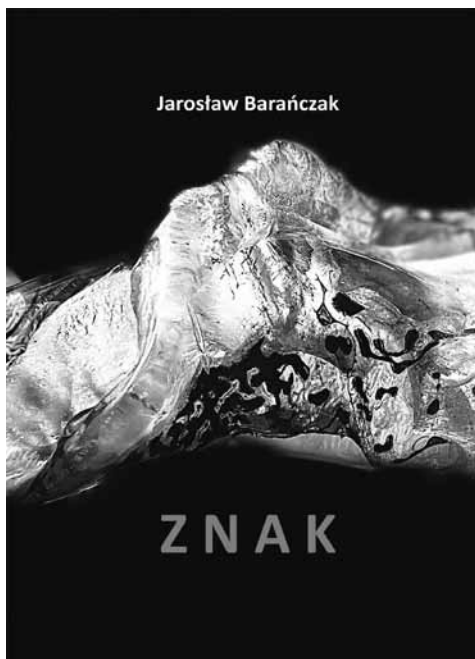
Czuję się okropnie, czuję się brudny, czuję się kurwa, martwy.



Andrzej Draguła

## Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja dla Jarosława Barańczaka

(laudacja)



### Jarosław Barańczak, *Trzej królowie*

stali na rogu ulicy pod czerwonym neonem  
wiatr zjadał resztki ich wytartych płaszczy  
niebieskie niebo z błyszczącymi puszkami  
zwiślało z przemarzniętych dłoni  
mówili o Betlejem którego szukali  
gdzieś pod tamtymi mostami  
śnieg sypał mirra i kadzidło spadały  
na rozmokłe błoto i na chłopca  
który uciekał z domu Heroda  
wędrowali z odległych stron  
klękać nie było im łatwo  
ręce przyciskały do piersi pomięte gazety  
coś tam chowali w ciepłe  
może nieśli jeszcze nadzieję

Zobacz

Jak wiadomo, poezja żyje wraz z czytelnikami, wchodzi w nieustanny dialog z kontekstem czasowym, w którym przyszło im żyć. Ten kontekst jest dzisiaj więcej niż oczywisty. Jest nim wojna. Co po poezji w czasie wojny? Co po poezji w czasie marnym? Trudno o to nie zapytać w dzień, gdy świętujemy poezję, gdy świętujemy literaturę. Patron Biblioteki, Cyprian Norwid, pisał: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...”. A my z przerażeniem uświadamiamy sobie, że biblijny Herod wciąż ma się dobrze, a jego kolejne wcielenie czyha na betlejemskich chłopców. Niczym trzej królowie przyciskamy dziś do piersi pomięte gazety pełne spływających live internetowych niusów o wojnie. W zacisznym cieple składamy ręce do modlitwy albo zaciskamy je w niemym buncie. Czyły narrator w nas zamilkł. Czy to już wszystko, co może zrobić poeta? Co więc po poezji w czasie marnym, gdy „nad horyzontem błyska się i słychać szcęk żelaza”? Poezja nie rozbroi bomby, nie powstrzyma pocisku, nie uratuje życia żołnierza – to prawda, ale jak pisze ukraiński poeta, Borys Humeńnik, w cyklu *Wiersze z wojny*: „Wiersze były tam gdzie nie ma miejsca dla wierszy / Wiersze widziały wszystko”. I dobrze, bo – jak wiemy – „poeta pamięta”.

Jak brzmi poezja naszego laureata czytana *in tempore belli*? Dominujący poetycki ton nagrodzonego tomu wyznacza czas terazniejszy tak mocno zamanifestowany we frazie „a przecież jestem” (*Nie poznałem*). Istnienie pozostaje dla poety przedmiotem nieustannego zadziwienia. Już w tytułowym

wierszu pt. *Znak* pojawia się pytanie stawiane przez „wysmukłego / pasterza stada białych kóz” – „kim jestem?”. Przywołanie łacińskiej frazy *homo erectus est* pozwala przypuszczać, iż jest to pytanie o istotę człowieczeństwa jako takiego, o *conditio humana*. Poeta stawia to pytanie – podobnie jak to robił pewien mędrzec z Królewca – wobec tajemnicy wszechświata. Świadkiem tego zadziwienia nad istnieniem są „miliony / gwiazd, pośród których migał niekiedy ruchomy promyk wieczności” (*Anatolia i freski*). Gwiazdy „Ułożone w geometryczne figury / trójkąty kwadraty i romby // niektóre martwe / choć nie wystygły // uważne i spokojne / zimno patrzą // może tylko one / wiedzą o nas wszystko” – suponuje Autor. Jaki jest bilans życia człowieka? Może wydawać się, że ujemny, wszak – szczerze przyznaje Poeta – „nie policzyłem wszystkich księżyców Saturna / nie zgłębiłem tajemnic dna Pacyfiku” (*Nie poznałem*), „rozsypany się rozległe gwiazdozbiory” (*Pegaz*), „Są planety, na których nie byłem” (*Obce planety*). Czy Poeta ma jakąś receptę na to coraz bardziej dojmujące przemijanie? Tak, trzeba mu się poddać: „Trzeba zasnąć, póki świat istnieje, / póki świeci księżyc. I zanim / zamrze symfonia” (*W górach*). I jest w tym jakiś *amor fati*, umiłowanie losu. Tak brzmi poezja Jarosława Barańczaka czytana w kontekście pytania o sens poezji w czasie marnym. Ale czy jest ona wyrazem rezygnacji? Myślę, że nie. Przypomnę, że ostatni wers wiersza *Trzej królowie* brzmi: „może nieśli jeszcze nadzieję”. Poezja ją niesie i czyni to bez taniej naiwności.



Małgorzata Mikołajczak

# Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza dla Alfreda Siateckiego

(laudacja)

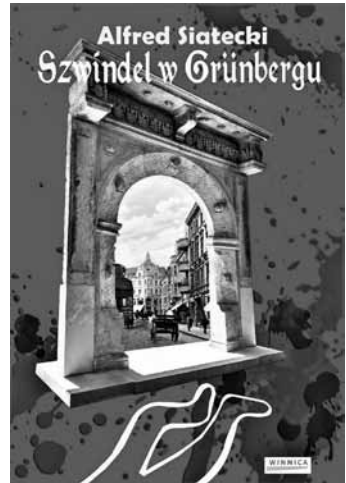
Czytelnicy lubuskich powieści kryminalnych dobrze wiedzą o tym, że miejsce, w którym żyją, nie jest bezpieczną arkadią. Kryminał regionalny, rozwijający się w ostatnich latach, zmienił lokalną przestrzeń, naznaczył ją piętnem zbrodni. A jeśli morderca czai się za każdym rogiem i znaną okolicę przenika aura podejrzeń, to czy zaskoczy nas jakieś przestępstwo? Przekręt w Zielonej Górze zapewne nie zrobi wrażenia, a... szwindel w Grünbergu?

Alfred Siatecki, autor *Szwindla w Grünbergu* i nestor lubuskiej powieści kryminalnej, tym razem zaproponował czytelnikom podróż w czasie. Sięgając po formułę kryminału retro, osadził akcję utworu w Grünbergu. Jest rok 1922, trwają przygotowania do obchodów 700-lecia miasta. Mimo że panuje gospodarczy kryzys i z dnia na dzień przyspiesza inflacja, lokalne władze planują godnie uczcić święto i m.in. zorganizować mistrzostwa Europy w zapasach – to właśnie tych zawodów dotyczy tytułowy szwindel. Jednak ani ów przekręt, ani dwa morderstwa i jedno pobicie nie przesądzą o atrakcyjności książki. Kryminalna fabuła jest tu jedynie pretekstem, by opowiedzieć o mieście, leżącym w połowie drogi między Berlinem i Breslau, „żyjącym – jak pisze autor – z wina, sukna i Beuchelta”.

Walorem powieści jest realistyczna panorama i szczegółowo oddane topograficzno-obyczajowe realia. Razem z bohaterami przemierzamy „ocienioną koronami lip Bahnhofstrasse”, odwiedzamy hotel Schwarzer Adler, wstępujemy do kościoła Zum Garten Christi, idziemy na kolację do Wiener Café... Równie skrupulatnie zarysowane zostaje tło kulturowo-historyczne – wspomnianym wędrownikom towarzyszy podróż w głąb historii, opowieść o związanych z Grünbergiem ludziach sztuki, polityki, nauki.

Wśród tych ostatnich jest Hugo Schmidt, profesor w szkole przy Lange Gasse, który, odkąd zamieszkał w Grünbergu, pisze odkrywcze teksty o przeszłości miasta. „Nie ma lepszego badacza dziejów i przy tym popularyzatora wiedzy historycznej” – powiada o nim jeden z bohaterów, podkreślając wspaniałe pióro, dociekliwość i lekkość narracji badacza. Schmidt jest autorem tysiącstronicowego dzieła *Geschichte der Stadt Grünberg, Schlesien* i wątek tej kroniki, wydanej na siedemsetlecie miasta, parokrotnie powraca na kartach powieści. Wraz z nim obok zagadki kryminalnej pojawia się inna zagadka, związana z zaginionym aktem lokacyjnym.

„A jeżeli za sto lat ci, którzy będą szykowali się do świętowania ośmiu wieków miasta, zapytają, gdzie jest akt lokacyjny lub inny dokument poświadczający, że w 1922 roku mieliśmy prawo urządzać huczne obchody siedemsetlecia Grünbergu [...]?” Pytanie, które zadaje jeden z bohaterów, apeluje do naszego „tu” i „teraz”, podobnie jak ukazane w powieści przygotowania do jubileuszu. Książka Alfreda Siateckiego przemawia właśnie przez tego rodzaju aktualizację. I nie tyle straszy czytelnika, co go zaciekawia. Dlatego czytając ją, skupiamy się nie na tym, kto zabił. Znacznie ważniejsza (i ciekawsza) jest konfrontacja z miejscem i jego udane literacko ujęcie, deskrypcje topograficzne, wątki kulturowo-obyczajowe, a także – ozywające za sprawą tej lektury, organizujące wyobraźnię zbiorową – sentymenty i resentymenty. Te walory przesądziły o nagrodzeniu powieści *Szwindel w Grünbergu* Lubuskim Wawrzynem.



# O wierszach Michała Banaszaka i przeprowadzonej rozmowie, której i tak nie opublikuję

Michał Banaszak zadeklarował radykalny koniec pisania. Nie wiem, czy to do końca przemyślane i bezpieczne, bo brzmi jak odstawienie leków z dnia na dzień, więc czekam cierpliwie na objawy odstawienne (*discontinuation symptoms*). Exit – zaznaczył to nawet w tytule najnowszego tomiku, o którego koncepcji, wyborze i układzie wierszy, a nawet okładce zdecydował sam, bez formuły konkursowej. Jeśli dobrze rozumiem – poeta chce wyjść z poezji właśnie za pomocą poezji. Gdzie? Jakie fikcyjne lub rzeczywiste chwytły stosuje? I to już są wcale niemałe preteksty do rozmowy o jego tworzeniu i literaturze.

Jednak wszelkie moje próby nakłonienia Michała do wymiany zdań spęły na niczym, mimo tego, że sprzyjały sytuacji chwilowe problemy z usypianiem dziecka, bo pewnego dnia Michał postanowił wsadzić syna do auta i jeździć po obrzeżach Zielonej Góry. Tym sposobem utknął na godzinę gdzieś pod lasem ze śpiącym w foteliku dwulatkiem. Mając do wyboru siedzenie i liczenie drzew za oknem i pisanie na WhatsAppie ze mną, wybrał (niechętnie) to drugie. Jednak nie zgodził się na publikację tej szczerzej i niedyplomatycznej rozmowy. Myślę, że zrobił to nie ze względu na swoją złośliwość, ale – tu ja sobie pozwolę na złośliwość – ze względu na jakąś męczącą jego samego „grzeczność” i obawę, że jego słowa mogłyby kogoś urazić. Wolał więc milczeć i pozostać obojętnym. Autor *Exitu* zdaje się nie wierzyć, że są ludzie, których interesuje to, co on ma do powiedzenia o tworzeniu. Temat został zamknięty. Nie wracam już do tych pytań i odpowiedzi, może ktoś inny go kiedyś przekona. A ja postaram się napisać o jego milczeniu.

Poeta, świeżo po wydaniu książki, twierdzi, że przestał pisać. Innym zaskakującym zjawiskiem jest też to, że trudno namówić go do jakichkolwiek działań promocyjnych czy spotkań autorskich. Ani prośby, ani szantaże nie skutkują. Chociaż nie do końca – przyszedł ze swoim najnowszym tomikiem na zajęcia ze sztuki interpretacji. Wydaje mi się, że to była bardzo ciekawa rozmowa dla studentów, którzy w 90% nie przepadają za poezją współczesną, i dla Michała, który najchętniej uciekłby ze spotkań ze sobą w roli głównej. Ta ich obustronna niechęć została przekuta w coś pozytywnego, czego się nawet nie spodziewałam. Michał usiadł wśród nich, właściwie więcej słuchał, niż mówił, czasem jedynie naprowadzał na jakiś trop. Był chyba nawet moment, że poczuł zwykłą frajdę – faktycznie ani razu nie zauważyłam tego na jego spotkaniach autorskich.

W tej chwili zastanawiam się też nad sprawą konkursów (tych lokalnych i ogólnopolskich) – jakie szanse rozwoju dały Michałowi i dlaczego zamiast motywować, wywołały efekt odwrotny? A może nie miały jednak żadnego wpływu i były niepotrzebnymi dodatkami, o których teraz trzeba napisać akapit?

Debiut Banaszaka (*Piosenka o rozpadzie*, Kraków 2016) został opublikowany jako nagroda główna w Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej na Książkowy Debiut Poetycki 2016, natomiast drugi tomik (*Miejscu*, Olkusz 2018) to pokłosie 13. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia. Trudno sobie wyobrazić lepszy start poza – podkreślmy – lokalnym środowiskiem. Michał jest też laureatem Nagrody Literackiej 42. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu (2019). W Zielonej Górze doceniony przede wszystkim podczas Lubuskich Wawrzynów Literackich (nagrada za debiut oraz Lubuski Wawrzyn Literacki 2018). Otrzymał też stypendium artystyczne Miasta Zielona Góra (2017). Jak widać, sporo się działo od 2016 roku do 2022 na jego pisarskiej drodze – trzy książki i od razu kilka ważnych na-

gród. Poza tym odnotować warto recenzje jego tomików w ogólnopolskich czasopismach. Andrzej Walter w laudacji, którą zatytułował *Naftaliniada* i wygłosił w Poznaniu podczas Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, przedstawia poetę, nawiązując do dwóch nietrafionych (jego zdaniem) diagnoz krytyków:

Poeta ciszy – Michał Banaszak, poeta detalu, niezauważalnej drobnostki i błahostki wręcz, wreszcie poeta ważnych i metafizycznych pytań – ponoć dziś już zbędnych, niepotrzebnych i jakże passe... jak napisał jeden ze „świątłych” krytyków (Marek Olszewski, UJ) – pytań zalatujących naftaliną, albo jak napisał inny krytyk (równie „świątły” Jakub Skurtys, Instytut Filologii Polskiej Wrocław, tekst w „Małym Formacie”) – pytań martwych, kliszowych i bez polotu\*.

Jakie to dziś rzadko spotykane, żeby książka budziła spór i dyskusję wokół samej poezji. Nie sam autor (którego wypowiedzi trudno gdzieś usłyszeć), ale właśnie jego książka. Bycie w ukryciu to także świetny sposób na promocję, tworzenie tajemnicy, ale w przypadku Michała jest to raczej sposób na niezaistnienie – dobrowolny i zasadniczy. Bez negocjacji. Podkreślający niezależność od czytelnika i jego oczekiwań.

Kiedy czytam najnowszy tomik Michała Banaszaka pt. *Exit*, mam przede wszystkim poczucie narastającego osaczenia, duszności. Przytoczę dwa cytaty, które wprowadzą do tej krótkiej opowieści o próbie znalezienia wyjścia ze świata, z którego wyjścia już nie ma:

Ciągle budzą mnie w nocy ataki duszności  
wyłącz włącz ponownie odśwież odśwież odśwież  
(*Asfikcja*)

[...] ktoś ci puka do drzwi coś ci leci z kranu  
drzy twój jedyny okap na świat w twoim mieszkaniu  
(*Patodewelopoezja*)

Jest bardzo gęsto. Język wydaje się jednocześnie czuły i cięty. Widzę atlas martwych zwierząt, Wielką Pacyficzną Plamę Śmieci, niepokojące komunikaty o dżihadzie i totalnym krachu czy bogu, który sam drży ze strachu, choć okazuje się, że to tylko „rozsypany proszek na tyłach podwórka” (*Perspektywy*). Myślę, że to może celne trafienie w odbiorcę, który codziennie śledzi najbardziej drastyczne informacje o świecie, który buduje swoje życie na strachu, który w końcu słyszy w głowie pojawiające się jak refren pukanie do drzwi. To rezonowanie powinno nas martwić. Ale niewątpliwie zachwyca, bo to jednak interesująca poezja, która jest przepelniona utratą jakiegoś metafizycznego spójnika. Nieprzypadkowo w wierszach pojawia się deklaracja „dziś porzucę moją religię” (*Elementy*), a także figura nieistniejącego boga, który bywa ujmowany jako bóg – wyświechtana bluza dresowa, bóg – powłóczysty krok z wózkiem przez Tesco, bóg – czipsy powszednie (*Podobno*). Taki bóg „przystawia / ucho do drzwi twojego mieszkania po czym ucieka na twój / widok” (*Nadejście*). W *Życiu po śmierci* bohater zaleca: „wierzysz to módl się żeby nie było drugiego życia”, bo wtedy oznaczałoby to, że nie ma wyjścia z tego nieskończonego łańcucha.

*Exit* to książka pełna uskoków, zmian kierunku, gramatycznych niespodzianek. Dlaczego to ważne? Bo to dosyć mocno odróżnia ten tom od poprzednich, bardziej tradycyjnych formalnie. Jestem ciekawa, co wydarzy się dalej i liczę na to, że Banaszak żartuje z tym końcem pisania, dobrze się przy tym bawiąc, i że opublikuje za jakiś czas kolejną porcję dobrych wierszy.

\* A. Walter, *Naftaliniada – czyli rzecz o poezji Michała Banaszaka. Laudacja Andrzeja Waltera*, <http://zlp-poznan.e-kei.pl/re-cenzja/naftaliniada-czyli-rzecz-o-poezji-michala-banaszaka-laudacja-andrzeja-waltera/> [dostęp: 12.08.2022]

Maria Fraszewska

## A to już historia sprzed prawie... trzydziestu lat. Wspomnienie Uniwersytetu Poezji, prof. Dutki i...

Historia, czyli przeszłość odtworzona w obecnej rzeczywistej chwili, staje się wartościowsza poprzez wiedzę o danej osobie dziś. Dwie poniższe rozmowy przeprowadziłam podczas spotkań poetyckich organizowanych przez Uniwersytet Poezji, który powstał z inicjatywy Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów działającego w Zielonej Górze w latach 1995-98. Rektorem Uniwersytetu Poezji był prof. dr hab. Czesław Dutka, wielki miłośnik pięknego słowa, filolog specjalizujący się w historii i teorii literatury, metodologii badań literackich i socjologii literatury. Rzeczywisty Rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, ponieważ przed powstaniem Uniwersytetu Zielonogórskiego takowa właśnie funkcjonowała na terenie Zielonej Góry.

Połączenie poezji i socjologii i mnie nie jest obce, a wręcz bardzo bliskie. Socjologia literatury jest dziedziną wiedzy łączącą socjologię, filozofię i literaturoznawstwo. Uniwersytet Poezji był przestrzenią, w której spotkać się mogły różne szkoły pisarskie i różne środowiska literackie. Inicjatywa nie przetrwała długo, jednak sądzę, że była pozytywnym przejawem formy otwartej mogącej spowodować rozwój różnorodności form poetycko-literackich.

Bardzo ciepło wspominam pana Profesora Czesława Dutkę, a i on zwracał się do mnie z wielką atencją, używając słów: „nasza poetessa”. Profesor w sposób szczególnie dystyngowany pojawiał się na spotkaniach, prowadząc rozmowy z zaproszonymi wykładowcami i poetami. Tak właśnie wryła mi się w pamięć postać Profesora. Osobowość z wiedzą i wrażliwością socjologiczną, człowiek mający świadomość, że znać twórczość pisarską należy w połączeniu z osobistym poznaniem tych piszących. Bo wiem, aby poznać sens dzieła, istotne jest poznanie biografii twórcy. A komunikacja wynikająca z bez-



pośredniego kontaktu dodaje specyficznego kolorytu w trakcie czytania.

Starszy pan z białą głową owianą bujną czupryną, bo jego siwizna miała odcień biały, z szacunkiem odnoszący się do rozmówców, zainteresowany działaniami i ludźmi kultury naszego środowiska. Wtedy, kiedy rozmawiałam z Profesorem, byłam młodą i nieopierzoną poetką w trakcie twórczego rozwoju. Teraz nie mam już możliwości dogadania wielu tematów. Pamiętam jednak, że Profesor bardzo ubolewał nad faktem, że ówcześni młodzi ludzie nie znają nawet tych istotniejszych tytułów czasopism artystyczno-poetyckich. „Wyganił” ich więc z sali wykładowej wprost do biblioteki, żeby pomyszkowali.

Spotkania Uniwersytetu Poezji odbywały się z reguły w godzinach okołopołudniowych i trwały do późnych godzin wieczornych w soboty i bywało, że także w niedzielne przedpołudnia. Oprócz wystąpień poetów w formie wieczorków poetyckich, odbywały się także wykłady z zakresu literatury pięknej, które prowadzone były przez znanych krytyków ówczesnych czasów. Można było również zakupić tomiki poezji czy pozycje krytyczno-literacko-naukowe, napisanych przez zaproszonych gości. Przez kilka lat

działalności Uniwersytetu Poezji przewinęło się wielu znanych poetów, pisarzy, literaturoznawców czy wykładowców uczelnianych.

Zajęcia Uniwersytetu Poezji odbywały się głównie w trzech zaprzyjaźnionych miejscach: w salach na urokliwym pięterku Zielonogórskiego Domu Kultury, obecnego RCAF przy ul. Sienkiewicza – Poddasze Poetów; w klubokawiarni Kawon oraz w dużej sali biblioteki wojewódzkiej, obecnie Sali im. Janusza Koniusza.



Wśród cenionych i lubianych poetów znaleźli się również Urszula Benka oraz Janusz Styczeń. Ich twórczość do szpiku kości, czyli słów, nawiązuje do tajemnic nieprzebranych i nieokiełznanym jasnym rozumem. Stwarza świat poezji pełen tajemnic i pierwotności czarownych.

Z obojgiem przeprowadziłam rozmowę o ich twórczości, życiu i wydanych wówczas tomikach poezji. Był 1996 rok, może 1997... Rozmawialiśmy najprawdopodobniej w przytulnych okolicznościach pracowni tkackiej w dzisiejszym RCAF-u. Najprawdopodobniej, ponieważ pamięć jest zawodna. Na kartkach spisanego wywiadu nie pozostawiłam daty, jednak wiele sugeruje wydana przez poetkę Urszulę



Benkę w 1995 roku książka poetycka, do której nawiązuje rozmowa. Przeglądając stronicę z wywiadem, doszłam do wniosku, że nie stracił on w swej treści ani na aktualności, ani ważności. A nawet stanowi ponadczasową wartość polegającą na tym, że odkrywa pewne tajemnice związane z procesem twórczym. O czym myśli poeta podczas pisania i o co chodzi w tym pisaniu. W wypowiedzi Janusza Styczenia zaglądamy w zakamarki pragnień męskich. Warto pamiętać, a żeby pamiętać, należy najpierw dowiedzieć się, jak to było przedtem, za czasów polskiej komuny i na przełomie prowadzącym do polskiej demokracji.

Z punktu widzenia socjologii rozmowy te stanowią dokument pewnego rąbka rzeczywistości społecznej i historycznej. Od jej przeprowadzenia minęło trzydzieści lat, a ocena myślenia polskiego nie wyszła poza kanon. Jesteśmy jako społeczeństwo tacy, jak byliśmy wtedy i zapewne przed wiekami i jeszcze przedtem.

Wywiady te nie były dotąd nigdzie publikowane.

## Rozpustna bogini życia i śmierci

**Rozmowę z Urszulą Benką, poetką, dziennikarką, autorką tomików poetyckich (*Chronomea*, *Dziwna rozkosz*, *Nic*, *Perwersyjne dziewczynki*, *Ta mała Tabu* i w 1995 roku: *Córka nocy*), przeprowadziła Maria Fraszewska w 1996 roku, dostosowując się do tamtych okoliczności, wydarzeń i sytuacji.**

**Co było powodem twojego wyjazdu do Ameryki?**  
Wyszłam za mąż. Mieszkałam w Paryżu, tam się poznaliśmy. Mąż mieszkał w Stanach. Kusiło mnie zobaczenie Ameryki.

**Tam wyrosła *Córka nocy*?**

W *Córce nocy* jest parę wierszy z 1991 roku, pisanych przed wyjazdem. W Nowym Jorku prawie wcale nie pisałam wierszy.

### **Jak więc spędzałaś czas?**

Prowadziłam dom, wychowywałam córkę, współpracowałam z polskimi pismami, z „Nowym Dziennikiem”, z „Kurierem”. Pisałam na zamówienie do „Akcentu” i wrocławskiego „Formatu”.

### **Czy po powrocie dość szybko przestawiłaś się na polski grunt? Co sprawiało ci trudność?**

Ciężko było mi złapać kontakt z ludźmi. Dołożyły się moje kompleksy oraz nabyte na Zachodzie nowe nawyki, zachowania i spojrzenie na rzeczywistość.

### **Co najbardziej uderzało wówczas w Polskę?**

Uderzająca była powszechna frustracja i brak porozumienia w najważniejszych sprawach.

### **Czy w twoim odczuciu Polska różni się bardzo od państw zachodnich?**

Te różnice odczuwam do dzisiaj [1996 r. – dopisek MF]. W Stanach i we Francji jeśli jest dyskusja, to ogranicza się do ustalonych ram. Francuzi nie rozważają takich spraw jak miejsce kultury w kraju ani czy ostatnie 50 lat miało sens. Wiadomo, że miało. Dyskutuje się o sprawach ważnych dla granic, a nie o wyjściowych aksjomatach. Ustrój, model gospodarki, autorytet państwa, kultura nie są podważane. W Polsce uderzyło mnie to, że część ludzi z dużą słusznością podważała takie najbardziej elementarne pryncypia. I szkoda, że od razu na fali jakiegoś uniesienia wolnością nie doszło do jednoczesnych ustaleń. Kultura europejska, w moim odczuciu, czuła się bardzo zagubiona. W urynkowaniu i mechanizmach rynkowych upatrywano zrozumienia dla subtelnych potrzeb inteligencji, środowisk twórczych i szarego konsumenta.

### **Wygląda na to, że lubisz podróżować, bo teraz kuszą cię Himalaje.**

Miał to być wyjazd do Indii. Zdecydowałam się jednak na Grecję. Nie muszę roztawać się z córką, która ma siedem lat i lepiej ode mnie zna mitologię grecką. Zaproponowano mi centrum Indii, straciłam ochotę na podróż, gdyż nie lubię tropików. Zamiast w Himalaje pojadę do Grecji. Klimat śródziemnomorski dobrze mi robi. Mieszkałam jakiś czas pod Niceą.

Tamtejszy klimat również w sensie metaforycznym bardzo mi sprzyja.

### **Wracając do teraźniejszości – czym dla ciebie jest wrażliwość kobieca?**

Mężczyźni też ją mają. Świadomość męska obrazuje wszystkie przeciwieństwa i granice, natomiast żeńska – to jest nasza autonomia. Myślenie żeńskie zawiera męskie i coś jeszcze. Wrażliwość kobieca harmonizuje, łagodzi i tonuje. Zapytaj mężczyznę: co było najpierw: kura czy jajko? A zobaczysz, co z tego wyniknie.

### **Co może wynikać?**

Odpowiedz, co było najpierw?

### **Ani jedno, ani drugie.**

Mężczyzna odpowie, że albo jedno, albo drugie.

### **I gotów jest iść w bój, aby potwierdzić rozwiązanie problemu.**

To skrajność mężczyzn.

### **Doktoryzowałaś się na Uniwersytecie Wrocławskim z Sienkiewicza. Nie zaskakuje mnie to, gdyż *Ogniem i mieczem* aż fosforyzuje magią, czarami i dziwami ziem błotnych.**

Dużo w tym było przypadku. Ale też jest faktem, że odkąd pamiętam, wracam do *Trylogii*. To była książka mojego życia. Tam język ma wielką magię. W moim odczuciu jest to język liturgiczny i wyraża bardzo głęboko tkwiące przeświadczenie polskiej kultury. Tam właśnie język potrafił unieść w całym pięknie treści, na które ciągle nie jesteśmy intelektualnie gotowi i być może nie posiadamy do nich adekwatnych terminów. Moja praca doktorska najpierw miała się zająć wąskim zagadnieniem charyzmatyczności władzy św. Pawła w *Quo vadis*, w kontekście tego, co pisał Roger Caillois. Nagle zdałam sobie sprawę, że *Trylogia* jest o wiele wdzięczniejszym materiałem, gdzie Sienkiewicz niczego nie podporządkowuje jakiejś naukowej ideologii. Książki gdzie tupnie, tam drwa leżą. To są struktury baśni. Śmierć przed nim biegnie i kosą dzwoni, to są struktury religijne.



**Spoza doczesnego świata, jak rozumiem. A przecież i twoją poezję charakteryzuje się jako „spoza świata” i „demoniczną”, czyli: „rozpustną boginię życia i śmierci”. Ta bogini jest tobą czy Poezją?**

Nie ma poezji beze mnie. Myślę, że każdy nią jest w jakiejś formie. Kiedyś religia ją sankcjonowała.

**Na szczęście czarownic nie pali się już na stosach. Dziękuję za rozmowę.**

## U źródeł tajemnicy

**Rozmowę z Januszem Stycznym, poetą, dramaturgą i prozaikiem, przeprowadziła Maria Fraszewska.**

**Uniwersytet Poezji świętuje dzisiaj 30-lecie twojej pracy twórczej.**

Uroczystość wzruszyła mnie.

**Jak to jest przez tyle lat pisać poezję?**

Tworzyć poezję to wciąż szukać siebie. Dochodzić do istoty Tajemnicy, która jest nie do zgłębienia. Tajemnica jest we mnie i poza światem.

**Jak to robisz?**

Poprzez interpretację głębinową.

**Od kiedy odkrywasz Tajemnicę?**

W dzieciństwie chciałem być malarzem albo prozaikiem. Chciałem pisać powieści kryminalne. Pasja do malarstwa przeszła mi w trzeciej klasie szkoły podstawowej, kiedy musiałem malować temat zadany, jakiś wazon czy szafę. A ja malowałem to, co uważałem za stosowne. W szóstej klasie napisałem powieść przygodową. Moimi ulubionymi autorami byli Curwood, Verne i Cooper. Najbardziej spodobała mi się scena, w której bohaterzy powieści znaleźli w opuszczonej chacie dwa kościotrupy zwarte w walecznym uścisku. Jak się okazało, żywi właściciele walczyli o kawałek kory brzozonej, na której

był tajemniczy szyfr. Uwielbiałem w dzieciństwie pismo „Świat Przygód”, póki nie zostało zlikwidowane jako eksperyment amerykańskiego imperializmu. Ale najbardziej ulubioną powieścią była *Wyspa skarbów* Stevensona. Mimo stalinizmu ta klasyka młodzieżowa była wtedy wydawana. Chociaż do szkoły przychodzili aktywiści i wygłaszali pogadanki, abyśmy nie czytali Curwooda, Londona, Stevensona i Coopera. Od dziecka wiedziałem, że na kilometry trzeba się trzymać od polityki. Dano nam do czytania lekturę *Numer 16 produkuje*. Nie skończyłem pierwszego rozdziału. Wolałem moich pisarzy zachodnich. Curwood i Stevenson nauczyli mnie poczucia tajemnicy. I poczucia dziwności istnienia. Wujek, ksiądz, dał mi do czytania *Młodzieńca dobrze wychowanego*. Przez to również nie mogłem przebrnąć.

**W jaki sposób przetwarzasz prywatność w sztukę?**

Prywatność przetwarzam w symbole i dzięki temu odnajduję Istotę. W moim poemacie *Roztargniona profanacja*, zamieszczonym w listopadowej „Odrze” [z 1995], mężczyzna usiłuje złapać kobietę na laso i ją spętać. Jest to projekcja sytuacji mojego ojca pętającego moją matkę, co obserwowałem od dzieciństwa. Wyrażenie wprost tego tematu byłoby nieudolne. Nie spowodowałoby sięgnięcia do źródła takiej postawy. W *Przyczynie* jest wiersz *Zabłocona bielizna*. Mężczyzna usiłuje przenieść kobietę przez kałuże błota. Ale to błoto dostaje się na bieliznę owej kobiety, bo zbyt mocno stąpnął na błoto. Jest to projekcja sytuacji działań mężczyzny wobec kobiety, kiedy to mężczyzna jednocześnie pragnie zanurzyć kobietę w błoto i przenieść ją ponad tym błotem. Jeszcze – pragnienie erotyzmu z kobietą jak z ladacnicą, a jednocześnie pragnienia, żeby ta kobieta była ladacnicą tylko dla tego mężczyzny. Jest to stary archetyp mężczyzny oczekującego od kobiety ladacnicy dla siebie i dziewicy świętej dla innych. Wiersz ten powstał z moich doświadczeń.

**Autentycznych kobiet?**

Konkretnych kobiet.

### **Czy to znaczy, że najpierw kobieta rodzi się w wyobraźni mężczyzny?**

Model kobiety jest przymierzany do takiego modelu kobiety, którą mężczyzna spotyka w życiu.

### **Co daje kobieta poecie?**

Kobieta daje zmystowość natchnienia.

### **Co w kobiecie działa na ciebie?**

Włosy, głos, biust, zapach i jej aura.

### **Twoją poezję określa się jako surrealistyczną, a wymieniałeś rzeczy konkretne.**

Etap surrealizmu zostawiłem już za sobą. Moje wiersze są teraz bardziej symboliczne. Kiedyś były bardziej znane i dostępne, teraz nie są w ogóle znane.

### **Czy uważasz się za badacza mrocznych zakamarków duszy ludzkiej?**

Jak najbardziej. Interesowało mnie to od dziecka. Na wakacjach po drugiej klasie podstawowej przeczytałem *Lillę Wenedę*, czym wywołałem zachwyt mojej matki, wielbicielki Słowackiego. Przeżyłem szaleństwo i nienormalność tego dramatu. Myślałem, jak coś tak nienormalnego może być tematem autora będącego

wieszczem? Wiedziałem, że będzie mnie fascynowała Sztuka tak nienormalna jak *Lilla Weneda*. A jednocześnie widziałem rozrzut między tekstami a autorami tych tekstów. Najbardziej szokował mnie św. Jan Gwalbert ukazany tu jako karykatura. Lilla Weneda zamknięta w pokrowcu harfy, to też było coś szokującego i nienormalnego. *Lilla Weneda* była dla mnie tak sensacyjna i kryminalna jak Curwood, London czy Cooper. Nosłem ją w sobie przez lata. W szóstej klasie szkoły podstawowej przeczytałem Edgara Poe *Żabi skoczek*. Ojciec pożyczył tę książkę z biblioteki.

### **Cóż po poecie w marnych latach dziewięćdziesiątych?**

To jest prawda. Nadal są żądania, żeby poeta był politykiem, co jest zabójstwem dla sztuki. Sztuka powinna być oparta na dziwaczności Istnienia. Nawet Mickiewicz i Słowacki są fascynujący w swoim wyobcowaniu i nienormalności, a nie z powodu swoich polityk, które to polityki prowadziły ich w ślepy zaułek. Mickiewicz wydawał komunistyczną „Trybunę Ludu” i spalił część swojej twórczości. Polityka jest zabójstwem dla sztuki.

**Dziękuję za rozmowę.**



Henryk Warszawski

# Skwer Poetów

Już prawie cztery dziesięciolecia mieszkam po lewej stronie Odry, cokolwiek dalej na Zachód, w Metropolie-Ruhr. O każdej porze roku popełniam te moje emocjonalne podróże nad Odrę, do Zielonej Góry, w Lubuskie. Tyle jest rzeczy niezwykłych do odkrycia, usłyszenia, wywołujących zdumienie w moich spacerach po mieście. Chociażby – słoneczny wymiar wiosny przed Biblioteką Norwida. Przysiąść na ławce Norwida w serdecznym powitaniu, by.. zatrzymać się na chwilę, odetchnąć pięknem świata.

Od jesieni ubiegłego roku, niejako w 200. rocznicę urodzin Norwida, gości się także na Skwerze Poetów pięcioro twórców zielonogórskich. Te ławeczki zapraszają do zatrzymania, wyciszenia, refleksji. Usiadłem tu na dłużej. Wspomnień i refleksji literackich aż tyle... Książki, zdarzenia, spotkania – są mi bliskie. Jedyne rozminąłem się osobiście z Anną Tokarską, może dlatego też „posiwałem” przez lata... Wraz z jej wierszami, opracowaniami literackimi, programami spektakli teatralnych.

Przy ławeczce Janusza Koniusza przychodzi refleksja: Czy ktoś przysiadł się, mając za sobą bieg maratoński? W moich 29. maratonach – niestety – nie dobiegłem do Aten. Jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku, w dawnym empiku poznałem Michała Kaziowa. Nieśmiało zapytałem, jak postrzega świat. Odpowiedź pisarza, krytyka słuchowisk radiowych była dla mnie wielkim przeżyciem. Kolor zielony to ciąg dalszy widzenia codzienności, tak mi odpowiedział Michał Kaziów. Twórczość wybitnego poety, krytyka literackiego Andrzeja K. Waśkiewicza przyjmowałem z pokorą, bo czytanie jego poezji, szkiców krytyczno-literackich wymagało ode mnie wielkiego wysiłku. Gdańskie pismo „Autograf” dawał mi zawsze do przeczytania mój brat Mieczysław.

Z twórczością Mieczysława J. Warszawskiego obcuje od zawsze. Począwszy od debiutanckiego wiersza *Krzyż* („Nadodrze”, 1967) po późniejsze *Nic ponad*. Jestem do dzisiaj wiernym czytelnikiem poezji brata. Inaczej nie potrafię.

Czas ruszyć w popołudniowy spacer historycznymi barwami Grünbergu. Może spotkam Otto Juliusa Bierbauma, może Klabunda nad Odrą...

Pozdrowię ich od... gościa samego siebie.

PS.

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne „Pro Libris” cieszy mnie czytelniczko od pierwszego numeru.



# Narracja założycielska Ziemi Lubuskiej

W roku 2021 przypadało 60-lecie istnienia w Zielonej Górze oddziału Związku Literatów Polskich. Rok wcześniej ZLP w całym kraju świętował 100-lecie powstania. Warto przypomnieć, iż pierwszym prezesem Związku był Stefan Żeromski. Z obu okazji zielonogórski oddział ZLP planował w 2020 roku konferencję naukową, która ze względu na panującą wówczas tzw. sytuację covidową nie doszła do skutku. Udało się ją przeprowadzić po zmniejszeniu się zagrożenia dopiero 13 października 2021. Akurat wypadało wtedy 60-lecie oddziału. Konferencja pt. „Literatura osadnicza jako narracja założycielska Ziemi Lubuskiej” odbyła się w Bibliotece Uniwersyteckiej UZ. Szczegóły tego wydarzenia wraz z wystąpieniami i bogatym materiałem ilustracyjnym ukazały się w blisko 100-stonicowym wydawnictwie zatytułowanym tak samo jak konferencja, przygotowanym redakcyjnie przez Wiesława Hładkiewicza i Roberta Rudiaka. Z jakichś względów nie wszedł do teży książki zapis dyskusji odbytej na zakończenie wspomnianej konferencji. W związku z powyższym gwoli uzupełnienia i dokumentacji życia literackiego publikujemy ów tekst poniżej.

\*\*\*

Po wygłoszeniu wszystkich zapowiedzianych referatów odbyła się dyskusja, w której – jako zaproszeni goście – udział wzięli pisarze, Zofia Mąkosa i Alfred Siatecki, lecz głos zabierali również wcześniejsi prelegenci. Do dyskusji zostali zaproszeni także Krzysztof Koziółek i Krzysztof Fedorowicz, autorzy książek wpisujących się w tematykę konferencji, lecz z przyczyn osobistych nie mogli w niej wziąć udziału.

Dyskusję rozpoczął Eugeniusz Kurzawa, nawiązując do wypowiedzi zwłaszcza dr Kamili Gieby (mniej prof. Małgorzaty Mikołajczak). Wysnuł wniosek, iż lubuska literatura lat 50. i 60., może też późniejszych, nosiła silne znamiona propagandowe. A przecież ta sama literatura została uznana – właśnie przez dr Giebę – za bardzo ważną dla nas współcześnie. Ba, badaczka przyjęła założenie i na nim oparła swą pracę doktorską, że owa literatura, określana jako osadnicza, stanowi mit założycielski dla całej literatury lubuskiej. Jest jej podstawą.

**Eugeniusz Kurzawa:** Powstaje zatem pytanie: jeśli z jednej strony uznajemy, że piśmiennictwo tamtego okresu jest w swych przesłaniach nie do końca prawdziwe – skoro mówimy o propagandzie – to jak możemy uznać je za podstawę mitu założycielskiego.

Swojej tezy na temat literatury osadniczej broniła jednak dr Gieba. Stwierdziła, iż wskazując na elementy propagandowe w książkach tamtego okresu, uznaje jednakowoż inne walory tych pozycji.

**Dr Kamila Gieba:** Literatura osadnicza nie była nurtem jednolitym, ale wewnątrznie zróżnicowanym, co zależało m.in. od przemian politycznych zachodzących w latach 1945-1989. Szczególnie w latach tuż-powojennych literatura ta odpowiadała na pewne zapotrzebowanie polityczne, związane z koniecznością konsolidacji tzw. Ziemi Odzyskanych, ich narodowego, tożsamościowego oraz kulturowego zagospodarowania.

wania. Nie oznacza to jednak, że literatura dotycząca powojennych przesiedleń była – jak powiedział pan Kurzawa – „nie do końca prawdziwa”. Przeciwnie – była ona wyrazem autentycznej potrzeby zakorzenienia i przezwyciężenia trudności adaptacyjnych. W tym właśnie upatruję wartość narracji założycielskiej: stanowi ona opowieść, która stara się budować podwaliny związku przesiedleńców z nowym miejscem zamieszkania, a zarazem to miejsce niejako oswaja. Porządkuje świat po kryzysie, pokazując – jak wskazywał prof. Robert Traba w jednym ze swych artykułów – drogę „od chaosu do kosmosu”.

W podobnym duchu wypowiedziała się **prof. Małgorzata Mikołajczak**, m.in. wskazując, że: [...] podejmowane przez Zygmunta Trziszkę próby konstruowania nowego „miejsca autobiograficznego”, mimo że były zgodne z ówczesną polityką miejsca i pamięci, wymykały się oficjalnej wersji. Jego narracja nie podporządkowuje się dyktatowi propagandy m.in. dzięki jej walorom literackim – strategii narracyjnej, warstwie językowej oraz dzięki sensualistycznemu obrazowaniu, które wpisuje doświadczenie osadnicze w dyskurs miłosny, oparty na relacji przyciągania – odpychania.

W konkluzji dyskutanci doszli do wniosku – nie po raz pierwszy w czasie różnorakich dyskusji literackich – iż twórczości Trziszki należałoby się swoiste zmartwychwstanie, czyli wznowienie jego niektórych lubuskich dzieł.

Wtrącił się w tym miejscu Alfred Siatecki, który znalazł się we wsi Jastrzębnik będącej „bohaterką” pierwszych książek Trziszki. Zbierając materiał do reportażu o pisarzu, rozmawiał z mieszkańcami, postaciami z dzieła literackiego. Okazało się, iż z jednej strony ludzie ci mieli za złe Trziszce, że „ich opisał”, z drugiej cieszyli się, iż zostali uwiecznieni na kartach powieści.

**Alfred Siatecki:** Bohaterką reportażu *Dom nadodrzański* była Adaškowa, mieszkanka Jastrzębnika, gdzie mieszkał Trziszka jako chłopak. Twierdziła, że Trziszka „cały Jastrzębnik obmalował... Komuż to potrzebne? Pisał, panie, jak się krowa cieli. Albo o Trześniowskim... Sam zapomniał, co kukurydzę jadł”. Na to Kunik: „Prawdę opisał”. Powtórzyłem jastrzębniczankom, co Stefan Jurkowski napisał o Trziszce, że w *Wielkim świniobiciu* autor „zaprezentował i tematykę nie byle jaką, i sztukę narracji odznaczającą się swoistym witalizmem, pomysłowością w zakresie językowym”. Wtedy odezwał się Boratyn: „Jest taka druga wieś, żeby o niej aż tyle było w książkach? O nas już historia”.

Głos zabrała Zofia Mąkosa, nawiązując do wcześniej wygłoszonego referatu Barbary Nau na temat pisarstwa Eugeniusza Paukszty. Stwierdziła, iż książki Paukszty w młodości czytywała z chęcią, nie zauważając w nich żadnych elementów propagandowych.

**Zofia Mąkosa:** To było spojrzenie młodej osoby szukającej w powieściach tajemnicy i przygody. Przydługie monologię bohaterów najpewniej opuszczałam. Poza tym propaganda była wówczas wszechobecna, byliśmy do niej tak przyzwyczajeni, że stanowiła normę. Nie można całkowicie odrzucić tamtej literatury, z uwagi na zafaszowanie jej propagandą. Miała przecież wiele wartości, na których mimo wszystko można budować.

W podobnym duchu wypowiedział się A. Siatecki, przypominając książki Paukszty jako atrakcję zwłaszcza dla chłopców, młodych mężczyzn, gdyż autor oferował czytelnikowi inny, ciekawszy świat, wręcz świat przygód, w które normalne życie dookolne raczej nie obfitowało. Siatecki zastrzegł, iż były raczej przygody „normalne”, nie jakieś awanturnicze, ale jak na nasze warunki to wystarczało.

**Alfred Siatecki:** Z mojego punktu widzenia treść książek Paukszty była o tyle łatwa w odbiorze, że ich akcja działa się w miejscach podobnych do tych, które znałem. W swoich książkach pisarz nie dotarł do Kostrzyna, a mimo to ja, czytelnik czułem się tak, jakby Paukszta tropił bohaterów na kostrzyńskich uliczkach. Przyznam się, że Paukszta nie był moim ulubionym autorem. Wolałem powieści Edmunda Niziuńskiego i Hanny Ozogowskiej. A najbardziej zachwycałem się przygodami bohaterów Jamesa Curwooda.

Zofia Mąkosa podjęła jeszcze raz wątek pisarstwa E. Paukszty i problem, czy jest to pisarz „na dziś” i czy jego książki przetrwały upływ czasu. Oznajmiła, że język pisarza jest już zdecydowanie zbyt archaiczny i obecnie dobrowolnie do jego lektury już by nie wróciła.

**Zofia Mąkosa:** Nie widzę jednak w ówczesnej literaturze samego zła, choć powstawała nie tylko z potrzeby serca, ale odpowiadała też na oczekiwania władz. W dzisiejszych wystąpieniach wskazano przecież, iż przesiedleńcy wyrwani ze swoich siedzib i rzuceni w nieznaną poniemiecki świat pragnęli jakiegokolwiek punktu zaczepienia, wyjaśnienia, co tu robią. Powtarzający się w powojennych powieściach motyw powrotu na „odwieczne piastowskie ziemie” był jakąś odpowiedzią na to zapotrzebowanie.

Jako kolejny punkt dyskusji prowadzący ją E. Kurzawa wysunął problem ponownej propagandyzacji literatury, obecnie, w XXI wieku, a to na przykładzie tzw. wydarzeń zielonogórskich z 30 maja 1960 roku. Chodzi o współczesną, zgodną z aktualną wymową państwową, interpretację zdarzeń w sprawie „bitwy o dom katolicki” w Zielonej Górze.

**Eugeniusz Kurzawa:** Parę lat temu zostałem przez przypadek jurorem jakiegoś konkursu literackiego, dopiero potem okazało się, że konkursu na utwory mówiące o wydarzeniach z 30 maja 1960 lub ich konsekwencjach. Zaproszono do udziału zwłaszcza młodzież szkolną, która przecież nie miała pojęcia o tym, co się wówczas wydarzyło. Ale kazano jej o tym pisać, obiecując nagrody. Patronem konkursu była ówczesna wojewoda lubuska Helena Hatka. Naszło mnie pytanie – gdy już czytałem prace konkursowe – skąd ta młodzież czerpała wiedzę o wydarzeniach pod domem katolickim. Ktoś jej chyba musiał dostarczyć materiały, choć nie sądzę, żeby to były autentyczne źródła, raczej relacje. Więc albo nauczyciele historii w szkole „sprzedali” dzieciakom właściwą interpretację, może usłyszeli coś w rodzinie, albo – to najpewniejsze – przeczytali w lokalnej prasie stosowne, „właściwe” opisy. Prace, które zostały napisane, a potem nagrodzone, wzięły się zatem „z czapy”. Ale zaczęto tworzyć nowy mit. Dodam, iż po jakimś czasie otrzymałem pocztą książkę w twardej okładce, na kredowym papierze, ze wstępem wojewody lubuskiej zawierającą pokłosie konkursu. Ów oficjalny wstęp urzędnika państwowego wskazuje, iż „dzieło” zawiera oficjalną wykładnię lokalnej historii. Została tym sposobem stworzona nowa literatura lubuska. Jak to rozumieć i interpretować – szczególnie w kontekście tego, o czym mówimy na dzisiejszej konferencji? Aha, tytuł książki *Nasza tożsamość*.

**Dr Włodzimierz Kwaśniewicz,** historyk (głos z sali): W tym nie ma nic dziwnego. Tego rodzaju przypadki w historii były, są i będą. Miałem okazję, jako mieszkaniec ul. Zamkowej w Zielonej Górze, obserwować zdarzenia na placu Powstańców Wielkopolskich. Różniły się jednak od tego, co opisywała potem jedna strona, a dziś przedstawia druga strona.

**Zofia Mąkosa:** Podobnie jak Eugeniusz Kurzawa, byłam jurorką w konkursach literackich związanych z lokalną historią. Treść prac konkursowych pokazuje, że nadal mamy do czynienia z propagandą, tworzeniem opowieści niemających wiele wspólnego z faktami i kształtowaniem umysłów według zapotrzebo-

wania władz. Każdy czas i każda władza posługuje się propagandą, bywa, że robi to nachalnie, a kiedy indziej subtelnie.

**Dr Katarzyna Meller-Rebelska:** Jest rzeczą oczywistą, że polityka historyczna kształtowana jest zależnie od upodobań ówczesnych władz. W swoim wystąpieniu starałam się przedstawić utwory literackie ukazujące różne ujęcia wydarzeń zielonogórskich. Wydaje się, że problemem jest raczej brak wiedzy wśród mieszkańców na temat tamtych zająć. Trudno jest bowiem choćby dyskutować nad sprawą, która nie funkcjonuje w świadomości lokalnej społeczności.

Krótko głos jeszcze zabrała **Ludmiła Janusewicz**, prezes oddziału ZLP w Koszalinie, i na tym dyskusję, a zarazem całą konferencję, zakończono.



Ewa Mielczarek

# Młodzi zielonogórzanie lirycznie o swoim mieście. Konkurs poetycki „Zielona Góra to ja”

W maju br. zostałam zaproszona do udziału w pracach Jury konkursu poetyckiego zatytułowanego „Zielona Góra to ja”. Konkurs był inicjatywą pracowników Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze – Filii 4 i 9 z okazji obchodów 800-lecia Zielonej Góry oraz 700-lecia uzyskania przez nasze miasto praw miejskich. Do udziału zaproszono uczniów klas piątych-siódmych zielonogórskich szkół podstawowych. Zadanie konkursowe polegało na napisaniu wiersza lub wierszy (maksymalnie trzech) o tematyce związanej z Zieloną Górą. Termin przyjmowania zgłoszeń pomysłodawcy przedsięwzięcia wyznaczyli na 23 czerwca 2022 roku. Powołano Jury, w skład którego weszły osoby na co dzień zajmujące się słowem pisanim, w tym: poetka, redaktor, bibliotekarz i prozaik (Agnieszka Ginko, Ewa Mielczarek, Anna Urbańska, Marcin Radwański).





Jurorzy skrupulatnie zapoznali się z nadesłanymi pracami i 6 czerwca, podczas żywiłowych obrad, wyłonili konkursowych laureatów. I tak spośród 72 wierszy dostarczonych przez 64 uczestników wybrano ścisłą czołówkę – teksty najlepsze, spójne z tematem konkursu, oryginalne, napisane ciekawym stylem, poprawną polszczyzną.

Jury postanowiło przyznać nagrody i wyróżnienia następującym konkursowiczom: pierwsze miejsce – Julia Kościelniak-Zawiślińska, drugie miejsce – Sofia Derevianchenko, trzecie miejsce ex aequo – Eliza Maria Bobrowska oraz Bartosz Makarski. Wyróżnienia otrzymali: Michalina Barwińska, Liwia Galek, Klara Smolińska.

Uroczystość podsumowania Konkursu odbyła się 22 czerwca 2022 roku, w filii bibliotecznej przy ulicy Podgórznej z udziałem laureatów, jurorów, tłumnie zgromadzonej publiczności. Zostały wręczone dyplomy, wartościowe nagrody, młodzi poeci odczytali nagrodzone wiersze. Gali Konkursu towarzyszyła prezentacja multimedialna z wierszami uczestników i podkładem muzycznym. Rozmowę z laureatami na temat ich prób literackich przeprowadziła Anna Urbańska. Dodatkowo uhonorowano młodych twórców komplectami książek i czasopism wydanych sumptem oficyny Pro Libris. W trakcie kularowych rozmów młodzi literaci raczyli się napojami chłodzącymi i przekąskami. Przedsięwzięcie było współfinansowane ze środków Urzędu Miasta Zielona Góra.

Poniżej publikujemy nagrodzone prace.

### Julia Kościelniak-Zawiślińska

\*\*\*

Opleć mnie swoimi łodygami,  
Schowaj pod zielonymi parasolami winorośli,  
Ukryj głęboko w winnych korzeniach,  
Otul słodkim smakiem winogron  
W sierpniowy zachód słońca,  
Zaciśnij w kłębku spokoju  
I otocz Odrą wytrawnego wina,  
Chroń tych, co w Tobie mieszkają

PS: I tych co do Ciebie uciekają...



**Sofia Derevianchenko**

### Zielone

Zielone marzenia,  
zielone sny,  
zielone wzgórze,  
Zielona Góra.  
Zieleń mam w sercu.



Ten kolor przypomina mi  
położony na wzgórzu  
mój dom wśród winnic.  
Zielone wspomnienia niosą mnie  
do ukraińskich pól.  
Ale teraz Zielona Góra jest moją Itaką,  
do której wracam jak do domu.

## Bartosz Makarski

\*\*\*

Wszystkiego najlepszego moje miasto  
Wszystkiego najlepszego Zielona Góra  
ładnie wyglądasz w zielonej sukience  
Pięknie dziś pachniesz winogronowym wiatrem  
Zobacz jak wielu przyszło tu gości  
Każdy pod pachą wielki prezent trzyma  
A ty spokojnie sączysz lampkę wina  
I okruciami karmisz gołębie-łobuzy  
Uśmiechasz się lekko lecz oczy masz smutne  
Martwisz się o przyszłość żyjących tu ludzi  
Zdmuchnij proszę świeczki i pomyśl marzenie  
Schowam cię w sercu byś była szczęśliwa

## Eliza Maria Bobrowska

### dźwięki z dnia

W szeleście liści w wietrzny dzień.  
W muzyce ulicznych grajków na deptaku.  
W chlupocie wina w kieliszku  
W deszczu co w rynnie łka  
W stukocie butów na starym rynku.  
W śmiechu dzieci biegnących po lody.  
W rozmowie starców: „Jak to kiedyś było”.  
W niespiesznym szepcie, w drżącym „kocham cię”.  
W sporze gołębi o okrucach spokoju.  
Znajdź moje dźwięki  
Usłysz muzykę  
W każdym zielonogórskim dniu.

## Michalina Barwińska

\*\*\*

Wisi na złotej kiści wśród innych miast  
W zielonej skórce pachnących lasów  
Winne miasto, winogronowy gród  
Wypełnione słodyczą marzeń

W małym domku pod numerem 5  
Młoda kobieta kroi ciepły chleb  
I smaruje go czule..  
Cienką warstwą smutku

O świecie znowu pobiegnie do biura  
By stać się trybem bezdusznej maszyny  
W drapiącej koszuli bez szansy na oddech  
Za każdy dzień płaci swoimi marzeniami

W niewielkim domku pod numerem 5  
Pызata buzia przylgnęła do szyby  
Czeka i wypatruje niecierpliwie  
By przywitać mamę szczerbatym uśmiechem

Zmęczone jak matka krojąca ciepły chleb  
Ufne jak dziecko czekające powrotu  
Takie jest moje miasto... dobre i zwyczajne

Pełne małych domków z numerem 5

## Liwia Galek

### Moje miasto

Miasto moje na wzgórzach wzniesione,  
pośród zielonych winnic dumnie położone.  
Historię swą dawną skrywa  
i nowoczesną codziennością porywa.

Zabytkowych kamienic blaskiem,  
parków, potoków wartkich odbiciem,  
pokazuje dziejów burzliwych ślad  
i mieszańców zwyczajny świat.

Pamiętajmy o dniu,  
w którym Zielona Góra powstała  
i prawa miejskie wiek później otrzymała.

Wielkie było jej w dziejach znaczenie,  
bo piastowskie to były ziemie.  
Miasto wiele różnych chwil przeżyło  
i bez wojen się też nie obyło.

Władali nim również królowie niemieccy i czescy.  
Dat i faktów nie zliczę,  
bo to państw i kultur było pogranicze.

Od ostatniej wojny polska to ziemia  
i ciągle na lepsze się zmienia.  
Pielęgnując pamiątki przeszłości,  
wszak Świętego Urbana to włości.

Raz w roku miasto jest pod Bachusa władaniem,  
który rządzi Winobranie  
i tradycji się trzyma,  
używając do tego miejscowego wina.

800-lecie powstania to wyjątkowe święto,  
więc nie dopuścimy, by je pominięto.

Świętujmy te dni beztrosko, radośnie.  
Niech piosenka dawna „Hej winobranie”,  
doleci do uszu dorosłych i dzieci.  
Niech w sercu zostanie.

Gdy rankiem spoglądam na moje miasto  
wiem, że w żadnym innym miejscu na ziemi  
nie ma tyle radości i zieleni.  
I nawet, gdy słońce zachodzi za chmurę,  
kocham moje miasto, moją Zieloną Górę.

**Klara Smolińska**

\*\*\*

Mieszkam tu,  
Czuję, myślę  
Czasem po prostu tylko jestem  
Tutaj zaczęłam  
W Tobie mój początek  
Patrzysz na mnie  
Gdy popełniam błędy, łapię szczęście, owijam się  
w smutek  
Gdy uczyć się być człowiekiem

Patrzę na Ciebie  
Gdy rośniesz, zmieniasz się, tworzysz  
Popełniasz błędy  
Czasem tylko jesteś  
Gdy uczysz się być domem

Mieszkam tutaj  
Bo w Tobie bezpiecznie  
Kreślić pierwsze litery i pisać pierwsze wiersze  
Mogę stąd wyjechać, zawsze mogę wrócić  
Stawać się wciąż inną, wciąż w tym samym miejscu  
Jesteś domem  
Początkiem  
Kołyską



Mirosława Szott

## 8. Kozzi Film Festiwal „Kozzi – Krafftówna – Łomnicki”

W dniach 10-14 czerwca 2022 roku odbyła się kolejna, ósma już edycja Kozzi Film Festiwal, której organizatorami były dwie instytucje: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze oraz Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku, a partnerem – od 2012 roku FilmFestival Cottbus. Tym razem festiwalowe spotkania umiejscowione zostały w Zielonej Górze i Zatoniu. Impreza została objęta honorowym patronatem Prezydenta Miasta Zielona Góra oraz Mar-

szalka Województwa Lubuskiego. Dyrektorem Festiwalu, kuratorem programowym i koordynatorem projektu był dr Andrzej Buck.

Maciej Kozłowski, wywodzący się z Kargowej, to postać niezmiennie patronująca uroczystościom festiwalowym. Wśród najważniejszych nazwisk znaleźli się także Barbara Krafftówna oraz Tadeusz Łomnicki. To oni stanowili inspirację tegorocznych uroczystości. Gościem specjalnym edycji został Jan Englert, wybitny aktor filmowy i teatralny, reżyser.



Wydarzenia czerwcowe poprzedzały trzy forpocząty. W marcu odbyło się spotkanie wokół filmu *Sonata* (reż. Bartosz Blaschke) z udziałem Małgorzaty Foremniak i Łukasza Maciejewskiego. Z kolei w maju miała miejsce w KINIE NORWID prezentacja filmu *Żeby nie było śladów* (reż. Jan P. Matuszyński), który otrzymał nagrodę za reżyserię podczas FilmFestival Cottbus 2021. Bezpośrednim wprowadzeniem do festiwalu było też spotkanie wokół tegorocznych patronów w przeddzień festiwalu.

Filmem otwarcia był *Nosorożec* w reżyserii ukraińskiego filmowca Olega Sencowa. Na program festiwalu złożyły się następujące cykle filmowe:

- Kino Polskie. Filmy z lat 2021-2022 (*Magdalena*, reż. Filip Gieldon; *Fucking Bornholm*, reż. Anna Kazejak; *Po miłość / Pour l'amour*, reż. Andrzej Mańkowski; *Bo we mnie jest seks*, reż. Katarzyna Klimkiewicz; *Wiarołom*, reż. Piotr Złotorowicz),
- Kino znad granicy (m.in. *Jedenaste: znaj sąsieda swego [Nebenan]*, reż. Daniel Brühl; *Nasiona [Die Saat]*, reż. Mia Maariel Meyer; *Fabian albo świat schodzi na psy [Fabian oder der Gang vor die Hunde]*, reż. Dominik Graf; *Wolni albo martwi [Stürm: Bis wir tot sind oder frei]*, reż. Oliver Rihs),
- Kino akcji. Kozzi Gangsta Film (*Lokatorka*, reż. Michał Otlewski; *Mój dług*, reż. Denis Delić / Bogusław Job; *Furioza*, reż. Cyprian T. Olędzki),
- Łukasz Maciejewski. Moje ulubione role drugoplanowe (m.in. *Inni ludzie*, reż. Aleksandra Terpińska; *Jakoś to będzie*, reż. Sylwester Jakimow),
- Kino wg Andrzeja Draguły: Wiara i Wojna.

Ważnym elementem festiwalu były także przedsięwzięcia teatralne. Ostatniego dnia festiwalu w Sali CKK RČAK odbył się spektakl w ramach Lubuskich konotacji pt. *Małe zbrodnie małżeńskie* Erica-Emmanuela Schmitta w reżyserii Karola Wróblewskiego w wykonaniu Beaty Kawki i Mirosława Zbrojewicza. Do nieco innych spotkań z dramatem, których scenę tworzyły ruiny pałacu w Zatoniu, odbiorcy byli zaproszeni w cyklu Czytelnia Dramatu, której pomysłodawcą jest dr Andrzej Buck, a koordynatorem dr Janusz Łastowiecki. Przeczytane zostały dwa teksty: *Nie chcę matki piękniejszej od mojej* według

# KOZZI FILM FESTIWAL

# FTIK

8(11). FESTIWAL FILMU, TEATRU I KSIĄŻKI  
KOZZI KRAFFTÓWNA ŁOMNICKI

powieści Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu* (adaptacja Waldemara Matuszewskiego i Roberta de Quelen) oraz *Jeszcze żywi* Mirosławy Szott w reżyserii Andrzeja Nowaka. Wzięło w tym udział kilkunastu aktorów lubuskiej sceny teatralnej.

Dopełnieniem wydarzeń były także spotkania i rozmowy wokół książek. Prezentowano publikacje: *Jestem jak motyl* Andrzeja Grabowskiego, *Krafftówna w krainie czarów* Remigiusza Grzeli, *Bez okłasków* Jana Englerta i Kamili Drekiej, a także książkę Jacka Głomba *Życie niedokończone. Z Lechem Raczakiem rozmawia Jacek Głomb*.



Ważnym miejscem festiwalu był też NAMIOT CAFÉ FILM, przyciągający młodszych odbiorców spektaklami, warsztatami, wspólnym czytaniem książek i zabawami. Jedną z atrakcji był spektakl *W lesie* na podstawie tekstu Małgorzaty Strzałkowskiej w wykonaniu „Teatryku Majaczek” połączony z warsztatami ekologicznymi. Także dzieci z zespołu „1-2-3 TEATR” miały możliwość zaprezentować swoje umiejętności w przedstawieniu *Jak myszka została nietoperzem* (na podstawie bajki Akaki Cereteli). W ostatnim dniu festiwalu odbyło się spotkanie online z Iwanem Andrusiakiem adresowane do dzieci pochodzących z Ukrainy.

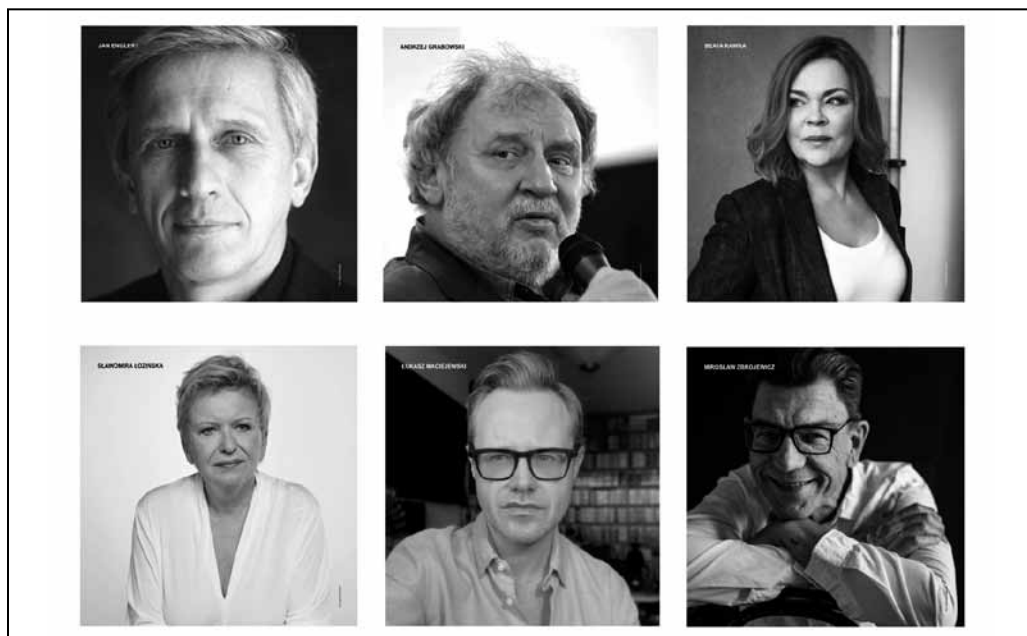
Tegoroczne Jury Festiwalu, w którego skład wchodził: Łukasz Maciejewski (przewodniczący), dr Andrzej Buck (dyrektor KFF), Małgorzata Grelak (sekretarz), przyznało następujące nagrody:

- Grand Prix, czyli Klaps 2022 dla reżysera najlepszego polskiego filmu fabularnego dla Bartosza Blaschke za film *Sonata*,
- Klaps 2022 za najlepszą kreację aktorską w polskim filmie fabularnym dla Magdaleny Żak za kreację w *Magdalenie* Filipa Gieldona,

- Klaps 2022 za najlepszą drugoplanową kreację aktorską w polskim filmie fabularnym dla Lecha Dyblika za rolę Jurasa w *Sonacie* Bartosza Blaschke,
- Klaps 2022 za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie filmu dla Jana Englerta,
- Klaps 2022 za kino akcji dla *Lokatorki* Michała Otłowskiego ze szczególnym względniem kreacji Sławomiry Łozińskiej.

Pierwszy raz w historii KFF własną nagrodę przyznało Młodzieżowe Jury w składzie: Lidia Compel, Karolina Gleń, Marzena Kapusta, Hanna Kuchta, Paweł Skrzypczak, Zofia Wajdzik (wszyscy z V LO w Zielonej Górze). Novum była także nagroda publiczności (plebiscyt online), którą otrzymał film *Po miłość / Pour l'amour* w reżyserii Andrzeja Mańkowskiego. Specjalna nagroda Kozzi Film Festival KLAPS 2022 trafiła do Łukasza Maciejewskiego, cenionego krytyka filmowego i teatralnego, który związany jest z imprezą od 2012 roku. Autorką statuetek jest Aneta Pabjańska-Moskwa, artystka z Żar.

Dokładny opis poszczególnych wydarzeń festiwalowych znajduje się na stronie <http://www.festiwal.norwid.net.pl>.



# Tym razem poetycko w Cafe Noir

Powiadają czasami, że jeżeli jest się wystarczająco uważnym, to można ich dostrzec. Czają się w wąskich uliczkach i rozmawiają półgłosem. Inni, bardziej odważni przesiadują w kawiarniach, na ławeczkach czy w parkach albo też na ławeczkach w parkach. Tak, jeszcze istnieją, choć wielu w to nie wierzy, bo poezja to bardzo niepraktyczne zajęcie jak na współczesne czasy. Oni jednak trwają – poeci. Mam nadzieję, że nikt nie wystraszy się górnolotnego wstępu z przymrużeniem oka, bo mam ochotę opowiedzieć o ciekawym spotkaniu, które odbyło się w czerwcu tego roku z inicjatywy dwojga poetów.

Tuż za fontanną, obok placu Bohaterów znajduje się nie do końca kawiarnia i nie do końca bar. Trudne jest to do określenia. W środku jasne ściany, lekko zardłańnięte czasem. Są obrazy i oszklony taras. Miejsce wyjęte z przestrzeni. W sam raz dla poetów. Również o 19:00 do Cafe Noir przybyli ci z uliczek i ci z kawiarni. Weszła całkiem pokaźna grupa. Zasiadli na starych krzesłach, a na środku stała scena. Oświetlona i obita w czerń. Katarzyna Zagożdżon zapowiedziała gości. A byli to: Joanna Marcinkowska i Bartosz Konopnicki. Młodzi i uśmiechnięci, wcale nie wyglądali na poetów (ale jak powinien wyglądać poeta?), jednak gdy wybrzmiały ich wiersze, to nikt już nie miał wątpliwości. Dla Joanny był to debiut, zatytułowa-

ny *Czarne motyle*. Bartosz z kolei, posiadając już nieco większe doświadczenie, śmiało mógł się pochwalić czterema wydaniem, z czego najnowsze nosi tytuł *Jak te manekiny*. Jego twórczość często ukazuje się w przestrzeni internetowej czy w antologiach poetyckich. Oboje są absolwentami Uniwersytetu Zielonogórskiego i łączy ich wspólna pasja, jaką są fotografia i góry.

Teksty czytała Magda Faron, modulując głos i „skacząc” pomiędzy wersami, odpowiednio zmieniając ton, gdy wymagał tego nastrój. W przerwach myśli mogły wędrować i kontemplować znaczenie słów. Wszyscy słuchali w ciszy, nikt nawet nie zakasłał, no bo jak można zepsuć tak doniosłą atmosferę. Na koniec rozległy się oklaski, które zwiastały kolejny punkt programu.

Mirosława Szott zaczęła spotkanie autorskie. Oczywiście nie zabrakło pytań o twórczość, pojawiły się też takie dotyczące samych gości. Poeci interpretowali bogate opisy, wyjaśniali niezwykle inspiracje czy zainteresowania. Potem przyszła kolej na widownię. Co zaskakujące i niecodzienne – zwykle złąkniona widownia tym razem zamieniła się w las rąk. Jeszcze poeci nie zdążyli odpowiedzieć na jedno pytanie, a padały już trzy kolejne. Gdy każdy doczekał się swojej szansy i zaspokoił ciekawość, miał



okazję na swoje pięć minut z autorami. Kupowano tomiki, a śmiech i rozmowy wypełniły salę do tego stopnia, że zamknięto drzwi, a atmosfera stała się jeszcze bardziej dyskretna.

O 20.35 wszem i wobec ogłoszono „Turniej Jednego Wiersza”. Zachęcano do udziału na wszystkie sposoby. Niektórzy byli przygotowani, inni naprędce rozsiadali się po barokawiarni i szukali inspiracji. Niektórzy tworzyli coś po raz pierwszy (oby nie ostatni), inni już wdrożeni w tę prądną sztukę kreślili słowa na telefonach czy na kartkach. Zadawano mnóstwo pytań. Jak długi ma być ten wiersz? O czym? A czy to ja muszę go przeczytać? W tej atmosferze minęło 10 czy 15 minut. Uczestnicy byli podekscytowani i można powiedzieć, że nieco przestraszeni, bo wiersze miały być czytane nie tylko przed publicznością, ale też przed komisją, w której zasiedli poeci i organizatorzy. W tym czasie na scenie pojawił się Andriej Kotin, znany zielonogórski tekściarz i piosenkarz. Grał i śpiewał w rytm oklasków publiczności.

Zaczęło się. Młodzi i starsi kolejno wchodzili na scenę. Ktoś napisał wiersz o obrazie, ktoś inny o braku pomysłu na wiersz. Dostyc oryginalny. Krótsze i dłuższe, te smutne i wesołe, wszystkie zostały nagrodzone brawami. Zwycięzca mógł być tylko jeden i została nim Julia Gwóźdź – studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Skradła nie tylko serca jury, ale też publiczności. Werdykt podjęto za zamkniętymi drzwiami jednomyślnie. Następnie odbyło się uroczyste wręczenie nagród (których sponsorem byli: Studenckie Koło Literaturoznawców UZ, Lubuski Teatr oraz jeden z przybyłych gości), wraz z podziękowaniami i oklaskami. Poza nagrodzoną Julią, wyróżniono też Elżbietę Dybalską i Adriana Loksia. Wtedy na scenę ponownie wkroczył Andriej Kotin i w rytmie muzyki poeci rozeszli się do miejsc znanych tylko poetom. Nie wiadomo, czy znowu się spotkają i kiedy to będzie, wiadomo jednak, że czy w parkach, czy w teatrach istnieją ci, którzy bawią się słowem.





Joanna Wawryk

# Szkiełko i oko, czucie i wiara – współcześni literaci wobec tradycji Mickiewiczowskiej

Z okazji dwusetnej rocznicy wydania *Ballad i romanów* Biuro Literackie zaprosiło – w ramach piątej edycji konkursu „Wiersze i opowiadania doradne” – do pisania utworów nawiązujących do dzieł Adama Mickiewicza. Pokłosiem projektu jest almanach *Romantyczność 2022. Współczesne ballady i romanse inspirowane twórczością Adama Mickiewicza*, w którym znalazły się teksty 38 autorów: Kacpra Bartczaka, Miłosza Biedrzyckiego, Dariusza Bugalskiego, Heleny Burdzińskiej, Aleksandry Byrskiej, Łukasza Cabajewskiego, Jacka Dehnela, Michała Domagalskiego, Janki Harasimowicz, Anauk Herman, Romana Honeta, Kamili Janiak, Aleksandry Kasprzak, Bogusława Kierca, Katarzyny Klein, Adriana Korlackiego, Jakuba Kornhausera, Marii Krzywdy, Jakuba Kurzyńskiego, Natalii Malek, Karola Maliszewskiego, Piotra Matywieckiego, Joanny Mueller, Katarzyny Ożgo, Zofii Paczeńskiej, Edwarda Pasewicza, Anny Podczaszy, Jakuba Pszoniaka, Natalii Roguz, Bianki Ronaldo, Joanny Roszak, Karoliny Sałdeckiej, Katarzyny Szaulińskiej, Daniela Tamkuna, Macieja Topolskiego, Antoniny Tosiek, Marcina Wilkowskiego i Grzegorza Wróblewskiego. Kolejność tekstów zamieszczonych w antologii wyznaczył Piotr Śliwiński, który w posłowie zatytułowanym *Doświadczenie romantyczności* wyjaśnia, że jego celem nie było wartościowanie dzieł. Wielogłos i różnorodność jest w tym wypadku wartością – jak stwierdza Śliwiński o utworach: „wszystkie one, lecz każdy inaczej, nader różnorodnie, robią to, czego nam dzisiaj potrzeba – wychodząc z dyskursu późnej nowoczesności, starają się dotrzeć do ukrytej prawdy, doświadczyć romantyczności w stylu własnego istnienia”<sup>1</sup>.

Wymienieni wyżej twórcy nie reprezentują jednego pokolenia. Wśród autorów znaleźli się zarówno literaci i literaturoznawcy z wieloletnim dorobkiem pisarskim, naukowym, jak i młodzi poeci i prozaicy. *Romantyczność 2022* siłą rzeczy pokoleniowym manifestem być nie może, niemniej twórcy manifestują tu swój stosunek z jednej strony do Mickiewicza i jego dorobku, tradycji, przeszłości, z drugiej zaś – do współczesności, jej pro-

<sup>1</sup> *Romantyczność 2022. Współczesne ballady i romanse inspirowane twórczością Adama Mickiewicza*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2022, s. 115. Przy kolejnych cytatach z almanachu w nawiasie podaję numer strony.



blemów i wyzwń. O czym jest *Romantyczność 2022*? Można by odpowiedzieć najkrócej – o współczesności. O współczesności, w której romantyczna tradycja wciąż jest żywa, lecz domaga się reinterpretacji i wyjścia poza skostniałe szkolne schematy.

### **Mickiewicz wielkim poetą był! Ale...**

Po każdym utworze zamieszczonym w antologii pojawia się odautorski komentarz. Te wypowiedzi w różnej formie – mniej lub bardziej rozbudowanej – naprowadzają na intencje twórcze, bywa, że odnoszą się też do wcześniejszych doświadczeń autora z twórczością Mickiewicza. Zdecydowanie więcej tu krytyki niż afirmacji. Kilka przykładów. Grzegorz Wróblewski stwierdza: „Nigdy nie byłem pod wrażeniem wszystkich tych zajazdów/podjazdów, zbierania grzybów czy kłusownictwa [...]”, ale „[...] Adam Mickiewicz dzielnie walczył m.in. z warszawskimi konserwatystami, z całą tą masą ówczesnych głupków” (s. 6). Joanna Mueller przyznaje się do niechęci do poety, ale i do tego, że obezwładniła ją *Świtez*. Jakub Kurzyński nigdy za Mickiewiczem nie przepadał, ale chciał podjąć z nim dialog. Według Aleksandry Kasprzak „Adam Mickiewicz jest zatęchłym dziadem” (s. 84), widzianym w przedmiotach codziennego użytku; dziadem, którego czuje się wnuczką, stłamszoną „wieszczym bełkotem”.

Gotowy rezerwuwar motywów, wątków, cytatów – szkiełko i oko, stępy, kurhan, Maryla itd. – czy to jeszcze coś znaczy, czy to tylko puste znaki? Może – tak po Gombrowiczowsku – Mickiewicz jest formą, od której uciec się jednak nie uda. Innymi słowy – jesteśmy Mickiewiczem podszyci. O tym traktuje utwór Heleny Burdzińskiej, *Ballada emigrancka* z wpisaniem weni kontrastem między polską tożsamością – trudną, skomplikowaną, drażniącą, ale i mocno wrośniętą w człowieka – a zachodnią, kosmopolityczną i neutralną. Doświadczenia polskości z perspektywy emigrantki dotyczy też odautorski komentarz. Burdzińska pisze: „Gdy myśli się o Polsce poza nią, nie da się uniknąć tego, który z jednej strony właściwie wymyślił polskość tak, jak ją rozumiemy, ale z drugiej strony jest także archetypicznym polskim emigrantem” (s. 70).

Mimo różnych indywidualnych perypetii z percepcją Mickiewicza dawniej, dziś – z perspektywy czasu – autor *Romantyczności* odczytywany na nowo jawi się jako... klasyk (tak!), wobec którego trzeba się zbuntować, by się do niego zbliżyć i odkryć coś dla siebie na nowo. Potrzebne są nowe konteksty, stąd otwierający antologię utwór Grzegorza Wróblewskiego *Ścieżka kwiatów, czyli przenosimy naszego wieszca, Adama Mickiewicza, do miasta Kioto, w czasy bliżej nieokreślone*.

### **Wobec przeszłości i terażniejszości**

Formuła konkursowa, która tkwi u genezy zbioru, nienarzucająca niczego poza inspiracją twórczością Mickiewicza i objętością tekstu, sprawiła, że utwory są różne pod względem nie tylko treści, ale i formy, opierają się na własnych zasadach, korzystają z rozmaitych poetyk. Pisanie ballad jak Mickiewicz byłoby absurdalne – tę myśl następująco rozwija Karol Maliszewski:

Skończyła się epoka piętrowo rytmizowanych wynurzeń. To pierwszy koniec. Skończył się świat bezpośrednich i prostych odniesień duchowych i religijnych związanych z określonym etosem, a to właśnie na niezachwianej wierze w jego żywotność oparte są Mickiewiczowskie ballady. To drugi koniec. Zestarzały się też foremki stroficznie-stychiczne, już dawno nienadążające za nowoczesną poetyką błysku i skrót. Inaczej mówiąc, takie niesamowite narracje i historie grozy przeniosły się na inny grunt literacki – nikt ich monotennie i katarynkowo w wierszach nie opowiada. To trzeci koniec. (s. 108)

Romantyczny paradygmat jest nieaktualny, niemniej odniesienie się do niego stanowi tutaj punkt wyjścia. Użyta w podtytule zbioru formuła „współczesne ballady i romanse” przywołuje określoną tradycję gatunkową, do której autorzy podchodzą swobodnie. Ballady to przecież nie tylko Mickiewicz, ale to jemu

gatunek zawdzięcza swój etap heroiczny, drugim odnowicielem gatunku był Bolesław Leśmian (ballady filozoficzne). Zwłaszcza w Młodej Polsce i Dwudziestoleciu wielu poetów podjęło próby aktualizowania gatunku (Leopold Staff, Jan Kasprówic czy Bronisława Ostrowska), później do tradycji balladowej odwoływali się m.in. Czesław Miłosz (*Ballada*), Władysław Broniewski (*Ballady i romanse*), Miron Białoszewski (*Ballada o zejściu do sklepu*), Rafał Wojaczek (*Ballada bezbożna*), Tadeusz Nowak (*Pieśń o Balladach i romansach*), coraz swobodniej podchodząc do wyznaczników ballady literackiej, takich jak synkretyzm elementów lirycznych, epickich i dramatycznych, wyraźnie zarysowana fabuła, tajemniczość, subiektywność narracji, partie dialogowe. W aspekcie genologicznym zebrane w antologii teksty w większości również nie wpisują się w definicję ballady literackiej, pozostają w jej polu gatunkowym; bynajmniej nie chodzi tu o wskrzeszenie czy naśladownictwo formy, lecz świadome wykorzystanie Mickiewiczowskiej tradycji balladowej – w szeregu tekstów, od poezji lirycznej poprzez balladowe trawestacje do form prozatorskich.

Celem niniejszych rozważań, powstałych na marginesie lektury almanachu, nie jest analiza każdego z utworów, jednak kilka problemów i tematów przewija się przez zbiór i to m.in. one sprawiają, że literatura staje się świadectwem czasów.

### Karusia – Ryfka – Bucza

Współczesny widz, oglądając setki medialnych obrazów, w których gwałt, przemoc i śmierć są pokazywane bez tabu, być może szybko o nich zapomni, nie zachowa w pamięci imienia i twarzy dziecka, o którego dramacie przed chwilą usłyszał. Literatura natomiast potrafi przechować i przekazać dalej pytania i zagadki, których nośnikiem jest poruszający obraz. W Mickiewiczowskiej *Romantyczności* najbardziej nośnym obrazem wydaje się dziewczyna pogrążona w rozpacz. Przedstawiona sytuacja wymaga od wszystkich widzów zajęcia stanowiska. W balladzie – uznanej za programową – dramat Karusi zostaje potraktowany... instrumentalnie o tyle, że staje się pretekstem do naprowadzenia na szereg opozycji, które będą się odnosić do sporu klasyków z romantykami. Nie będzie istotne, czy dziewczeczka kogoś w końcu posłuchała i czy udało się jej pomóc – z perspektywy manifestu nie o wyjście z rozpacz chodzi, lecz wskazanie na jej charakter. Władysław Broniewski, pisząc swoje *Ballady i romanse* pod wpływem II wojny światowej, zaktualizował scenę – naga, ruda Ryfka biegnie po gruzach miasta, szuka rodziców, a inni różnie reagują na dramat dziecka. Na świadków rozpaczliwej sceny autor powołał ludzi i niebo, porównując los żydowskiego dziecka z cierpieniem Jezusa. Trzecią odsłonę tego dramatu przynosi zamieszczony w *Romantyczności 2022* wiersz Jakuba Pszoniaka, zatytułowany *R*. Tu już bohaterka nie biegnie – nie żyje: w gruzach leży Ryfka „dziewięćdziesięcioletnie dziecko”. Centralna część utworu (dwie zwrotki) składa się z ciągu ukraińskich imion, po którym następuje ostatnia strofa – tworząca klamrę kompozycyjną z pierwszą. Znane frazy ulegają aktualizacji, gdyż zostają wykorzystane, by powiedzieć o zbrodni wojennej w Buczy:

Słuchaj, dziewczeczko! Ona nie słucha,  
Dzień głuchy, noc głucha, czarnokrucza,  
Nie ma miasta, nie ma żywego ducha,  
W gruzach leży nieme dziecko,  
Naga wiosennoletnia Bucza.  
(s. 41)

Pszoniak mówi o wojnie w Ukrainie, odnosząc się do Broniewskiego, który pierwiej posłużył się frazą Mickiewiczowską. Autor zwraca również uwagę na istotność ciągłości tradycji, potrzebę zakorzenienia w kulturze, wszak „Nie jest przypadkiem, że najeżdźca prócz ludzi stara się zabić język, sztukę i historię” (s. 42).

W zbiorze jest więcej utworów odnoszących się do rosyjskiej agresji. Joanna Mueller pisze o lekturze *Świtezii*: „czytałam, nie mogąc odwrócić szkiełka i oka od doniesień z Buczy, Mariupola i innych miast walczącej Ukrainy, gdzie nie zdarzył się – a przynajmniej zdarzył się »nie każdej« – świteziański cud” (s. 17). Mueller swój utwór *lobelie: bellum* dedykowała „tym z rzezi, nie świtezii”. Geneza *Sikor* Natalii Malek też jest związana z aktualną sytuacją (modraszki – ze względu na barwę upierzenia – stały się symbolem walczącej Ukrainy). Tematem tekstu *Jakiż to chłopiec* Edwarda Pasewicza są ukraińscy chłopcy „z ranami postrzałowymi i bez ran postrzałowych” (s. 43), żywi i martwi, młodzi, pełni życia i równocześnie żyjący w cieniu śmierci.

W utworze *przy tobie nie ma żywego ducha* Katarzyna Szaulińska podejmuje dialog z tradycją Mickiewiczowską, a także z antykiem. Poetka przywołuje Antygonę, Orfeusza, Persefonę, by ogłosić kapitulację poezji wobec rzeczywistości – cóż bowiem znaczy układanie rymów, gdy ludzie umierają? Ostatnie zdanie: „[...] patrzaj w serce i serię z kałacha puszczaj tam właśnie / wróg łka ze strachu” (s. 51) ma dramatyczną genezę – Szaulińska w medialnych przekazach widziała Kirę Rudyk, ukraińską deputowaną, która uczy się obsługi broni, oraz relację Ukrainki, która zabiła człowieka i teraz sama potrzebuje pomocy.

Do obecnej sytuacji politycznej odnosi się Łukasz Cabajewski w *Balladzie o tym że przecież mogło być zupełnie inaczej*, a także Karolina Sałdecka w *Obrazku*, w który wpisany jest kontrast między rozpaczliwym położeniem ludzi doświadczających wojny a znieczulicą i brakiem reakcji ze strony decydentów kościelnych.

Literaci – w ogóle artyści – bardzo szybko zareagowali na wojnę w Ukrainie. Sztuka została zaangażowana, by dać świadectwo prawdzie. Nie przestaje tracić na aktualności zdanie Mieczysława Jastruna: „Poezja, aby była sobą, musi dialog toczyć z prawdą”, które Jan Błoński uzupełnił uwagą: „poeta, aby był sobą, musi toczyć swobodny dialog z dziejami i społeczeństwem”<sup>2</sup>. Wielkim tematem literatury nie przestaje być wolność – we wszystkich jej aspektach.

## Kim jest dziewczyna i dlaczego nie słucha

Współczesna Karusia ma twarz ukraińskiej dziewczyny i równocześnie jest kobietą o wielu twarzach. Przewijający się w utworach z almanachu obraz dziewczyny naprowadza na znaczenia archetypiczne i symboliczne, które też nie tracą na aktualności. Indywidualną i zarazem uniwersalną opowieść o nieszczęśliwej kobiecie zawarła Kamila Janiak w *królowej wodzie*. Autorka – jak sama przyznała w komentarzu – wykorzystała historię realnej osoby, dokładając fikcję i fantastykę. Podobnie jak u Mickiewicza (a wcześniej w balladach ludowych i później w balladach Leśmiana) następuje powiązanie postaci kobiecej z naturą, zwłaszcza z żywiołem wody. To archetypiczne połączenie wykorzystała też Aleksandra Byrska w *Fali i dziewczynie*. Centralne położenie dziewczyny w kręgu elementów symbolicznych (jak woda, księżyc, ziemia, sowa, krew, ziarno, zwierzęta, wiatr) ma wymiar rytuału. Aktualizuje się w ten sposób archetyp dzikiej kobiety – czującej silną więź z naturą, która daje jej siłę. Autorka postrzega Mickiewiczowskie ballady z perspektywy wpisanej w nie kobiecego doświadczenia. W bohaterkach romantycznych utworów widzi kobiety skrzywdzone przez patriariat: „to ogrom prawdziwego kobiecego cierpienia, przysłoniętego tylko lekko baśniową atmosferą – bo jedynie tam, w baśniach, bohaterki mogły liczyć na zemstę i sprawiedliwość” (s. 56).

Mówienie o sprawach związanych z kobietą/kobiecością stało się jedną z ważniejszych dominant tematycznych zbioru. Współczucie dla losu kobiet obecne w balladach domaga się reinterpretacji. Patriarchalny model relacji jawi się w nich jako nienaruszalny. Na przykład w *Rybce* natura lub inna nie-ludzka siła sprawcza wymierza sprawiedliwość, mszcząc skrzywdzoną bohaterkę, bo na ludzki sąd nie mogłaby liczyć, choć to ona jest ofiarą (jako uwiedziona i porzucona z dzieckiem).

<sup>2</sup> J. Błoński, *Poeci i inni. Mieczysław Jastrun*, <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-8/artukul/poeci-i-inni-mieczyslawa-jastrun> [dostęp: 7.11.2022].

Z dzisiejszej perspektywy nowego odczytania wymaga *To lubię*. Maryla – bohaterka tej ballady – zostaje uduszona przez adoratora, któremu wcześniej powiedziała „Idź sobie”. Za pychę i pogardę dla innych Maryla pośmiertnie trafia do czyśćca, czyli – to jej wina! Anouk Herman w *girlhood* odnosi się do tej właśnie ballady. Doświadczenie kobiecości zostaje pokazane jako ciągła czujność i ponoszenie konsekwencji tego, jak oceniana przez innych jest czyjaś cielesność:

muszę codziennie myć twarz i spluwać przez ramię  
bo ci wszyscy chłopcy którym odmówiłam  
są gotowi zabić i gotowi przekląć  
a to brzemień jest ciężkie jak berlińskie techno  
(s. 52)

Odautorski komentarz zdradza przyczyny podjęcia takiego tematu: „Zawsze bardzo żałowałam Maryli i czułam silny, wewnętrzny sprzeciw wobec jej losu, więc napisałam ten wiersz dla niej [wiersz jest dedykowany „maryli w.” – dop. J.W.]. Chciałoby, żeby wiedziała, że nie zasłużyła na to, co ją spotkało” (s. 53). Utwór *girlhood* nie tylko na nowo odkrywa *To lubię*, ale i wpisuje się we współczesny dyskurs nad płciowością, cielesnością i niewspółmiernymi konsekwencjami odrzucenia czy nieodwzajemnienia niechcianego zainteresowania.

Janka Harasimowicz w *Adam Mickiewicz czytał wiersze Feridy Duraković* również porusza problem krzywdy kobiet. W tym tekście wraca temat wojny, kiedy to gwałt i przemoc nabiera wymiaru masowej zbrodni. Utwór wieńczy obraz zbiorowej śmierci:

Wśród pól rosną brzemiennech  
Pod niebem rozdartej krainy  
W tle żagiew krwawa, jak na rysunkach dzieci  
Wydarte serce ciemności – pulsuje czarny atrament  
Leżą sennie, nieme dziewczyny.  
(s. 87)

Odniesienia do obrazu ze *Świtezi* łączą się z innymi literackimi i historycznymi kontekstami. Autorka już w tytule odnosi się do poetki, która była świadkiem wojny i ludobójstwa w Bośni i Hercegowinie. Ponadto podjęta problematyka koresponduje z ważną publikacją – *Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom* Christiny Lamb.

## Gry z Mickiewiczem

W poszczególnych utworach składających się na *Romantyczność 2022* autorzy rozmaicie przetwarzają balladowy materiał, który okazuje się nadal literacko inspirujący. *Rękawiczka* stała się pre-tekstem *Czarnego piątku* Zofii Paczeńskiej, zaś *Rybka – Nowej rybki* Jakuba Kornhausera. Tradycja i teraźniejszość są tworzywem literackim w utworze Adriana Korlackiego, *to miasteczko!*, gdzie romantyczna tajemniczość i mistycyzm zostają odniesione do obrazu Nowej Huty. Maciej Topolski – autor *Tak* – zwraca uwagę na to, co szokowało pierwszych odbiorców Mickiewiczowskich ballad, a dziś już chyba niknie w szkolnych interpretacjach – „pornograficzność” *Romantyczności*. Mickiewicz zaznaczył cielesny aspekt pieśń Karusi z utraconym chłopakiem, który dopowiedział teraz Topolski, pisząc śmiały erotyk: „Dla szkiełka, / dla oka, dla liczb to drżenie, *do ust usta* i inne otwory / w ciele. / Jak zarzynane cielę, tak jęcz. Tak kochaj mnie / dzisiaj, tak” (s. 45).

Kolejnym pomysłem jest połączenie świata realnego z wirtualnym w tekście Jakuba Kurzyńskiego <bukiet róż>+<świeca>=<bakłażan>+<krople wody>. Celem autora była próba przetłumaczenia *Romantyczności* na język współczesnych social mediów. XXI-wieczna komunikacja internetowa została porównana do rozmowy z duchami. To już nie romantyczne przenikanie świata realistycznego z fantastycznym/ludowym, lecz współczesny świat, którego częścią jest cyberprzestrzeń.

## Próba bilansu

Dwieście lat od wydania *Ballad i romansów* unieważniło konflikt między szkieletem i okiem a czuciem i wiarą. Dostrzegają to literaci, których głosy tworzą *Romantyczność 2022*. Anna Podczaszy rozstrzyga, czy raczej zawiesza, tę podstawową antynomię z Mickiewiczowskiego manifestu. Nie widzi w tym dramatycznego dylematu ani potrzeby konfrontacji; każdy ma prawo do swojego wyboru, opowiedzenia się za jednym czy drugim, a finał i tak jest niepewny: „Ile zostanie, / ile przepadnie / ze świata cyrkowiska?” (s. 20).

Antonina Tosiek stwierdza: „[...] może »szkiełko i oko« nie są wcale pomnikiem umiłowania empirii i wyższościowej pychy, a wyrazem niemocy? Całość rozbija się o pragnienie identyfikacji: ten tłum, to miasteczko, ta wspólnota cierpiących. Równie trudno jest »spojrzeć«, jak i »odwrócić wzrok«. Co nami powoduje, że patrzymy?” (s. 30). To pytanie nie traci na aktualności.

Odrzucona zostaje z kolei „chrześcijańska ekonomia”, która w opinii Marcina Wilkowskiego (*Siedem złych duchów robi miejsce dla dziesięciu złych duchów*) jawi się jako niesprawiedliwa, gdyż balladowy Bóg (w *To lubię*) był po stronie gwałtu i przemocy. Współczesne teksty dalekie są od prezentowania świata, w którym kara za winy byłaby pewnikiem, a przysięga – świętością.

Nie zostaje odrzucony związek człowieka z naturą, lecz i on ulega reinterpretacji. Wierszem zaangażowanym, wyważonym w tonie, który jednak należałoby odbierać jako ostrzeżenie, jest *flara* Joanny Roszak. „Nic co leśne nie jest nam obce” – deklaruje poetka, wskazując na wspólnotę człowieka z naturą, ale – uważa! – niebo, ziemia i wody są „bez pokrycia”, czyli – jako niemające potwierdzenia – są w stanie zaniku, zagrożenia – innymi słowy, nie ma pewności, że będą. Zamykające utwór wersy odnoszą się do przeszłości i czasu teraźniejszego: „we wszystkim był cały świat / we wszystkim jest cały świat” (s. 31), ale – można by dopowiedzieć – czy we wszystkim będzie cały świat? Czy przyszłość jest bezpieczna? Poetka pisze: „Aktualizują się Mickiewiczowskie ballady, gdy rozmyślamy dziś o deficycie drzew i wody, także o rozpylonej intensywności poezji. Intensywność *versus* wytrzebione lasy, mętne jeziora. Już nie głucho i ciemno, ale za jasno i za gwarno wszędzie. Autostrady zamiast puszczy. Komunały zamiast tajemnicy” (s. 32). Ekokrytyczne odczytanie twórczości Mickiewicza pojawia się jeszcze w tekście Natalii Roguz, *Do Mięśniowo*. Takie motywy jak: ksiądz Robak, polowanie, charty, kurhany zostały połączone z anatomią śmierci – opisem skurczu mięśni. Tematem utworu jest akt umierania zwierzęcia. „Chciałam – pisze Roguz – oddać w wierszu, na ile to możliwe, głos zwierzętom – w chwili rozstrzygnięcia, niemal z za grobu” (s. 79).

„Współczesne ballady i romanse” są więc też o powinnościach – wobec drugiego człowieka, wobec świata, wobec zwierzęcia; wobec „tu” i „teraz”, ale także wobec przeszłości. Pytanie o tradycję i stosunek do niej zawsze w jakimś stopniu jest kierunkowskazem na przyszłość. Chodzi też o pamięć i pielęgnowanie jej, o powinności żywych wobec zmarłych, o przekazywanie prawdy o przeszłości (m.in. o tym piszą Maria Krzywdą w *Podarunku M.* i Michał Domagałski w *Rutce*).

Nie jest możliwe wyłuskanie z prezentowanego tu zbioru jednej sentencji na miarę „Miej serce i patrzaj w serce!”. *Romantyczność 2022* pokazuje bezsilność literatury wobec aktualnych spraw, ale i jej zaangażowanie. Nie ma tu jednej narracji, nie ma jednej opowieści, lecz wielość, różnorodność, mozaika poglądów i stanowisk. Tylko tak można mówić o współczesności, gdy nastąpiła multiplikacja szkielek i każdy ma swój punkt widzenia. W pewnym zawieszeniu pozostaje kwestia wiary, a czucie przechodzi w postawę czułości i empatii.

# Jerzy Giedroyc Norwidem XX wieku

Redaktor opisany przez Magdalenę Grochowską w książce *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu* (Warszawa 2014) to Cyprian Kamil Norwid drugiej połowy XX wieku w myśleniu o Polsce. Giedroyc tym się różnił od Norwida, że wierszy ani dramatów nie pisał i tym, że poeta umierał w samotności i zapomnieniu, podczas gdy Redaktor już za życia doświadczył sławy poprzez najróżniejsze formy oddawania mu szacunku, począwszy od medali, dyplomów, honorów. Mimo to – jak pisze autorka książki – doświadczył też rozczarowań i samotności wśród tłumów wielbicieli, w szczególności pod koniec życia, które zbiegło się z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Norwid nie doczekał się niepodległej Polski, był rozczarowany polskim społeczeństwem, polskimi elitami, które wtedy tworzyła arystokracja wraz z artystami. Jego myślenie o polskości, Polsce, Polakach zdumiewa do dzisiaj, a jego myśli/słowa nadal są cytowane, począwszy od polityków poprzez księży, a na poetach skończywszy. Z kolei Giedroyc rozumiał, jak ważne są wierność samemu sobie i oddanie sprawie, której podjął się zaraz po wojnie. Miał niesamowitą odwagę przeciwstawienia się emigrantom z Londynu, którzy utworzyli polski rząd na uchodźstwie i kontynuowali władzę II Rzeczypospolitej aż do pierwszych legalnych wyborów w roku 1990.

Emigracja nie pozbawiła Redaktora realistycznego spojrzenia na Polskę, ani nostalgia nie oślepiła go. Szybko odizolował się od ludzi, którzy nie mogli pogodzić się z przegraną, cierpiącymi i idealizującymi przeszłość. Zdał sobie sprawę z tego, że emigracja, dla wszystkich emigrantów z każdego zakątka ziemi, to nic innego jak przebywanie ludzi w tym samym kręgu, pocieszanie się nawzajem i wspomnianie przeszłości – słowem, zamykanie się w swojej społeczności i przyjęcie sposobu myślenia o Polsce jak emigrant, stanie się emigrantem.

Norwid chciał, aby Polacy pozbyli się mentalności niewolnika sami, a Redaktor, aby Polacy nie czuli się w ojczyźnie jak w kolonii sowieckiej, w osiemnastej republice, wiążąc swoją wolność z wolnością innych państw pod butem sowieckim.

Londyn, Chicago, Nowy Jork i Paryż różniło spojrzenie na emigrację; toczył się spór o to, kto powinien reprezentować emigrantów rozsianych po całym świecie. Ci, co wyjechali bądź pozostali po wojnie za granicą, tworzyli struktury polskiego państwa, odgradzając się od ojczyzny. Stawiali mur, który miał ich bronić przed krajem, a także odgradzać od kraju. Broń obosieczna, którą należy bardzo ostrożnie się posługiwać.

## Redaktor i emigracja

Jaka była emigracja polska po zakończeniu II wojny światowej, jak wyglądała sytuacja Polaków, pokolenia żołnierskiego, które wygrało wojnę, ale przegrało ojczyznę i pozostało poza jej granicami – na Zachodzie? Można się tego dowiedzieć z książki Magdaleny Grochowskiej o najważniejszym emigrancie drugiej połowy XX wieku – Jerzym Giedroycu.

Jego planem było – jak pisze – „skupić wokół »Kultury« całą lewicową opozycję krajową, wszystkich rewizjonistów”. Mieć ich pod ręką i wykorzystać, gdy nadejdzie taka okazja. Tak on, Redaktor wykorzysty-

wał ludzi do swoich celów i wcale tego się nie wstydził. Na każdego zapoznanego człowieka/literata patrzył jak na przydatne w przyszłości „narzędzie”. Jego interesowała tylko Polska i nią żył.

„»Kultura« nie jest zwolennikiem poglądu, któremu hołduje wielu polityków na emigracji, że im gorzej tym lepiej. »Kultura« opowiada się za – choćby niewielkim – poszerzeniem szczeliny wolności”. Tę „szczelną wolność” Giedroyc poszerzał przez pięć dekad, był na oczach wielu, był też solą w oku wielu. Materiał dotyczący tak nietypowego i nadzwyczajnego emigranta, jakim był Redaktor (a wraz z nim jego zespół), nie jest łatwo dostępny do omówienia czy opisanie, nie tylko dla dziennikarzy, badaczy emigracji polskiej po roku 1939, ale i wszystkich tych, którzy by chcieli czegoś więcej się dowiedzieć o emigracji tamtego okresu.

## Redaktor promotor

On – Redaktor słońce. Wokół niego krążyli politycy i pisarze, artyści i „zwykli zjadacze chleba”, którym coś tam w „głowach się kołatało”. Był promotorem wielu twórców, których nazwiska można byłoby wymienić przez wiele stron. Wystarczy wspomnieć tylko tych najbardziej znanych i uznanych, wśród nich – noblistę Czesława Miłosza.

Kim byłby poeta Miłosz bez redaktora Giedroycia, trudno sobie wyobrazić. Nie potrzeba wielu słów, aby powiedzieć, że poeta na emigracji, i nie tylko na emigracji, bez wydawcy nie istnieje, a jeśli ma się takiego wydawcę jak Redaktor, można mówić o ogromnym szczęściu, tak ogromnym jak Atlantyck. Zresztą sam poeta wielokrotnie mówił i pisał, że gdyby nie możliwość publikowania swojej twórczości po polsku, to piłyby whisky do lustra.

Witold Gombrowicz – na swojej drodze życia spotkałem wiele osób, które pisarza poznały osobiście w Argentynie, jedną z nich był Kazimierz Koszyca\*, żołnierz generała Andersa. Otóż opowiadał on „niestworzone rzeczy” o Gombrowiczu w Argentynie i jak Polacy go widzieli na co dzień. A widzieli go jako jakiegoś dziwaka, udającego arystokratę, hrabiego, który „groszem nie śmierdział”, który uprawiał filozofię na własny użytek, mając słowami co zamożniejsze Polki, aby zapraszały go do swoich domów i częstowały obiadem. A on w zamian odpłacał się im „rozprawami filozoficznymi”, które bardzo je bawiły, był takim kolorowym ptakiem w ich codziennym szarym życiu. Gombrowicz miał własne poglądy i styl, wielki talent, był niesamowitym obserwatorem i komentatorem życia Polaków. W 1953 roku ukazał się w ramach Biblioteki „Kultury” jego *Trans-Atlantyck* (wraz ze *Ślubem*), także w kwietniu tego roku opublikowano pierwszy odcinek jego *Dziennika*. Gombrowicz wrócił do życia literackiego. Jego twórczość jednak nie spodobała się emigrantom polskim ani w Londynie, ani w Chicago czy Nowym Jorku. No i dobrze – pomyślał sobie – im nie musi się podobać, bo ona jest o zaścianku, w którym oni żyją. Według zaścianka pisarz w sposób kontrowersyjny przedstawił rodaków na emigracji jako kołtunów, wykpił polski patriotyzm i w szyderczy sposób przedstawił jego wartości. Nie ma litości, nie daje szans na światłego Polaka, on szuka swojego ideału Polaka – światowca, liberała, który najpierw jest człowiekiem, dopiero później Polakiem; który musi zabić w sobie Polaka, aby być człowiekiem, a potem Polakiem.

Ci prości żołnierze pochodzący z zacofanych regionów II RP – według niego – nie rozumieli, że nie powinni przywiązywać tyle wagi do polskości, religii, patriotyzmu, bo to niemożliwe, to kula u nogi, która nie pozwala wyrosnąć skrzydłom, a przede wszystkim to staroświeckie. Redaktor zgadza się z pisarzem, drukuje jego twórczość. Grochowska pisze, że aby zrozumieć, jak myślał i działał Redaktor, trzeba jeść chleb z nie-

---

\* Kazimierz Koszyca – żołnierz Brygady Strzelców Karpackich Władysława Sikorskiego, uczestnik walk na Pustyni Libijskiej, Tobruku, pod Monte Cassino, w Anconie i Bolonii; odznaczony na Zachodzie Krzyżem Czyny Bojowego Polskich Sił Zbrojnych, a w Polsce – Orderem Oficerskim „Polonia Restituta”; działacz Koła Karpatczyków i Koła Związku Podhalan im. Władysława Orkana w Ameryce Północnej. Autor książki pt. *Opowieści o turystach i żołnierzach gen. Władysława Sikorskiego, Brygada Strzelców Karpackich Władysława Sikorskiego (1940-1942)*, Wydawnictwo Koło Karpatczyków, Chicago 1993.



jednego pieca, trzeba jeść chleb wypiekany z jednej i drugiej strony barykady, w Paryżu i Londynie.

Dlatego nie ma co się dziwić, że takie rozumienie polskości i Polaków przez Redaktora i jego zespół nie było akceptowane przez rodaków w Londynie i Chicago, i Ameryce. Redaktor tracił pieniądze na promocji pisarza Witolda Gombrowicza, stracił czytelników i zyskał złą sławę wśród Polonii rozsiadanej po całym świecie. Zresztą nie po raz pierwszy tracił czytelników, z Czesławem Miłoszem była podobna sytuacja. Gdy mu pomógł, czytelnicy odwracali się od niego. Tak było i później w latach przełomowych – w Październiku 1956, gdy Redaktor poparł Gomułkę; tak było w 1968 roku, gdy zaczął zarzucać Kościołowi małe zaangażowanie i przeciwstawiał się jego nagonce na Żydów, sugerując nawet antysemityzm wśród wysoko postawionego polskiego duchowieństwa.

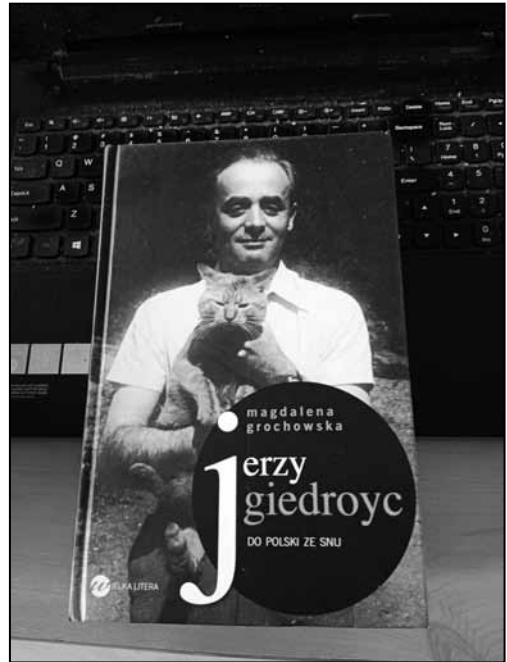
Powiedział: Zapewne byłem bardziej wyrozumiały dla ekskomunistów niż dla ludzi takich jak Iwaszkiewicz, którzy komunistami nigdy nie byli, po prostu dlatego, że ekskomuniści byli znacznie ciekawszy. Sceptycznie patrzył na to, co działo się w kraju w 1980 roku, i być może dlatego nie miał pełnego zaufania do „Solidarności” i Lecha Wałęsy z Matką Boską w klapie marynarki. Jednak dobrze wyczuł obrady Okrągłego Stołu, krytykując i negatywnie oceniając ich skutki.

Jeleński niedługo po Sierpniu stwierdził, że ideologia nacjonalistyczna zamartwychwstała w radykalnym odłamie opozycji. Polsce potrzebny jest Gombrowicz dla zwalczania polskiej gęby patriotycznej, powie w ankiecie „Res Publici”, rozpisanej pod koniec 1986 roku. Tak było, gdy poparł Kwaśniewskiego, bo zawsze był bardziej wyrozumiały dla ekskomunistów. Miłosz nawet powiedział, że formacja ta przetrwała w PRL-u jak w lodówce.

Redaktor nie kupczył swoimi ideami ani nie szukał sprzymierzeńców wśród tych, co mogliby sypnąć groszem, szkodząc jemu i jego ideom, jaka powinna być Polska i Europa Wschodnia. W swojej postawie był podobny do Norwida. Nie szczędził ciosów wymierzonych w mentalnych niewolników, w tych, dla których myślenie postkolonialne było normą. Giedroyc widział komunizm w Polsce i Europie Środkowej znacznie szerzej niż inni, stąd też fenomen „Solidarności” nie był aż takim fenomenem dla niego jak dla innych. Uważał, że choć położenie geograficzne państw blisko Rosji jest takie, a nie inne, to jednak ich mieszkańcy sami są odpowiedzialni za wyzwolenie się spod panowania i wpływów Rosji. Uważał, że nigdy nie ma takiej niewoli, w której nie można by znaleźć nawet najmniejszej przestrzeni do działań wolnościowych, zawsze znajdzie się garstka ludzi inspirujących do ruchów wyzwoleniczych.

## Zakończenie

Grochowska napisała książkę nie tylko o Redaktorze, ale także np. o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Czesławie Miłoszu czy Konstantym Jeleńskim i dobrze się stało. Pisząc o nich, rozświetliła mroki ogromnego kosmosu tym wszystkim, którzy nigdy nie podeszli bliżej „tej jasności”.



Podróż z Grochowską po tych galaktykach nie jest łatwa, bo główny bohater to człowiek – hybryda, połączenie polityka z mecenasem kultury, dyktatora z opiekuńczym ojcem. On sam stał się pomnikiem wystawionym z papieru, myśli, idei, na którego wielu wybitnych polityków chętnie się powołuje. Był także człowiekiem z krwi i kości, ulepionym z „lepszej gliny”, a ta czyniła z niego człowieka zamkniętego w sobie, człowieka zagadkę, człowieka układankę. Mieszkał w swoim gabinecie, można powiedzieć bunkrze, z którego wydawał rozkazy. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo był niedostępny.

Był zamknięty w sobie jak szwajcarskie skarbcce i jedynie jego korespondencja rzuca światło na to, kim tak naprawdę był. Wydawany miesięcznik „Kultura” oraz książki mogą w pewnym stopniu odpowiedzieć, jakim był człowiekiem, co lubił, co szanował, co przeżywał, jakie męczyły go rozterki i dylematy, jakie idee i kierunki polityczne go interesowały. Nawet zaczynając od samego początku, czyli od „Buntu Młodych”, który przekształcił się w „Politykę”, a skończywszy na ostatnim numerze „Kultury” z października 2000 roku, nie będziemy w stanie z całą pewnością stwierdzić, jakim człowiekiem był Wielki Redaktor. Czy był dyktatorem rozkazującym i wymagającym całkowitego podporządkowania się, czy był Redaktorem-słońcem, wokół którego wszystko i wszyscy musieli krążyć, czy też był redaktorem-papieżem nieomylnym, zawsze mającym rację, nawet jeśli jej nie miał. A może był redaktorem-kosmitą, robotem z dalekiej galaktyki pozbawianym ludzkich uczuć tak na co dzień, które tylko „odzywały się w nim, gdy rozgrywały się ludzkie dramaty” raz na jakiś czas. Robot, który napisał około stu tysięcy listów, wydał setki tytułów książek, a przez jego dom, gabinet, życie przemaszerowała armia ludzi.

## Kłeska czy zwycięstwo?

Czy człowiek, który całe życie walczył o Polskę swoich marzeń, poniósł klęskę? Na to pytanie wprost nikt nie odpowie. Giedroyc zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że myślenie polskich elit jest postkolonialne, a tożsamość postkolonialna ukształtowana przez lata niewoli nie będzie łatwa do pozbycia. W Polsce, o którą walczył, siebie nie widział, nawet nie chciał do niej pojechać, choćby ze zwykłej ludzkiej ciekawości zobaczyć, jak wygląda jego miasto Warszawa, ulica, przy której mieszkał, ulice, po których chodził.

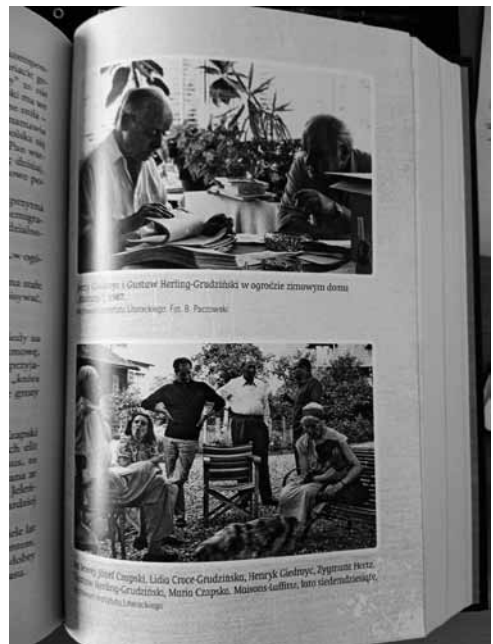
I ostatnia samotność, najboleśniej: Polska niepodległa, której wizja niosła go przez pół wieku. To, co stało się wielkim osiągnięciem Polski, przyniesie Giedroycowi poczucie niespełnienia, detronizacji, zmarginalizowania, osobistej klęski.

Redaktor umarł w roku 2000, teraz można nieśmiało zapytać – czy odniósł sukces, czy czegoś nauczył setki, tysiące ludzi, którzy na niego się powoływali i nadal powołują? Wiemy na pewno, pomógł wielu osobom. Jego „Kulturę” czytała garstka ludzi, w najlepszym okresie miesięcznik osiągał nakład 6-7 tysięcy, a średnia przez dekady nie była większa niż 4-5 tysięcy egzemplarzy. W Ameryce, w której mieszka około 10 milionów Polaków lub osób polskiego pochodzenia, znałem tylko 5-8 osób w San Francisco, Kalifornii, o których wiem na pewno, że czytały i prenumerowały jego czasopismo. Byli to poeci, żołnierze generała Andersa: biograf Jan Kowalik, poeta Wiktor Londzin, poeta, fundator nagrody Pen Club w Warszawie Czesław Seifert, profesor, historyk, cichociemny kurier, Lwowiak Jerzy Lerski czy przedwojenny działacz śląski Wilhelm Wolny. Z tymi ludźmi przyjaźniłem się, z nimi o najnowszych numerach pisma rozmawiałem. Po II wojnie światowej oni stracili ojczyznę, swoje miasta – Lwów i Wilno, podobnie jak pokolenie moich rodziców, które straciło swoją małą ojczyznę na rzecz „Ziem Odzyskanych”. Pismo było sprzedawane w księgarni „Slavic Bookstore” u państwa Szwede w Palo Alto przy pięknie brzmiącej ulicy hiszpańskiej El Camino Real. Czytelnikiem i prenumeratorem pisma był też Czesław Miłosz, który żołnierzem nie był, ale bardzo pomógł miesięcznikowi, a i on bardzo pomógł poecie. To Miłosz wysyłał moje wiersze do Redaktora z prośbą o ich publikację. Ślady tych zabiegów można znaleźć w listach pomiędzy tymi dwoma wielkimi Polakami wydanymi w ramach „Archiwum Kultury”.

W polskim milionowym Chicago nikt nie czekał na następny numer „Kultury” i wybitni publicyści miesięcznika byli obojętni prezesom setek organizacji polonijnych. W mieście, w którym mieszkałem przez ćwierć wieku, niestety nie poznałem nikogo, kto by regularnie czytał pismo wydawane pod Paryżem. Był tutaj poeta, uczestnik Powstania Warszawskiego Zbigniew Chałko, był autor *Czerwonych maków* Feliks Konarski (Ref-Ren), który w latach 60. z Londynu przybył do Chicago.. Oni interesowali się tym, o czym jest najnowszy numer „Kultury”. W *Autobiografii na cztery ręce* Redaktor wspomina polonijną organizację Legion Młodych Polek w Chicago, która ufundowała trzy numery pisma. Wiem, że czasopismo było sprzedawano w księgarni „Polonia” państwa Edwarda i Miry Puacz przy ulicy o indiańskiej nazwie Milwaukee. Z właścicielką księgarni dobrze się znałem, już nie pamiętam, ile zamawiano egzemplarzy „Kultury” dla milionowej Polonii, może 5, 10 albo 20, na pewno więcej nie udało się sprzedać w jednym miesiącu. Księgarnia ta była przedstawicielstwem Instytutu Literackiego na Amerykę i na pewno swoimi „kanałami” rozprowadzała miesięcznik po całym kraju. Pamiętajmy, by nie robić z Giedroycia proroka. Nie znajdziemy u niego odpowiedzi na wszystkie pytania współczesności. „Jego przesłanie nie jest ani dogmatem, ani sztywnym zadaniem matematycznym. Bo świat jest płynny” (s. 573).

Jak pisze Grochowska, Giedroyc nie zaznał koszmaru okupacji, był żołnierzem dziennikarzem i walczył z hitleryzmem, a nie z Niemcami, chciał widzieć Polskę w powojennej Europie wolną od kompleksu ofiary (s. 105/106). Nie stracił własnej autentyczności/indywidualności, zaakceptował nowy stan rzeczy, uciekł od przeciętności szarego emigranta, który z każdym rokiem gorzkniał, stawał się coraz bardziej konserwatywny. Ten konserwatyzm z czasem „jego pisarze” nazwą głupotą, kołtuństwem, zaściankiem, wreszcie stracą sens i wiarę w lepszą przyszłość, poddadzą się. Zarzucanie obcości ludziom z kręgu „Kultury” właściwie nigdy nie ustało. Atakujący nazywali ich Europejczykami, zarzucali im, że czują bardziej europejskość niż polskość, że stracili „czucie polskości”. Domagali się „swojskości”, a nie „obcości”, ich „zacofanie” przekładało się na ideę walki o Polskę, jaką znali, a takiej Polski już nie było.

Świdnica, 14 lutego 2022



# KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Anna Polak

## Walory krajoznawcze Doliny Lubszy od Olbrachtowa do Jasienia Część I

### W świecie rzek

Bóbr, Odra, Nysa Łużycka czy Kwisa to powszechnie znane rzeki. Łączy je m.in. to, że częściowo przebiegają na terenie województwa lubuskiego, niektóre granicząc z powiatem żarskim, wyznaczają w ogólnym zarysie (oprócz Kwisy) także granice Wschodnich Dolnych Łużyc. Należy podkreślić, że w Gubinie do Nysy Łużyckiej uchodzi rzeka Lubsza, a niedaleko Kosarzyna kończy swój bieg, łącząc się z Odrą, wspomniana już Nysa Łużycka.

Wymieniane ciekły wodne są popularne, lecz jeden z nich – pomimo zachwycających okoliczności przyrody, które okalają jego koryto – pozostaje w cieniu, dlatego warto mu się bliżej przyjrzeć.

Lubsza, bo o niej mowa, jest prawym dopływem Nysy Łużyckiej o długości 67 kilometrów z dorzeczem zajmującym powierzchnię 914 kilometrów kwadratowych, leżącym w głównej mierze na terenie powiatu żarskiego, a częściowo krośnieńskiego oraz zielonogórskiego. Rzeka zaczyna swój bieg w bezpośrednim sąsiedztwie wsi Olbrachtów (gmina Żary), a kończy w Gubinie i przepływa przez 13

miejsowości. Podobno liczy sobie ona milion lat. Nie posiada znaczenia turystycznego ani transportowego, jednak – zasilana aż dwunastoma dopływami – jest najważniejszą rzeką na obszarze wielu gmin, takich jak na przykład Żary, Lipinki Łużyckie, Jasień czy Lubsko.



Źródło Lubszy w okolicy Olbrachtowa



Ujście Lubszy do Nysy łużyckiej w Gubinie



Kościół w Olbrachtowie

## Trudne początki, czyli okolice Żar

Lubsza rozpoczyna swój bieg w ścisłym sąsiedztwie usytuowanego na południe od Żar Olbrachtowa. Jest to miejsce niepozorne, otoczone gęstym drzewostanem, położone przy drodze do wsi Łaz.

Sam Olbrachtów posiada długie dzieje, został bowiem założony już w XIII wieku przez Albrechta von Dewina. Jego właścicielami były także inne, znane w całej okolicy i nie tylko, rodziny, takie jak: von Schönaich, von Unruh czy von Schwarzbach.

W miejscowości uwagę przyciąga kościół pod wezwaniem Świętego Michała Archanioła. Świątynia wzniesiona w XIV wieku od 1528 roku do końca II wojny światowej należała do ewangelickich wiernych. Na przestrzeni stuleci obiekt uległ wielu zmianom i przekształceniom, pomimo których nie zatracił gotyckiego stylu.

Niegdyś we wsi istniał okazały dwór. Zbudowano go w XVI wieku i bardzo mocno przebudowano około 1700 roku, dzięki czemu zyskał nowy kształt. Istotne przeobrażenia nastąpiły także pod koniec XIX wieku, o czym informowała inskrypcja *Renovatum 1889*. Wygląd budynku zapewne budził podziw. Już samo wejście zaskakiwało, a bogato zdobiony portal dopełniały herby hrabiowskie rodzin von Promnitz i von Reuss. Warto podkreślić, że budynek posiadał ośmioboczną, murowaną wieżę zegarową z wiatrowskazem w kształcie koguta. Niestety, opisany obiekt nie przetrwał do dziś, co niewątpliwie można uznać za wielką stratę.

Kolejną miejscowością, w której Lubsza wygląda niepozornie, a jej koryto jest wąskie, są Miłowice. We wsi można zobaczyć godne uwagi obiekty o rzadkich walorach historycznych. Miłowice także posiadają ciekawą historię. Wiadomo, że już w 1270 roku należały do klasztoru w Buch, a później m.in. do takich rodzin jak von Promnitz czy von Schönaich.

Na miejscu bezsprzecznie uwagę przyciąga monumentalny pałac. Został on wzniesiony w latach 1916-1920 i stanowił część większego założenia. W jego skład wchodził zbudowany w 1860 roku dwór, a także zabudowa folwarczna oraz park krajobrazowy – dwa ostatnie elementy powstały w XIX wieku. Pałac w stylu eklektycznym był rezydencją żarskich fabrykantów – rodziny Frenzel. Obecnie mieści się w nim Dom Pomocy Społecznej. W Miłowicach znajduje się także gotycki kościół pod wezwaniem Świętego Antoniego.



Pałac w Miłowicach

## Nowe kształty

Miejscowościami, w których Lubsza zaczyna przybierać bardziej rozwiniętą formę, są Lipinki Łużyckie oraz będący niemalże ich częścią Suchlebs. Nie wielki Suchlebs związany był z Żarami, gdyż od 1350 roku stanowił własność żarskiego Szpitala Dolnego. Istniała tam niegdyś kaplica Marii Magdaleny, która nie przetrwała do dnia dzisiejszego. Co ważne, w miejscowości rośnie uznany za pomnik przyrody, liczący aż 170 lat dąb.

Pobliskie Lipinki Łużyckie posiadają wyjątkowo ciekawą historię. W średniowieczu były one wsią wasalną żarskich władców. Posiadały je m.in. rodziny: von Schönaich, von Berge i von Luckau. Wynikające z transakcji obrotem ziemią przemiany własnościowe doprowadziły do tego, że w XV wieku wyodrębniono na opisywanym obszarze majątki, a teren ten podzielono na Lipinki: Dolne, Środkowe i Górne.

W niegdyś podzielonych Lipinkach Łużyckich, w różnym stanie zachowania przetrwały pamiątki po bujnej przeszłości wsi. Mowa o dworze przy ulicy Główniej, który powstał poprzez przekształcenie XV-wiecznej wieży mieszkalnej rodziny von Schönaich czy założeniu architektonicznym przy obecnej ulicy Parkowej. Składało się ono z dworu, budynków gospodarczych i pałacu. Najstarszy z wymienionych jest dwór wzniesiony w 1754 roku z inicjatywy rodziny von Blankenstein. Budynki gospodarcze powstały na przełomie XVIII i XIX wieku. Najpóźniej, bo na przełomie XIX i XX wieku powstał pałac. Nieopodal opisywanych obiektów, przy drodze z Lipinek Łużyckich do wsi Brzostowa istnieje inny, dawny majątek – dwór oraz zabudowania gospodarcze, które stanowią własność prywatną.

W miejscowości podziwiać można także kościół pod wezwaniem Świętego Antoniego Padewskiego, który pochodzi z końca XIII lub z początku XIV wieku. Liczne przekształcenia doprowadziły do zmiany wyglądu świątyni. W 1518 roku dobudowano dzwonicę, w 1822 i 1823 roku wybudowano nową nawę oraz zlikwidowano prezbiterium, którego funkcję przejęła stara nawa, a w 1837 roku kościół powiększono o zakrystię. „Upiększaniu” nie poddano wieży, dzięki czemu zachowała ona swój oryginalny wygląd i dziś wyraźnie odróżnia się od reszty budowli.



Lubsza w Suchlebie



Kościół w Lipinkach Łużyckich

Miejscowością, gdzie Lubsza wygląda już nie-  
zwyczajnie okazale, jest Jasień. Osadnictwo człowie-  
ka w tej okolicy sięga bardzo odległych czasów,  
a właściwie epoki kamiennej. Najstarsze, historycz-  
ne wzmianki o wsi „Gozenna” pojawiają się w roku  
1000 w dokumencie cesarza Ottona III, który został  
wystawiony w Akwizgranie (Aachen). Na przestrze-  
ni wieków ośrodkiem, tak jak i Dolne Łużyce, znajdo-  
wał się pod władzą m.in. króla Bolesława Chrobrego,  
jego syna króla Mieszka II, saskich Wettinów, bran-  
denburskich Askańczyków czy królów czeskich (od  
1367 roku – wtedy władcą czeskim był Karol IV Luk-  
semburski). W XIV wieku wieś przeszła w posiadanie  
rodu rycerskiego von Wiedebach. Od 1526 roku  
władcami zwierzchnimi rodziny von Wiedebach sta-  
li się Habsburgowie. Śmierć Kacpra von Wiedeba-  
cha spowodowała, iż wieś odziedziczyła jego żona  
Marianna (majątek Gassen stworzony przez Wie-  
debachów powstały z kilku okolicznych wsi został  
rozsprzedany). Marianna wyszła za mąż za Rudol-  
fa von Büna, który był pułkownikiem wojsk cesar-  
skich oraz radcą na dworze elektorów saskich, a od  
1656 roku starostą Margrabstwa Dolnych Łużyc. Po  
bankructwie rodu von Büna majątek zakupiła rod-  
zina von Rabenau. Następnie doszło do kolejnych  
zmian właścicieli, a byli nimi przeważnie oficerowie  
pruscy. W 1831 roku dobra przeszły w ręce Ludwi-  
ka Henryka von Rabenau. Co istotne, w 1815 roku  
Dolne Łużyce znalazły się pod władzą pruską, za-  
tem także Jasień zmienił przynależność państwo-  
wą. W 1854 roku został wybrany burmistrz. Prawie  
trzy dekady później, bo w 1881 roku od wdowy po  
Ludwiku von Rabenau nabyty został pałac, w któ-  
rym urządzono ratusz. Był to czas uzyskania przez  
władze miejskie samorządności.

Burzliwe dzieje Jasienia i znamienici właściciele  
pozostawili po sobie wiele cennych pamiątek. Roz-  
poczynając od budowli sakralnej, należy podkreślić,  
że kościół pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej  
został wzniesiony w pierwszej połowie XVIII wie-  
ku. We wnętrzu odnaleźć można polichromowany  
strop z 1724 roku (został on przeniesiony do Jasienia  
z Kozuchowa). Ponadto na uwagę zasługuje oto-  
czenie budowli. Mowa o znajdującym się w naro-  
żu prezbiterium, uznawanym za najmniejszy w Pol-

sce – krzyżu pokutnym. W jego pobliżu na ścianie  
kościółka znajduje się tablica pamiątkowa ufundo-  
wana przez mieszczan w 1860 roku.

W Jasieniu warto zobaczyć barokowy pałac ro-  
dziny von Büna z 1764 roku, który po bankructwie  
tego rodu poddano licytacji, wskutek czego nabyła  
go rodzina von Rabenau. Ponadto ciekawą budowlą  
jest licząca 22 metry i znajdująca się na Winnej Gó-  
rze wieża ciśnień z 1929 roku. Obecnie jest ona sie-  
dzibą koła PTTK „Włóczęga”.

W parku, położonym nieopodal pałacu, odna-  
leźć można pomnik o nietypowym kształcie. Został  
on odsłonięty 1 maja 1935 i był poświęcony żołnie-  
rzom, którzy stracili życie w czasie I wojny światowej.  
Dawne dużo większe tablice zostały zdjęte, a w ich  
miejsce po 1945 roku wstawiono inne, polskie pły-  
ty. Umiejscowione są na trzech bokach obiektu. Nie-  
wątpliwie zasługuje on na uwagę, podobnie jak cały  
park, w którym wzrok przyciąga stary, w dużej mie-  
rze wpisany na listę pomników przyrody drzewostan.

Dolina Lubszy obfituje w zabytki i unikatowe oko-  
liczności przyrody. Warto ten obszar bliżej poznać,  
dlatego o następnych pięknościach Doliny Lubszy  
traktować będzie druga część cyklu *Walory turystycz-  
no-krajoznawcze Dolny Lubszy od Lubska do Gębic*.



Lubsza w Jasieniu



Pałac rodziny von Bünau w Jasieniu



Kościół w Jasieniu





Krzyż pokutny w Jasieniu



Pomnik w parku w Jasieniu



Wieża ciśnień w Jasieniu

## Bibliografia

*Die Kunstdenkmäler des Kreises Sorau und der Stadt Forst*, bearb. von H. E. Kubach, J. Seeger, Berlin 1939.

*Epoka przemysłowa w miastach południowej części województwa lubuskiego*, red. L. C. Belzyt, J. Skierska, Zielona Góra 2017.

Majchrzak J. P., *Encyklopedia Ziemi Żarskiej w jej historycznych i współczesnych granicach*, Żary 2002.

Polak A., Belzyt L. C., *Wschodnie Dolne Łużyce. Podróż rowerem przez przeszłość i teraźniejszość*, Zielona Góra 2019.

Polak A., *Wyprawy z dodatkiem tajemnic*, Ridero 2019.

Szymańczyk A., *Hydrografia rzeki Lubszy*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Zielonogórskiego”, nr 131, Seria: Inżynieria Środowiska, nr 12, Zielona Góra 2004.

# Prezentacje

Liwia Litecka



Liwia Litecka urodziła się 14 października 1993 roku w Zielonej Górze. W 2012 roku ukończyła Ogólnokształcącą Szkołę Sztuk Pięknych w Zielonej Górze.

Absolwentka Uniwersytetu Zielonogórskiego, Wydział Artystyczny. W 2019 roku obroniła tytuł magistra sztuki na kierunku malarstwo, dyplom doceniony wyróżnieniem w pracowni prof. Stanisława Kortyki i dr. Jarosława Jeschke. Obecnie pracuje jako asystentka w Pracowni Rysunku i Intermediów dr hab. Alicji Lewickiej-Szczegóły, prof. UZ.

Wielokrotna stypendystka, w tym Marszałka Województwa (2010), Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (2018) oraz Miasta Zielona Góra (regularnie od 2005 do 2022 roku).

Od momentu podjęcia studiów uczestniczy w ogólnopolskich i zagranicznych plenerach oraz festiwalach sztuk wizualnych.

Tworzy obrazy olejne na płótnie lub desce. Realizuje także instalacje artystyczne. Autorskie prace malarskie, grafiki i fotografie prezentowała na kilkudziesięciu indywidualnych i zbiorowych wystawach, m.in. w Polsce, Niemczech, Francji i Irlandii.

Najczęściej pojawiającymi się motywami w jej pracach są realistyczne przedstawienia postaci i odniesienia do ludzkiej egzystencji. W polu zainteresowań pozostaje także malarstwo pejzażowe.

Od 2020 roku jest członkinią Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Zielonogórskiego.

## WYSTAWY:

- 2022 – „Homage à Jan Buck (I) ŻYLIŚMY JUTRO”, Energiefabrik Knappenrode, Hoyerswerda/Niemcy
- 2022 – „Portret Kobiety”, Zielonogórski Ośrodek Kultury / Oranżeria, Zatonie – Zielona Góra
- 2021 – „SALON JESIENNY”, Miejski Ośrodek Sztuki, Gorzów Wielkopolski
- 2021 – „WYOBRAŹ SOBIE. Sztuka zmieniająca świat”, Galeria Rektorat, Zielona Góra
- 2020 – Międzynarodowa wystawa malarstwa „Kolory Europy 2019”, Niederlausitzer Heidemuseum, Spremberg/Niemcy
- 2020 – 9. Międzynarodowa Wystawa Rysunku #RYSOWAĆ, Galeria Sztuki Wozownia, Toruń
- 2020 – 5. Triennale Malarstwa ANIMALIS 2020, Miejska Galeria Sztuki MM, Chorzów
- 2019 – Indywidualna wystawa „Wieczny sen”, Galeria PWW, Zielona Góra
- 2019 – „Transgresja” w ramach obchodów 14. Urodzin Zamku Cieszyn, Galeria Zamek, Cieszyn
- 2019 – „Hyperreal”, Galeria ZPAP „Na Piętrze”, Łódź

- 2018 – Indywidualna wystawa malarstwa „Kalejdoskop”, Kawiarnia Coffee Toffee, Zielona Góra
- 2018 – 8. Kazimierska PLENERIADA Uczelni Artystycznych w Kazimierzu Dolnym, Galeria STALOWA, Warszawa
- 2018 – Wystawa 11. Międzynarodowego Biennale Fotografii Artystycznej Dziecko 2018, Galeria Sztuki ROZRUCH, Poznań
- 2018 – 17. Międzynarodowa Wystawa Fotograficzna „PORTRET 2018”, Koło
- 2018 – Wystawa 4. Międzynarodowego Pleneru Malarsko-Rzeźbiarskiego „Ludzie, miejsca i kolory”, Gminny Ośrodek Kultury, Siedlec
- 2018 – Ogólnopolska wystawa w ramach programu głównego Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2018 „Transgrafia”, Fundacja Tytano, Kraków
- 2017 – Międzynarodowa wystawa zbiorowa „ART an der Grenze”, Frankfurt nad Odrą/Niemcy
- 2017 – Ogólnopolska wystawa 4. edycji konkursu plastycznego „Ulica Themersonów”, Galeria Kreski, Subgaleria Płockiej Galerii Sztuki
- 2016 – Indywidualna wystawa, LWG Cottbus/Niemcy
- 2016 – Wystawa malarstwa „Portret o wielu twarzach”, Galeria Sztuki PRO ARTE, Zielona Góra
- 2015 – Międzynarodowa wystawa malarstwa „Kolory Europy 2014”, Niederlausitzer Heidemuseum, Spremberg/Niemcy
- 2015 – Indywidualna wystawa „Autoportrety”, Gminny Ośrodek Kultury, Siedlec
- 2014 – Międzynarodowa wystawa zbiorowa „Scale Factor”, The Guesthaus, Shandon, Cork/Irlandia
- 2013 – Indywidualna wystawa „Martwe natury inspirowane malarstwem holenderskim XVII wieku”, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zielona Góra
- 2013 – Międzynarodowa wystawa malarstwa „Kolory Europy 2013”, Niederlausitzer Heidemuseum, Spremberg/Niemcy

#### **NAJWAŻNIEJSZE OSIĄGNIĘCIA ARTYSTYCZNE:**

- 2022 – Stypendium Twórcze i Artystyczne Prezydenta Miasta Zielona Góra
- 2021 – Wyróżnienie w 23. Otwartym Międzynarodowym Konkursie na Rysunek Satyryczny ph. „MASKA”, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra
- 2017 – 3. miejsce w 27. Krajowym Salonie Fotografii Artystycznej, Żarski Dom Kultury
- 2017 – Wyróżnienie honorowe w malarskim konkursie Fundacji im. Franciszki Eibisch, Galeria Sztuki Katarzyny Napiórkowskiej, Warszawa
- 2016 – 1. miejsce w 15. Edycji Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego „PORTRET 2016”, Koło
- 2016 – Grand Prix w 26. Wojewódzkiej Wystawy Fotograficznej Żary 2016
- 2014 – 2. miejsce w Międzynarodowym Konkursie Plastycznym I’UNESCO „Ruch”, Troyes/Francja
- 2013 – Wyróżnienie w 18. Ogólnopolskim Konkursie Literacko-Plastyczno-Fotograficznym ZNP „Natura moich okolic”, Zielona Góra
- 2012 – Laureatka nagrody Eurydyki 2012 Zielonogórskiego Ośrodka Kultury za osiągnięcia twórcze

#### **AKTUALNE WYSTAWY:**

- 2022 – Wystawa poplenerowa 27. Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego Góra Św. Anny, Strzelecki Ośrodek Kultury, Strzelce Opolskie
- 2022 – „Hommage à Jan Buck (I) ŻYLIŚMY JUTRO”, Energiefabrik Knappenrode, Hoyerswerda/Niemcy

# Transpozycje rzeczywistości. Wczesny etap twórczości Liwii Liteckiej

*Każdy artysta ma w sobie absolutną oryginalność. Własną tożsamość.*

Edward Hopper

Ile kroków trzeba wykonać, by dotrzeć do obranego celu? Ile czasu, trudu i uważności kosztuje pielęgnowanie pasji i wiara, że to przyniesie piękny owoc? Wiedzą to nieliczni.

Liwia Litecka to artystka, która konsekwentnie porusza się po wybranej przez siebie drodze i przyjmuje jej wszystkie fragmenty – zarówno wymagające, jak i przyjemne.

Ten sam kolor, kształt, pejzaż widzimy, odczuwamy i interpretujemy we właściwy jedynie sobie sposób. Wrażliwość i niepowtarzalny charakter postrzegania, którymi została obdarzona Liwia Litecka, pozwoliły na rozwój pasji tworzenia, stając się jej fundamentem. Artystka dorastała w środowisku wypełnionym szacunkiem do przeszłości, historii i tożsamości. Codziennosc przeniknięta obecnością antyków, ściany pokryte obrazami, rozmowy o sztuce i literaturze, a w końcu po prostu przestrzeń, jaką wspólnie kształtowali jej bliscy, prowokowały do podejmowania aktywności plastycznej.

Częsty kontakt z szeroko rozumianą kulturą oraz liczne podróże i wizyty w muzeach, prezentujących dzieła światowej sławy artystów, to jedne z najważniejszych elementów procesu wychowywania poprzez sztukę.

Od najmłodszych lat Liwię Litecką zajmowała plastyka. Na przemian rysowała, wycinała i malowała, by po chwili dać nowe życie znalezionym w kuźni taty drucikom i metalowym skrawkom. Od dziesiątego roku życia uczęszczała do Pracowni Malarstwa i Rysunku w Domu Harcerza, prowadzonej przez Gabrielię Wilk. Jako nastolatka dołączyła do pracowni ceramiki kierowanej przez Małgorzatę Bukowicz.

W latach 2010-2012 trzykrotnie wraz z rodzicami – Wandą i Ryszardem Liteckimi – podróżowała kamperem po Europie, odwiedzając m.in. Włochy, Grecję, Szwajcarię, Hiszpanię, Portugalię i Francję. Podczas jednego z wyjazdów rodzina dotarła także do Afryki Północnej, gdzie gościła w marokańskim Tanger. Te wakacyjne, kilkutygodniowe objazdy umożliwiły Liwii Liteckiej bliższe poznanie najważniejszych elementów europejskiego dziedzictwa kulturowego i jego wizualnej różnorodności.

Zafascynowana klimatem Epidauros, Akropolu i Wenecji z pasją dokumentowała ich scenery. W rysunkach (ołówki, cienkopis) i akwarelach ilustrowała otaczającą ją architekturę i pejzaże, sporządzając tym samym wizualny dziennik podróży. Pretekstem do podjęcia aktu twórczego były także dzieła sztuki ekspozowane w odwiedzanych muzeach.

Bliskie spotkanie ze sztuką starożytną zaowocowało zamiłowaniem do przedstawiania postaci z profilu i swobodą w nawiązywaniu do antycznych form (np. *Dialog*, 2021).

Jako nastolatka i uczennica Zespołu Szkół Plastycznych w Zielonej Górze Liwia Litecka systematycznie zgłębiała tajniki warsztatu malarskiego, opanowując biegle język realizmu. Zwinnie poruszała się po świecie różnorodnych technik i mediów artystycznych – fotografowała, malowała, tworzyła grafiki i ceramikę. Największy wpływ na jej rozwój w tym okresie miały Adrianna Grabska oraz Małgorzata Bukowicz. Regularnie i z powodzeniem uczestniczyła w konkursach o zasięgu ogólnopolskim oraz międzynarodowym.

We wczesnych pracach Liwii Liteckiej widać wyraźne dążenie do osiągnięcia szeroko rozumianego equilibrium. Ten cel będzie towarzyszył artystce nieprzerwanie w kolejnych latach, stanowiąc jeden z najważniejszych wyznaczników pracy nad dziełem. Znajdzie odzwierciedlenie w wyborze kolorystyki i planowaniu kompozycji, nadając wielu jej dziełom subtelny charakter.

Najchętniej podejmowanym przez artystkę tematem był i nadal jest człowiek. Liwia Litecka bardzo szybko zaczęła przyglądać się wnikliwie zarówno sobie, jak i swoim bliskim, tworząc ich realistyczne portrety. Rodzina i przyjaciele byli jej pierwszymi modelami, dzięki którym mogła nieprzerwanie uczyć się, w jaki sposób poznać, zgłębić i dotknąć osobowości portretowanego, przyjrzeć się nie tylko jego fizjonomii, ale także skrywanym emocjom i oddać możliwie wiele na płótnie – przełożyć prawdę o postaci na język malarstwa najwierniej, jak to możliwe.

Szczególnym zainteresowaniem obdarzyła malarstwo holenderskie. Tematem jej pracy dyplomowej, wieńczącej okres edukacji w Zespole Szkół Plastycznych w Zielonej Górze, były *Martwe natury inspirowane malarstwem holenderskim XVII wieku* (promotor – mgr Dorota Komar-Zmyślony). W skład pracy dyplomowej weszło osiem obrazów inspirowanych XVII-wiecznym malarstwem holenderskim, m.in. *Martwa natura z winem* (2012, olej na płótnie, 50 × 70 cm) oraz *Martwa natura z insektami* (2012, olej na płótnie, 50 × 70 cm).

Idąc śladami dawnych mistrzów (Willem Claesz Heda, Willem Adriaen, Adriaen Coorte), artystka z rozmysłem wybierała przedmioty komponowane później w martwe natury, uwzględniając ich formę oraz symbolikę. Dążyła do realistycznego odwzorowania ilustrowanych obiektów oraz materiału, z jakiego zostały wykonane, tj. szkła, metalu, drewna czy tkaniny. Kompozycje utrzymane zostały w monochromatycznych barwach. Wszelkie refleksy i odbicia, załamujące się na powierzchni przedmiotów światło i kontrastujące z nim cienie, dodały temu cyklowi tajemniczości.

W *Martwej naturze z winem* Liwia Litecka ukazała zastawiony naczyniami stół. Cichymi bohaterami tego przedstawienia są m.in. półmisek z napoczętą cytryną i orzechami, karafka oraz kieliszek do połowy wypełnione winem. Dobór bohaterów tego przedstawienia nie był przypadkowy, bowiem pracę nad cyklem poprzedzał zmuszony proces obserwacji i analizy zarówno wizualnego kształtu obiektów, jak i ich symboliki. Przy pomocy tych kilku przedmiotów i owoców nieśmiało wyłaniających się z cienia Liwia Litecka snuła/snuje opowieść o życiu kruchym niczym szkło, z którego wykonano kieliszek i przepychu, który może zamienić się w umiar (cytryna). Wzorem dawnych mistrzów poprzez opuszczoną spiralę cytrynowej skórki zaprosiła odbiorcę do podróży w głąb swojej duszy, potęgując tym samym refleksyjny charakter obrazu.

Komponenty, przywołane w tym krótkim szkicu, dającym pogląd na pierwszy etap twórczości Liwii Liteckiej, złożyły się w oczywisty sposób na podjęcie artystycznej drogi rozwoju podczas studiów. W latach 2012-2019 studiowała malarstwo na Uniwersytecie Zielonogórskim (Wydział Artystyczny). Podjęcie studiów w zakresie malarstwa to początek fascynującego procesu, który we właściwy sobie sposób wiedzie ku artystycznemu spełnieniu i pozwala odkrywać nowe perspektywy.

Liwia Litecka pozostaje wierna realizmowi. Jednocześnie poszukuje nowych form wypowiedzi, mogących opisać otaczającą ją rzeczywistość, spójnie z jej wrażliwością, percepcją i płynnie ewoluującymi preferencjami estetycznymi. Transponowanie rzeczywistości na papier i płótno, określanie jej w ramy instalacji czy przedmiotu artystycznego stało się jej celem i sposobem na życie. Jej obrazy i instalacje nieprzerwanie opowiadają historię o ludziach, miejscach oraz artystycznej tożsamości – zatrzymują odbiorcę, darując mu chwilę refleksji nad istotą jego własnej historii.

# Twórczość Liwii Liteckiej – panorama z perspektywą

Dziesięcioletniego dorobku Liwii Liteckiej – licząc od czasu podjęcia przez nią studiów artystycznych – nie sposób nie określić mianem istotnego, i to niezależnie od tego, jakie przyjąć kryterium oceny – czy to ilościowe, czy jakościowe, czy też to wynikające z publicznego uznania mierzonego liczbą wystaw, na których prezentowała swoją twórczość, i wreszcie – przyznanych jej nagród. W tym kontekście spośród ponad siedmiuset prac, które dotąd zrealizowała, przynajmniej sto zasługuje na szczególną uwagę. Wiele z nich pokazywano na zbiorowych ekspozycjach nie tylko w Lubuskiem i w mniejszych ośrodkach krajowych, lecz również m.in. w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Toruniu, Łodzi i Warszawie, a także w Niemczech (w Sprembergu i Hoyerswerdzie), Irlandii (Cork) oraz we Francji (Troyes). Liczne z nich trafiły już do zbiorów publicznych i prywatnych, także za granicą. Co więcej, całokształt dotychczasowego dorobku Liwii Liteckiej uhonorowano wielostronicowym artykułem w *Leksykonie artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska z 2021 roku*<sup>\*</sup>, opublikowanym także w wersji niemieckojęzycznej, z odmiennym niż w jej polskim odpowiedniku obzernym wyborem reprodukcji.

Pięć indywidualnych wystaw tej młodej artystki – w Zielonej Górze (2013, 2018 i 2019), Siedlcu (2015) i w Cottbus (2016) – daje wgląd w to, co uznać można za najbardziej charakterystyczne dla jej dokonań. Jest to malarstwo olejne, akrylowe, akwarelowe i pastelowe oraz rysunek (w tym precyzyjne prace wykonane cienkopisem), wykazujące wyjątkową sprawność warsztatową, bazujące na interpretacji dokonań dawnych mistrzów i wykorzystywane z powodzeniem do tworzenia zdumiewająco realistycznych martwych natur w duchu malarstwa holenderskiego z XVII wieku, w tym wykonanych na desce w iluzjonistycznej technice *trompe l'œil*, a także portretów i (krypto)autoportretów. W tych ostatnich uwagę przykuwa wielość stylizacji – od antykizujących (np. w *Autoportrecie jesiennym* i *Orantce* z 2018 roku oraz *Dialogu I, II* z 2021 roku) i bizantyzujących, po nawiązujące do sztuki secesji (w tym twórczości Maxa Klingera, Stanisława Wyspiańskiego czy Jacka Malczewskiego), czy sprowadzone do metafory (takie jak choćby *Ruch* z 2014 roku; 2. miejsce na Międzynarodowym Konkursie Plastycznym I'UNESCO w Troyes we Francji czy kompozycja olejna *Feminine spirituality* z 2018 roku, prezentowana wówczas w Galerii Stalowa w Warszawie) oraz symbolu (jak np. obraz *Ja, Liwia Litecka*, w którym sztalugi, paleta i inne utensylia malarskie stają się substytutem własnego wizerunku). Wśród portretów autorstwa Liwii Liteckiej warto wymienić choćby dwa przedstawienia jej krewnych prezentowane na wystawie licencjackiej *Portret o wielu twarzach* w 2016 roku, w Galerii Pro Arte w Zielonej Górze. Są to: ujawniający wnikliwość psychologicznej obserwacji nokturn, ukazujący pisarkę – *Ciocia, Krystyna Nepomucka* (2013), powstały na samym początku studiów w Instytucie Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego (pokazywany także na ekspozycji *Hyperreal* w Galerii ZPAP „Na Piętrze” w Łodzi w 2019 roku) oraz obraz *Bratanica, Lena Litecka*, wyróżniony w malarskim konkursie im. Franciszki Eibisch w Galerii Sztuki Katarzyny Napiórkowskiej w Warszawie w 2017 roku. Spektakularnym osiągnięciem młodej artystki jest też powstały na oficjalne zlecenie, pe-

<sup>\*</sup> *Leksykon artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska*, t. 2: *Miasto Zielona Góra*, red. R. Sachs i in., Wrocław 2021, s. 178-186.

ten godności portret trzynastego rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego, Tadeusza Kuczyńskiego z 2022 roku. Wskazanie na będący doskonałym studium światła i koloru miejski pejzaż olejny *Wenecja II* (co zdumiewające, pochodzący także jeszcze z pierwszego roku jej studiów artystycznych!) oraz niezliczone prace powstałe w ramach siedemnastu krajowych i zagranicznych plenerów malarskich można by uznać za domknięcie przeglądu tego, co dla twórczości Liteckiej najbardziej typowe. To, co typowe, nie ujawnia jednak bynajmniej skali jej możliwości twórczych. Tym bardziej istotne jest zatem przyjrzenie się choćby w skrócie temu, czego większość z miłośników jej malarstwa zapewne nie zna i czego się po niej nie spodziewa.

Prawdziwym laboratorium stylistycznych i warsztatowych poszukiwań zielonogórzanki jest nieprezentowana dotąd publicznie twórczość graficzna. W sitodrukach, akwafortach, linorytach i pracach offsetowych (jak *Znaczki* pokazane na ogólnopolskiej wystawie w ramach programu głównego Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2018 *Transgrafia* w siedzibie Fundacji Tytano w Krakowie), a także tworzonych w autorskich technikach eksperymentalnych (jak np. w serii *(Nie)obecność* z 2015 roku) sięga ona poza repertuar najbardziej charakterystycznych dla siebie inspiracji i motywów, operując skrótem myślowym oraz kształtując prawdziwie intrygujące, fragmentaryczne, oniryczne, widmowe i sumaryczne formy, w których znakowość dominuje nad narracją. Podobną siłę mają jej nietypowe prace wykonane węglem na olejnym tle (takie jak *Balans na krawędzi*, 2019) oraz kompozycje akrylowe z lat 2019-2020 (w tym jedna nawiązująca do twórczości Vincenta van Gogha) czy rysunkowy *Autoportret z odciskiem palca serdecznego lewej dłoni* (2015), wyróżniony na 43. Otwartym Wojewódzkim Konkursie Plastyki *Salon Jesienny 2019* w Żarach, przywodzący na myśl prace Odilona Redona. Z części z nich (*Nielotom, Wewnątrz-domu, Spicy or hot*, 2019-2020) emanuje również duch surrealizmu, podobnie jak z dwustronnej realizacji *W oparach absurdu* wykonanej w mieszanej technice metalowej, prezentowanej na ogólnopolskiej wystawie w ramach czwartej edycji konkursu plastycznego *Ulica Themersonów* w Płockiej Galerii Sztuki w 2017 roku. Paragraficzny charakter wykazują również kolaże (z 2012/2013, w tym abstrakcyjne martwe natury oraz praca na temat metabolizmu) i fotomontaże Liwii Liteckiej nawiązujące do tradycji dadaizmu (z 2015) oraz seria jej intrygujących rysunków i szkiców na temat *Martwa natura / Mechanika*, w tym odrealnione, „negatywowe” odbicia pomalowanych białą farbą opon na czarnym papierze z 2014 roku. W tych ostatnich uzyskuje ona iluzjonistyczny efekt trójwymiarowości, w inny sposób osiągniany z powodzeniem nawet w prostszych pracach ćwiczeniowych, takich jak tryptyk składający się z monochromatycznych akrylowych obrazów *Martwa natura / Trzy kolory* (2012/2013).

Liwia Litecka tworzy także udane fotografie analogowe i cyfrowe, za pomocą zaskakującego kadrowania i fragmentaryzacji, uwieczniając momentalne wrażenia (jak choćby w *Świetle [Autoportrety]*, 2014), wyróżnionym Grand Prix na 26. Wojewódzkiej Wystawie Fotograficznej w Żarach w 2016 roku) czy operując nietypowym formatem fryzu i neutralnym oświetleniem, w celu stworzenia efektu będącego dalekim echem Sanderowskiej Nowej Rzeczowości (jak w pracy *Linia* z 2015 roku, ukazującej trzy pokolenia jej najbliższej rodziny; 1. miejsce w 15. Edycji Międzynarodowego Konkursu Fotograficznego *Portret 2016* w Kole). Ruch, ulotność zjawisk i sugestię transformacji materii, które we wspomnianym *Świetle* (i w niektórych pracach malarskich) Litecka jedynie antycypuje, odwołując się niejako do barokowej teorii „owocnego momentu” – pozwalającego widzowi wyobrazić sobie to, co lada moment nastąpi – ożywia ona w wyjątkowej na tle swego dorobku realizacji filmowej, przygotowanej w ojcowskiej kuźni w Raculi i prezentowanej na wystawie towarzyszącej 10. Ogólnopolskiemu Festiwalowi Krótkiego Metrażu Francuskojęzycznego *Rura* w kinie Nysa w Zielonej Górze w 2014 roku. Bez werbalnego komentarza przekazuje w niej refleksje na temat destrukcji oraz związku mechaniki i mechanicznie generowanego obrazu rozwijającego się w czasie.

Poza dwuwymiarowość znamionującą większość jej dorobku artystka wykracza nie tylko we wspomnianym filmie, lecz również tworząc rozmaite przestrzenne formy, takie jak fotograficzne i wykonane z plastiku instalacje, obiekty rzeźbiarskie (np. statuetki z miedzi przygotowane na galę *Laur Naukowca* organizowaną przez Parlament Studencki Uniwersytetu Zielonogórskiego w Teatrze Lubuskim w 2014 roku, czy *Wie-*

niec laurowy, wykorzystywany później jako rekwizyt w pracach graficznych czy malarskich, np. w sitodruku *Sama jestem sobie cesarzową*), a także wycinankowe książki artystyczne, drobne sprzęty użytkowe (jak stolik z mozaikowym blatem przedstawiający bizantyńską autoportret z 2015 roku), jak również małe obiekty tworzone z drewna, sznurka, wydmszek i płatków złota czy drutu (jak klatki dla ptaków pod ironicznym tytułem *Wolność* wykorzystane jako uzupełnienie ukazujących je po śmierci *trompe l'œil* na desce oraz malarskiej serii *Śpiący* w ramach wystawy magisterskiej w Galerii PWW w Zielonej Górze w 2019 roku). Artystka próbuje swych sił także w technice assamblażu, czego dokumentem są realizacje *Czaszka (Gerharda)* z 2022 roku, nawiązująca do twórczości Gerharda Richtera, i *Rozmowa* z 2017 roku, w której trzy czaszki, na pozór nawiązujące ze sobą komunikację, odbijają się w trójwymiarowej lustrzanej konstrukcji.

Dokonania Liwii Liteckiej nie mają jedynie wymiaru estetycznego, lecz również i społeczny. Potwierdza to nie tylko jej zaangażowanie w pracę samorządu studenckiego w minionych latach, współautorstwo warsztatów twórczych, realizowanych wraz ze studentkami kierunku resocjalizacja – w zielonogórskim więzieniu (w 2013 roku), przygotowanie (wyróżnionej) pracy *Lepszego życia* odnoszącej się m.in. do realiów pandemii COVID-19 na 23. Otwarty Międzynarodowy Konkurs na Rysunek Satyryczny pt. *Maska* zorganizowany przez WiMBP im. Cypriana Norwida w 2021 roku, a także – ostatnio – przekazanie obrazu *Nocne pirackie harce* (z 2019 roku) na aukcję w Galerii Sztuki Katarzyny Napiórkowskiej w Warszawie, z której dochód przeznaczony został na pomoc medyczną dla ofiar wojny na Ukrainie. To, iż potrafi inicjować także działania interaktywne, angażując szerszy krąg współuczestników, potwierdza z kolei jej trzydniowa akcja *Cześć* z kwietnia 2019 roku, podczas której zachęciła osoby mijające jej ustawiony na sztalugach autoportret do uwzględniania na nim swych „interwencji”.

Komentując naturę swego procesu twórczego, Liwia Litecka wyznaje: „Od czasu nauki w liceum po dzień dzisiejszy prowadzę szkicownik: notuję/szkicuję w nim to, co widzę, ale i linearnie »zapisuję« pomysły na nowe obrazy: z czasem w szkicownikach-notatnikach pojawia się więcej tekstów – przemyśleń niż rysunków”. Taka rzetelność w zgłębianiu tematu, któremu pragnie się poświęcić, cechuje chociażby jej przygotowania do realizacji prac, które obecnie prezentuje i w ciągu najbliższych trzech lat zamierza prezentować w ramach serii wystaw *Hommage à Jan Buck* na Łęczycach i po polskiej stronie granicy z Niemcami, stanowiących część projektu badawczo-wystawienniczego realizowanego przez Instytut Sztuk Wizualnych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Świadczy o tym m.in. jej podróż badawcza do miejsca urodzin tego najbardziej uznanego malarza serbołużyckiego i śladami jego twórczości w przestrzeni publicznej oraz gruntowne prześledzenie dokumentów z archiwum prywatnego syna artysty. Przedsięwzięcie to wskazuje też na szczególne zainteresowanie Liwii Liteckiej sztuką monumentalną, potwierdzone już mozaikarskimi realizacjami m.in. w Nowogrodzku Pomorskim i Kołobrzegu (2014 i 2017), której już wkrótce zamierza poświęcić się w większym stopniu niż dotychczas, np. wtedy gdy wykonywała swe pierwsze graffiti. Rozważa ponadto przetestowanie propagandowej i artystycznej wymowy tego typu realizacji, m.in. w odniesieniu do przykładów socrealistycznego malarstwa w architekturze na terenie Zielonej Góry i Budziszyna (Bautzen), poświęconych chociażby tematyce opanowywania kosmosu oraz sylwetce Jurija Gagarina.

Nakreśliwszy, w sposób z konieczności fragmentaryczny, panoramę dokonań młodej, a mimo to cieszącej się już uznaniem, artystki zielonogórskiej, Liwii Liteckiej, skonstatować można bogactwo repertuaru jej środków formalnych oraz swobodę, z jaką porusza się w rozmaitych konwencjach stylistycznych. Biorąc pod uwagę fakt, iż od 2020 roku jest asystentką w Pracowni Rysunku i Intermediów dr hab. Alicji Lewickiej-Szczegóły, prof. UZ w Instytucie Sztuk Wizualnych, można przypuszczać, iż z czasem odważniej niż dotąd wykorzysta swój niewątpliwą potencjał twórczy, realizując ambitne prace monumentalne i przestrzenne, w których właściwie jej zamiłowaniem do malarstwa realistycznego splecie się z wyrażoną za pomocą nowoczesnych środków multimedialnych metarefleksją na temat ich istoty oraz współczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej. Być może eksploracja tego, co sama najwyraźniej dotąd uznawała za marginalia swych poszukiwań, okaże się paradoksalnie perspektywą do urzeczywistnienia artystycznych innowacji.





*Ciocia, Krystyna Nepomucka,*  
olej na płótnie, 110 × 70 cm, 2013



*Portret Rektora Seniora UZ prof. Tadeusza Kuczyńskiego,*  
olej na płótnie, 108,8 × 78,8 cm, 2022



*Autoportret jesienny,* olej na płótnie, 36 cm, 2018



Wystawa *Wieczny sen*, Galeria PWW, Zielona Góra, 2019



*Profesorska jaskółka*,  
olej na desce, 30,2 × 20,2 cm, 2019



*Kwietniowy – Zięba*,  
olej na desce, 20,5 × 14,5 cm, 2017



*Przyjaciele*, olej na desce, 77,5 × 52,5 cm, 2019



*Wenecja II*, olej na płótnie, 88,5 × 60,5 cm, 2013



*Martwa natura z winem*, olej na płótnie, 50 × 70 cm, 2012





*Rozmowa*, technika własna, 40 × 70 × 40 cm, 2017



*Linia*, fotografia cyfrowa, 57 × 207 cm, 2015



*Dialog I*,  
olej na płótnie, 29 × 29 cm, 2021



*Dialog II*,  
olej na płótnie, 29 × 29 cm, 2021



*Dialog III*,  
olej na płótnie, 29 × 29 cm, 2021

# RECENZJE I OMÓWIENIA



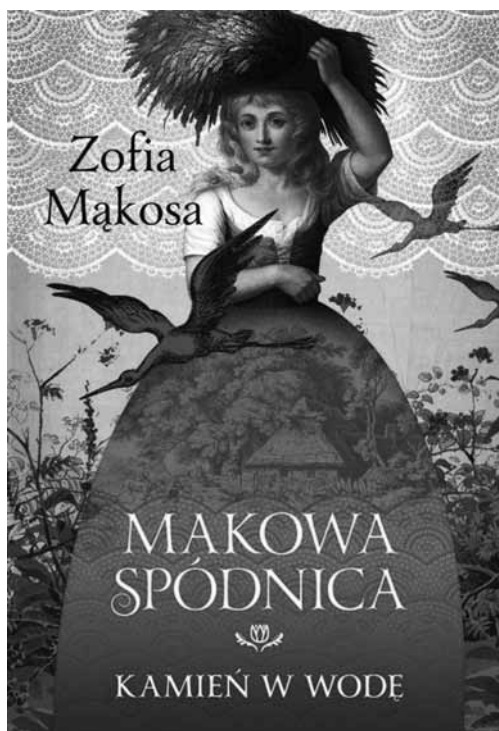
## Duch czasów

Zofia Mąkosa, *Makowa spódnica. Kamień w wodę*, Książnica, Poznań 2022, 432 s.

*Makowa spódnica. Kamień w wodę* to pierwsza część cyklu historyczno-obyczajowego. Przenosimy się do połowy XVII wieku, na ówczesne pogranicze Brandenburgii i Śląska. Nawet najbardziej burzliwe i niepewne czasy nie są w stanie odebrać ludziom siły życia, marzeń i nadziei na poprawę losu.

Autorka ma już na swoim koncie świetną (i wyróżnianą nagrodami) trylogię o Ziemi Lubuskiej *Wendyjska winnica*, zapoczątkowaną książką *Cierpkie grona*. Nowa powieść też rozgrywa się na zachodzie dzisiejszej Polski – w Kargę. Obecnie jest to miasto Kargowa, leżące na styku granic województwa lubuskiego i wielkopolskiego. W czasach, gdy toczy się akcja książki, był to również obszar przenikania się różnych wpływów politycznych, religijnych i obyczajowych, co autorka tutaj szeroko pokazuje. Jako historyczka z wykształcenia czyni to znakomicie i z wielką znajomością rzeczy.

Wyraziste i bardzo „filmowe” postacie mierzą się z licznymi dylematami, których źródłem jest duch czasów. Wszyscy muszą stawić czoła życiowym nieszczęściom. Nie bez znaczenia jest chwiejna sytuacja polityczna: to okres w przededniu wybuchu wojny polsko-szwedzkiej, która niejedno zmieni w życiu bohaterów. Szczególnego znaczenia – z naszej dzisiejszej perspektywy – nabiera sugestywny, przejmujący opis zarazy, pustoszącej domostwa.



Tytuł książki jest jakże symboliczny, ponieważ to kobiety i ich losy wysuwają się tutaj na pierwszy plan. Nie godzą się na przypisane im role, pragną żyć po swojemu i przełamywać tradycyjne ograniczenia.

Mała Rozalka, gdyby była chłopcem, na pewno mogłaby się uczyć. Kucharka Agata chciałaby pójść za głosem serca, ale nie pozwalają jej na to reguły panujące w społeczności. Wiga, niemłoda już zielarka, żyje na uboczu; w świecie roślin znajduje remedium na niemal każdą dolegliwość ciała i ducha. Tylko sobie nie może pomóc w głębokiej rozpaczy. A to jeszcze niecałe złoto, które ją dotyka. I ona, i ktoś jej bardzo bliski płaczą za swoją inność wysoką cenę. Motyw spólnicy w kolorze makowego kwiatu, ciekawie wpleciony w całość powieści, jest naprawdę intrygujący.

Warto też zwrócić uwagę, jak niemal każda scena powieści mocno osadzona jest w świecie przyro-

dy. Opisy są dopracowane do ostatniego szczegółu, a jednak nie nużą i nie przytłaczają, tworząc doskonałą, wręcz zjawiskową scenografię dla żywo i barwnie opowiedzianych losów bohaterów. *Makowa spódnica. Kamień w wodę* bardzo wyróżnia się pięknem języka i narracji. Dostajemy więc książkę, która dostarczy nam mnóstwa czytelniczszej przyjemności. Jest tu wiele do przeżycia i do odkrycia. Cały cykl zapowiada się zatem naprawdę interesująco.

**Joanna Kapica-Curzytek**

---

Recenzja ukazała się w e-magazynie [www.esensja.pl](http://www.esensja.pl)

## Męcząca samotność

**Marek Krukowski, *Jamimoje*, MK, Zielona Góra 2019, 269 s.**

Pomysł i wola napisania tej recenzji zrodziły się w barze i dla tych, którzy uważają, że to raczej kiepskie miejsce do literackich uniesień, z miejsca powiem, że Hemingway w swoim późnym okresie każdy kolejny dzień zaczynał od picia rumu w tego typu lokalach. Wielu przecież uważa go za literackiego boga, więc teoretycznie coś tam ciekawego może urodzić się w takiej prymitywnej lokacji jak bar. Oczywiście późny Hemingway to nie wczesny Hemingway, a picie ostatecznie doprowadziło go do włożenia sobie w usta dwururki. W każdym razie nie będzie o Amerykaninie, a o Polaku, chodzi mi o lokalnego artystę – dobre słowo w tym przypadku – Marka Krukowskiego i jego książkę pod tytułem *Jamimoje*.

Od momentu przeczytania powieści do zabrania się za napisanie tych kilku słów upłynęło wiele wody

w zielonogórskich toaletach – i w wielu innych miejscach rzecz jasna też. Długo nie mogłem uporządkować myśli, mijały tygodnie i nic nie wpadało mi do głowy. Jak to ugryźć? Od czego zacząć? Ostatecznie wyszło tak, że usiadłem i wziąłem się po prostu do roboty – zamiast gadać, zacząłem działać; czyli jak prawdziwy, toksyczny facet.

Jamimoje, jamimoje, ja mi moje... O co tutaj właściwie chodzi?

Powieść ta jest tak gatunkowo głęboko i mocno piękna, jak za piękność uchodzi Monica Bellucci czy Scarlett Johansson. A że piękno dla zwykłych zjadaczy chleba jest na ogół niedostępne, to lektura *Jamimoje* nie przypadnie do gustu większości ludzi. I to mało ważne. Bo to nie jest pisanie dla większości ludzi, stwierdzam, że ono prawie w ogóle nie jest dla szerszego grona odbiorców. Jest przede wszystkim dla siebie, sobie. Żaden to zarzut, a może nawet postawa godna podziwu – ten brak sztucznej potrzeby zaimponowania masom w XXI wieku.

Powieść mamy podzieloną na dwie główne części – czyli wydającą się autobiograficznym pisaniem część pierwszą rozbitą na *Ja, mi i moje* oraz drugą część nieposiadającą konkretnej literackiej formy (Gombrowicz by się pewnie uśmiechnął). No właśnie



powieść, to też nie jest zbyt dobre słowo dla określenia tej skonkretyzowanej na 269 stronach twórczości Marka Krukowskiego. Nie mamy tutaj narracji fabularnej, jakiegoś uporządkowanego ciągu przyczynowo-skutkowego, nie dostajemy jednego, głównego bohatera, prowadzącego nas przez kolejne strony. Oczywiście to wrażenie trochę złudne, bo nawet niezbyt wprawny czytelnik – jak ja – szybko zrozumie, że większość postaci, tych postaci narracyjnych, to w rzeczy samej autor. Rozbity duchowo bohater, jedna osoba, której pragnienia, myśli, obawy, nadzieje i marzenia zawarte są pod różnymi imionami czy sytuacjami – Marianna, nigdy nienarodzony brat, dramat grany przez małżeństwo. Nie trudno zrozumieć, że w *Jamimoje* Marek Krukowski obnaża przed nami siebie całego. Albo chce, żebyśmy myśleli, że to robi. Efekt jest ostatecznie taki sam. Pełny obraz człowieka. Człowieka samotnego. Bo to w głównej mierze opowieść o bolesnej, męczącej samotności.

Językowo samo pisarstwo stoi na bardzo wysokim poziomie, jest to uczta dla lubujących się w głębokich, zróżnicowanych i nieoczywistych metaforach czytelników. Krukowski zawiera w swojej powieści także ciekawy obraz Zielonej Góry i opisując ją, nie boi się przyznawać do życia na prowincji. Tam, gdzie ja dostrzegam jedynie nudny beton, on widzi

coś znacznie ciekawszego dzięki swojej wyjątkowej, estetycznej wrażliwości. No właśnie, owa wrażliwość jest istotnym elementem *Jamimoje*. Świat wykreowany nie należy oczywiście do upiękuszonych i cudownych, jest szary i zwykły, ale jednocześnie posiada w sobie pewną subtelność – pomimo używania momentami mocniejszych słów. Ważne jest to, że pomimo homoseksualnych wątków przewijających się od pierwszych stron, utwór ten nie jest żadnym manifestem. Ta normalność pewnych faktów, zwyczajność życia geja w małym mieście jest czymś naprawdę wyjątkowym – bo właściwie przecież tak powinno to wyglądać, no nie?

Książkę czytałem, leżąc na ciepłej plaży w Niechorzu, pijąc piwo i opalając się na bolącą czerwień. Zajęło mi to dwa dni i chociaż nie była to lektura przyjemna i lekka, czasami nawet filozoficznie błędząca – nie oszukujmy się, nie zakładałem przecież, że to pospolite czytadło – to dziwię się, że jest o niej tak cicho. Teoretycznie tego typu powieść przy dzisiejszych prądach powinna się wybić gdzieś dalej, wyżej. To przecież pisanie piękne, metaforyczne i zabawne, jak by nie patrzeć dotyczące uciśnionej mniejszości. Gdzie się, do cholery, podziała w tym przypadku ta cała wolna prasa i media? No gdzie?

**Marcin Mielcarek**

## Bez wartościowania

**Rainer Sachs [i inni], *Leksykon artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska*, t. 2: *Miasto Zielona Góra*, ViaNova, Wrocław 2021, 431 s.; t. 3: *Powiat żagański*, ViaNova, Wrocław 2021, 391 s.**

Śląsk w swojej historii zamieszkiwany był przez przedstawicieli różnych narodowości i religii. Pozwoliło to na rozwinięcie bogatych tradycji artystycznych, co przedstawione zostało w *Leksykonie artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska*.

Publikacja jest projektem realizowanym przez zespół polsko-niemieckich autorów, a jego początki sięgają 40 lat wstecz, kiedy to Rainer Sachs, saksoński hi-

storyk, archeolog i historyk sztuki rozpoczął badania na Śląsku. Projekt docelowo ma obejmować 72 powiaty historycznego terytorium Śląska. Do tej pory ukazało się osiem tomów, w wersji polskiej i niemieckiej. Dwa najnowsze obejmują miasto Zielona Góra i powiat żagański. Są to jednocześnie dwa najobszerniejsze tomy.

Zadanie *Leksykonu* polega na dostarczeniu możliwie najdokładniejszych danych o życiu i twórczości

artystów plastyków i twórców działających na danym terenie od pierwszych średniowiecznych wzmianek o twórczości na Śląsku po dzień dzisiejszy. Poszczególne tomy *Leksykonu* przypisane są do śląskich powiatów i miast na prawach powiatu. Ze względu historycznych obejmuje on również część województwa lubuskiego. Twórczość artystyczna na Śląsku nie jest rozdziałem zamkniętym. Wciąż pojawiają się nowe talenty w wielu dziedzinach. W *Leksykonie* ujmujemy życie i dokonania współczesnych artystów, albowiem wierzymy głęboko, iż w ten sposób przyczyniamy się do promocji zarówno regionu, jak i postaw artystycznych poszczególnych twórców. *Leksykon* ujmuje wszelkie formy twórcze sztuk plastycznych i rzemiosła artystycznego.

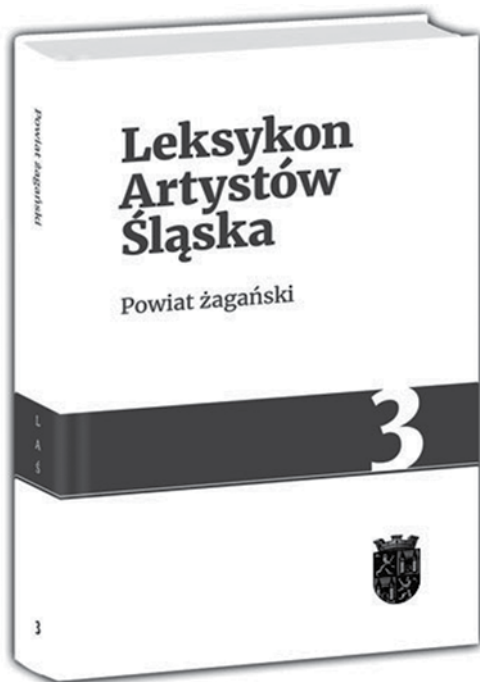
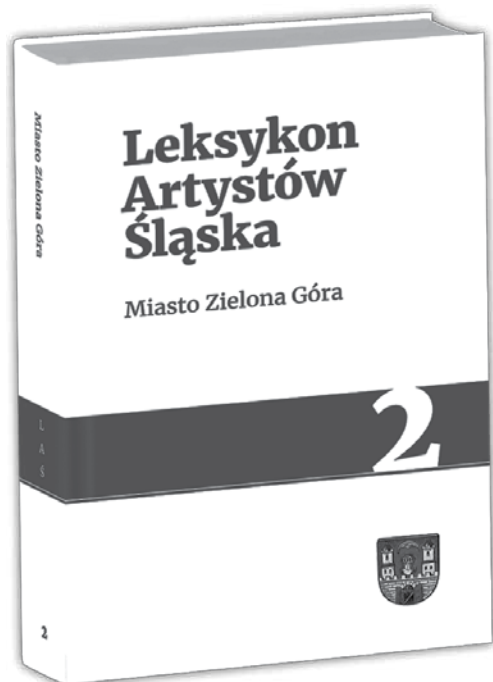
Badania nad powojenną działalnością artystyczną w powiecie zielonogórskim, Zielonej Górze i powiecie żagańskim trwały pięć lat. Dzięki zaangażowaniu wielu instytucji (w tym Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze) oraz osób prywatnych możli-

we było zrealizowanie projektu. Niezliczone wywiady z artystami i godziny spędzone w bibliotekach i archiwach miały na celu jak najlepsze przedstawienie życia artystycznego regionu. Autorzy są jednocześnie świadomi, że *Leksykon* zawiera luki, które pozostają jednak do uzupełnienia w przyszłości, a na co pozwala opracowany system sporządzania haseł *Leksykonu*, opisany we wstępie każdego tomu.

Autorzy wyraźnie podkreślają, że *Leksykon* nie dokonuje żadnego wartościowania ani nie zawiera tekstów krytycznych dotyczących prac danego artysty. Jedynym wyznacznikiem jest kolejna litera alfabetu (obok Linckelmann znajdzie się Litecka) i udokumentowane formy twórcze w sztukach plastycznych i rzemiośle (obok profesora wyższej uczelni znajdzie się malarz amator czy artysta ludowy).

Obecnie autorzy pracują nad niemiecką, zaktualizowaną wersją tomu poświęconego śląskiej części powiatu żarskiego.

**Berthold Oskar Kandora**





# Wiersze mądre, zaangażowane i dociekliwe

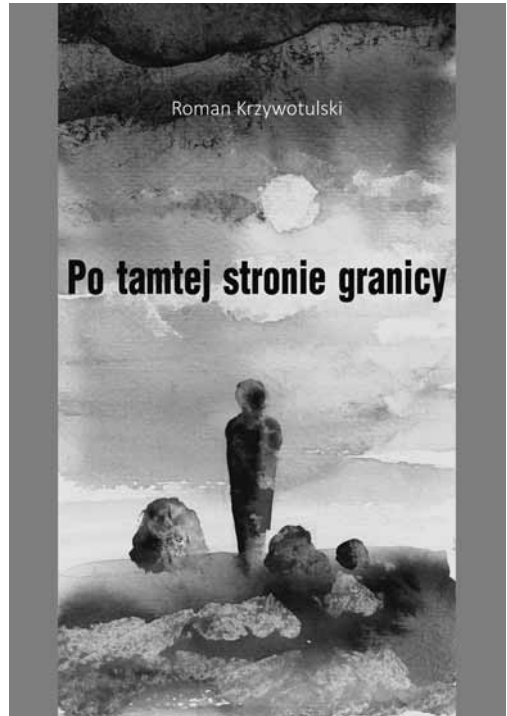
Roman Krzywotulski, *Po tamtej stronie granicy*, Pro Libris, Zielona Góra 2022, 68 s.

Trafił do mnie tomik poezji prostej, oszczędnej w słowach, wzruszającej i przenoszącej w czasy dzieciństwa dzisiejszych siedemdziesięciolatków. Kojarzy mi się z koncepcją produktów IKEA, pozornie surowych, bliskich naturze, niezwykle przydatnych i przyjaznych użytkownikom. Mistrzowski warsztat poety nie potrzebuje wymyślnych ozdobników i uduziwień dla osiągnięcia uczuć tkliwości i rozrzewnienia, odkrycia męczących lęków, powrotu do rodzinnych mitów. *Po tamtej stronie granicy* to tytuł zbioru wierszy i jednocześnie jednej z trzech części tego wydawnictwa, obok *Oddechów* i kończących go *Zbliżeń*.

Dydykowany Ani tomik otwiera czuły wiersz dla muzy autora, pełen zachwytu i troski. Oddech jest elementem wyraźnie powtarzającym się w dwóch pierwszych rozdziałach zbioru. *Dum spiro, spero* to rzymska sentencja utożsamiająca oddychanie z życiem. Oddech jest najłatwiej rozpoznawalnym przejawem życia, sygnalizującym też nadchodzące zagrożenia zdrowia. Autor z niepokojem śledzi oddechy ukochanej, zatroskany jej stanem zdrowia w dobie zarazy.

Tytułowe granice w drugiej części zbioru traktowane są szeroko, nie tylko jako linia rozdzielania terytoriów państwowych, ale i stref kulturowych, okresów życia człowieka, systemów wartości. Poeta wraca często do przeszłości wspomnieniami dotyczącymi rodziny i rodzinnych mitów, życia na obczyźnie, repatriacji i losów w Polsce, na „Ziemiach Odzyskanych”. Czułym punktem rodzinnego przekazu okazują się przeżycia wojenne bukowińskiej polonii, po zagarnięciu rumuńskich terenów przez ZSRR. To relacje obserwatora zdarzeń, zsytek na Syberię i klimatu tamtych czasów, szoku kulturowego w obcowaniu z najeżdżącą, bez epatowania jednak grozą sytuacji.

Szczególnie bliskie są mi wspomnienia z dzieciństwa, obrazy bezpiecznego domu z zapachami ulubionych potraw, zabaw w odprawianie mszy świętych dla dziadków. Prawdziwie przedstawione zostały rytuały mszy trydenckich, nieznanie młodszemu, posoborowemu pokoleniom, z łacińskimi modlitwami i tajemniczymi zachowaniami kapłanów odwróconych przy ołtarzu plecami do wiernych. Te zaba-



wy, pełne symbolicznych gestów są zupełnie obce dzisiejszym dzieciom poszukującym tajemnic i magii w innych obszarach kultury. Wszystkim tym wspomnieniom towarzyszy tęsknota za tym, co było i nie wróci więcej.

Są też wiersze odnoszące się do współczesności, zaangażowane, mądre, dosadne i dociekliwe. To protesty wobec nietolerancji i przemocy, piękny i przejmujący wiersz o marszu kobiet, przestroga przed ułudą i zagubieniem wśród codzienności. Niezwykle aktualny jest wiersz o dzieciach w piwnicznych schronach, często nieświadomych grozy sytuacji.

W drugiej części tomiku wiersze *Oddechy* oswajają lęk przed utratą najbliższych w czasie zarazy, przed samotnością i bolesną tęsknotą. Zaskakuje poetycka diagnoza schorzenia, opis objawów godny medyka. To uruchomiona nadspodziewawczość w sytuacji zagrożenia i umiejętność lakonicznego

wpisania ich w obraz stanu chorego. Rozczuła opiekuńczość wobec niecierplivej chorej, towarzyszenie jej w chorobie. Porównanie koncentratora tlenku do lokomotywy kojarzy się z bajką dla dzieci na dobranoc. Otoczenie chorej staje się sceną ze spektaklu, ale nie dajmy się zwieść. To tylko oswojenie lęku, z którym trudno sobie poradzić, kiedy trzeba być wsparciem i tryskać optymizmem. Następne wiersze to już radość ozdrowieńca, powrót do życia pełnego oddechu, wspólnych spacerów. Tę część tomiku kończy wiersz *Kiedy Cię spotkałem*, pełen namiętności, świadomości wspólnej drogi i optymizmu.

Trzecia część utworów *Zbliżenia* to wiersze dedykowane przyjaciółom i wnuczce, zakończone modlitwą o mądrość i pokój. Wiersze bardzo osobiste, serdeczne, dotykające zapewne wspólnych projektów i przedsięwzięć. Dla wnuczki Matyldy ma autor szczególnie piękny wiersz, napisany w konwencji lekcji szkolnej z rolą Matyldy jako nauczycielki i autora jako pilnego ucznia wsłuchującego się w słowa nauczycielki, ukochanej nauczycielki.

Tomik wierszy kończy modlitwa o dar mądrości i pokoju, będąca uwspółcześioną wersją modlitwy

z biblijnej Księgi Mądrości: „Choćby zresztą był ktoś doskonały między ludźmi, jeśli braknie mu mądrości od Ciebie – za nic będzie poczytany”.

Wyśpiewywał mistrz Jerzy Stuhr:

Śpiewać każdy może  
Trochę lepiej lub trochę gorzej  
Ale nie o to chodzi  
Jak co komu wychodzi  
Czasem człowiek musi  
Inaczej się udusi.

Podobnie pisać wiersze każdy może, ale nie każdy jest poetą. Niewątpliwie Roman Krzywotulski, autor *Po tamtej stronie granicy* jest poetą. Poetą wysmakowanym, świadomym wartości swego przekazu. Teksty trafiają do odbiorcy, jakby były osobiście tylko jemu dedykowane, wzruszając pokłady zapomnianych przeżyć, ukrywanych lęków, tłumionych potrzeb ekspresji, emocji. Dzięki za darowane chwile refleksji w szaleństwie pędzącego świata.

**Marek Pankowski**

## Murki, czyli niekoniecznie wyższość poetyckiej formy nad treścią

**Maria Jolanta Fraszewska, *Płonące języczki/Tongues in fire*, tłum. Marek Marciniak, post. Donata Wolska, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2021, 103 s.**

Z końcem 2021 roku ukazał się dziewiąty zbiorek wierszy Marii Jolanty Fraszewskiej, pierwszej i bodaj jedynej poetyki lingwistycznej na Ziemi Lubuskiej. Najnowsze, dwujęzyczne dzieło nosi tytuł *Płonące języczki*, czyli po angielsku *Tongues in fire*. Znalazło się w nim 79 utworów wybranych ponad 850 jej tekstów zamieszczonych na portalu eMULTIpoetry prowadzonym od 2008 roku przez Fundację Poemat Michała Zabłockiego. W ramach europejskiego projektu Grundtvig teksty autorów biorących w nim udział były tłumaczone na język

angielski i w latach 2013-2019 wyświetlane na murach kamienicy przy ul. Brackiej w Krakowie, stąd ich ogólna nazwa – „Wall”, czyli polskie „Murki”. Jednak, aby wiersze mogły trafić na fasadę, musiały spełnić formalny wymóg wersyfikacyjny – składać się z pięciu wersów, a więc posiadać krótką formę liryczną.

Teksty mają więc formę „nietypową” – pisze w *Słowie wstępnym* autorka, gdyż „to właśnie forma narzuca regułę”, a „Murki to krótkie wiersze związane z konkretną formą. Wiersz musi składać

się z pięciu wersów, a w każdym może być co najwyżej trzydzieści znaków. [...] Być może ze względu na innowacyjną formę ten krótki wiersz, złapie wiatr w skrzydła...” – dodaje poetka.

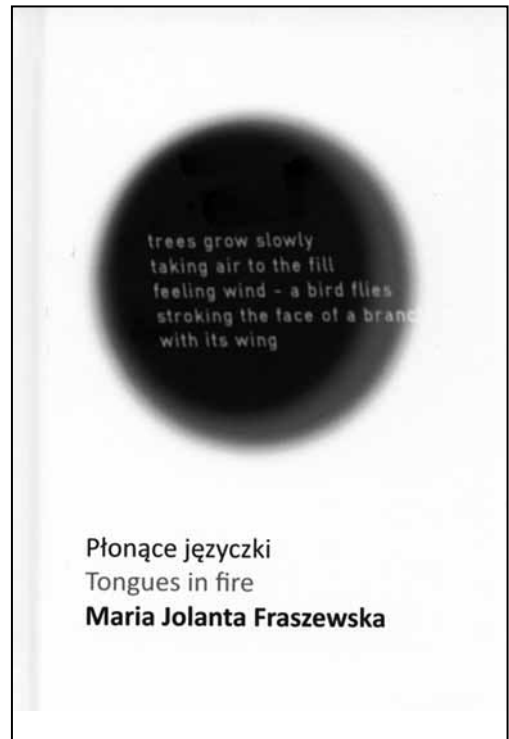
Utwory w zbiorze Fraszewskiej są zatem niekonwencjonalne – nie mają tytułów, lecz numery, każdy posiada swoją wersję w tłumaczeniu angielskim, pod każdym znajduje się data powstania i są one ułożone nie tematycznie, ale właśnie chronologicznie, od najstarszego z 2013 po ostatnie z 2019 roku. Czym są więc owe niecodzienne wiersze? We wstępie autorka już napisała, że nie są to japońskie haiku. Nie są to też fraszki, epigramaty czy aforyzmy. Czym więc są? Z pewnością murki to pentastychy lub kwintyle, wiersze stychiczne, mocno zbliżone do limeryku powstałego w XVIII wieku w Irlandii, czyli miniaturki lirycznej o skodyfikowanej strukturze.

Jak zatem zbudowane są murki-miniaturki Marii Fraszewskiej? Najprościej i bez przekłamania można powiedzieć, że różnorodnie, choć zwykle pierwszy wers stanowi tezę (aksjomat), drugi jest jej rozwinięciem, trzeci i czwarty mają charakter opisowo-refleksyjny, a piąty stanowi podsumowanie, czyli konkluzję (puentę). Inauguracyjny tekst rozpoczyna stwierdzenie: „wszystko jest Tobą”, co raczej należy odnosić do Stwórcy, bowiem w alchemiczny sposób poetka w części refleksyjnej dopowiada, a w ostatnim wersie kategoriycznie stwierdza:

każdy kamień składa się  
z piasku każda ziemia tworzy  
słońce w zachodach i wschodach

Wiele utworów Fraszewskiej posiada ten właśnie wersyfikacyjny typ budowy, tak jest np. w utworze oznaczonym numerem 9, gdzie wers otwierający to słowo-teza (i niejako tytuł wiersza), wersy środkowe (2-4) stanowią formę opisową, po której następuje ostro zarysowana puenta w ostatnim wersie:

Horyzont  
Most, który zwozdi ludzi.  
Zawieszka marzenia  
na szklanym sznurku.  
Tylko brzaski brzęczą.



Podobny układ kompozycyjny posiada np. wiersz numer 10, w którym, zazwyczaj bezosobowy, podmiot oznajmia:

cicho dojrzewa las  
wiatr namalowany  
na ścianie deszczu  
przytula niebo do ziemi  
deszcz tylko słucha

Ale zdarzają się w tych „murkach” odmienne koncepty, w których teza jest jak zawsze na początku, ale wersy 2-3 stanowią opis, a wersy 4-5 refleksję podsumowującą utwór, jak w wierszu nr 4:

pomyśl do przodu  
spójrz jak świat  
jest pięknie urządzonej  
siedzi spokojnie  
na kanapie w twoim umyśle

Lub odwrotnie, gdzie trzy pierwsze wersy są objaśnieniem (relacją, fabułą), a dwa ostatnie kontemplacją i wnioskiem niejako:

słońce podnosi się  
z brzegu horyzontu  
trwa słoneczny blask  
wiatr wygania na ulice  
samotnych żebraków spojżenia

A także w wierszu nr 7, gdzie spotykamy jeszcze inną konstrukcję, bowiem cztery pierwsze wersy są syntetycznym obrazowaniem natury, a ostatni jest konstatacją:

wizerunek wiatru  
na kształt  
i podobieństwo twoje  
uwieszę u szyi  
jabłka wyniosę na targ

W *Postwoiu* do tomu Fraszewskiej autorstwa Donaty Wolskiej czytelnik może znaleźć wiele pomocnych objaśnień i wniosków. Wolska nazywa wiersze zawarte w zbiorze *Płonące języczki* miniaturowymi lub wręcz ascetycznymi formami poetyckimi, które „mimo oszczędności wyrazu są skarbnicą emocji, refleksji i wrażliwości” poetki, która „zagłębia się w otaczającą ją rzeczywistość, podkreśla silną więź z przyrodą, z którą obcuje w mistyczny wręcz sposób”, bowiem liryka Fraszewskiej „odzwierciedla jej nieco przekorną, kobiecą naturę”. Wiele racji ma Donata Wolska, twierdząc, że liryki zielonogórskiej poetki „przepojone są delikatną zmysłowością”, że instynktownie opisuje ona „kruchość oraz nieuchronność przemijania”, że wiersze jej łączy „wspólna myśl przewodnia, którą jest antropocentryzm” i przede wszystkim, że poetka „atrybutom przyrody nadaje ludzki wymiar”. Dlatego też w poezji Fraszewskiej częstymi motywami są zwykle ulotne atrybuty i siły natury, jak: wiatr, deszcz, krople, kałuża, upał lub żar, blask słoneczny, promienie, światło, chmury lub obłoki, bądź jesienne liście. Przeciwieństwem ich będą z kolei stabilne czy statyczne obrazy w postaci horyzontu, krajobrazu, drzew, lasu, mostu lub

ciemności i ciszy, na tle których podmiot snuje liryczną opowieść.

Poetka często stosuje różne figury retoryczne od personifikacji, antropomorfizacji, animizacji po hiperbole, synekdochę, metonimię i oksymoron, a nawet akrostych. W tej grze figur stylistycznych, metafor, wyszukanych porównań i epitetów poetka czuje się doskonale. W końcu lingwizm i zabawa słowem to jej ulubiony żywioł. W najnowszym zbiorze Fraszewskiej nie znajdziemy jednak zbyt wiele typowo lingwistycznych łamigłówek czy werbalnych szarad, prawdopodobnie z uwagi na ograniczenia strukturalne wierszy, których musiała kategorycznie przestrzegać. Do typowych utworów, w których poetka zastosowała wariant zabawy językowej i słowotwórczej, można zaliczyć ten o numerze 12:

piękna Helena  
się  
jak  
może  
troi

Lub w tekście nr 22, gdzie podmiot oznajmia:

[...] dreszcze deszczy  
zalewają potoki  
chórzy się

Jak też w utworze nr 63:

drzewa rosną powoli  
do woli chłoną powietrze  
po wietrze ociera się ptak [...]

W – co trzeba przyznać – eksperymentalnych utworach lubuskiej liryki znaleźć można też wiele ciekawych, bowiem intrygujących i warsztatowo całkiem udanych i zgrabnych maksym, zawartych zwykle w jednym lub dwóch wersach, np.: „kobieta przymknęła oczy / świat zawirował” (utwór nr 5), „wobec mężczyzn jestem bezradna / jak wobec kranów” (nr 13), „kobieta w czułości pięknieje” (nr 27), „kłamstwo krótkie ma poranki” (nr 29), „zapalka wskrzeszająca słońce” (nr 39) i „mężczy-

zna nadciąga jak chmura” (nr 55). W kilku miniaturach widać także wyraźne odwołania do poezji Anny Świrszczyńskiej, która dla zielonogórskiej poetki stanowi guru. Tak dzieje się w tekstach numer 32, 46, 56 i 73. W tekście nr 46 podmiot liryczny opisuje sytuację:

od lat byli parą  
stali i rozmawiali  
wiatr wiał im  
prosto w oczy

Jednak obok poważnych tekstualnie wierszy, niekiedy filozoficznych, alegorycznych i melancholijnych w wymowie (nr 23, 34, 42, 59) oraz utworów czysto lingwistycznych (nr 21, 22, 40, 43, 63, 65, 71, 76), trafiają się teksty pełne zadziwienia i oczarowania dookolnym światem obserwowanym oczami dziewczynki (nr 8, 19, 24), miniatury bardzo ekspresyjne i emocjonalne, by nie rzec egzystencjalne, w których z kolei wybrzmiewa głos dojrzałej, doświadczonej życiem kobiety (nr 2, 5, 13, 18, 25, 27, 40, 49, 66, 75), formy sentymentalno-retrospektywne (nr 69 i 71), teksty quasi-patriotyczne (nr 52 i 61) czy wreszcie liryki pełne ironii, humoru i słownego dowcipu (nr 30, 44, 56, 58, 64, 72). Dowodem tego jest żartobliwa scenka z pięciowersu nr 72:

pan komputer  
bardzo chory  
pod pachę go biorę  
i do serwisu prowadzę  
w poczekalni kolejka androidów

A także satyryczny obrazek nr 64, w którym:

coraz bardziej rozzarowane

wiedźmy i czarownice  
wkładają latające talerze  
do zmywarek

Bogaty wachlarz tematyczny oraz istny konglomerat motywów i środków artystycznych zawartych w miniaturach Marii Fraszewskiej odbierać należy jako świetne przygotowanie warsztatowe poetki, doskonałą umiejętność operowania słowem i nade wszystko posiadanie nieprzeciętnej wyobraźni poetyckiej. Świadczy o tym choćby tekst nr 21:

w kącie ziemi  
wystraszony człowiek  
przybija morze  
gwoździami  
do brzegu

Myślę, że Maria Jolanta Fraszewska właśnie poprzez „murki”, rzucające poetom wersyfikacyjne (formalne) wymogi i ograniczenia w swobodzie literackiego przekazu, poprzez swój kunszt wykazała, że można pokonać owe bariery i wykażać się pełnią treści, czyli wypowiedzieć do końca, spełnić w poetyckiej relacji i ukazać w przekazie lirycznym własną wizję świata. Dodajmy – świata z jego smutkami, troskami i radościami, z jego delikatnością i brutalnością, naturalnością i odmiennością, mistycyzmem i realnością, przemijalnością i trwałością, przeznaczeniem i wiecznością... I co przede wszystkim ważne, udało się poetce dogłębnie wypowiedzieć zwłaszcza w kontekście kobiecym, a więc poprzez pryzmat transcendentnego i intuicyjnego odczuwania rzeczywistości, w której związek natury i człowieka jest nierozzerwalny i ponadczasowy.

**Robert Rudiak**

# Poezja i wymowne zbiegi okoliczności. O czytaniu *Jeszcze żywych*

Mirosława Szott, *Jeszcze żywi*, Cytelnia Dramatu, Zatonie, 12 czerwca 2022

Dla wielu ludzi literatura i poezja stanowią tajemnicę, nad którą wielu innych zastanawia się, poświęcając jej swój czas i myśli. Nie mogą zrozumieć fenomenu słowa pisanego, emocji za nim się kryjących i burz, które potrafi wywołać. Z zewnątrz literatura może wydawać się niedostępna dla szerszego grona odbiorców, hermetyczna, tworzona przez doświadczenie smutku i rozpacz. Tak właśnie uważa Michał – bohater dramatu *Jeszcze żywi* Mirosławy Szott. Czytanie sceniczne tekstu w reżyserii Andrzeja Nowaka odbyło się w Zatoniu w ramach Cytelni Dramatu w czerwcu 2022 roku. Pomysłodawcą cyklu jest dr Andrzej Buck, a koordynatorem – dr Janusz Łastowiecki. Było to jedno z tegorocznych wydarzeń Kozzi Film Festiwal.

Jedną z głównych postaci *Jeszcze żywych* jest Michał (w tej roli Robert Kuraś) – student, który trafia na spotkanie stowarzyszenia poetów, ponieważ chce rozdać ankiety. Dzięki odpowiedziom, które Michał ma nadzieję uzyskać, uda mu się odpowiedzieć na pytanie, czy naprawdę tylko nieszczęśliwi ludzie piszą poezję. Jednak nic nie przebiega tak, jak Michał sobie zaplanował – już w szatni spotyka jedną z poetek, Różę (Elżbieta Donimirska), która mówi do niego o poezji i poetach w sposób niezrozumiały. Kobieta prowadząca spotkanie, Tatiana (Tatiana Kłodziejska), ignoruje początkowo jego prośby dotyczące wypełnienia ankiet, a zamiast tego angażuje

go w zadania, których wykonaniem zajmują się też pozostali piszący: Sonia (Anna Stasiak), Konrad (Artur Beling) oraz Joanna (Kinga Kaszewska-Brawer). Gdy w Michale irytacja rośnie coraz bardziej, nagle gasną światła, ponieważ nadciągnął orkan, który pozabawił miasto prądu i uniemożliwił bezpieczne wyjście z budynku. Zamknięci w pomieszczeniu poeci pozornie kontynuują swoje zadania, jednak chwilowe uwięzienie potęguje nastrój niepokoju i pozbawia ich poczucia komfortu.

Poeci postanawiają wykorzystać moment, aby wypełnić ankiety przyniesione przez Michała. Zdennerwowany Michał próbuje uciec, jednak najdalej, gdzie może się udać, jest korytarz – i tam właśnie dogania go Sonia. Rozmawiając z Sonią, Michał opowiada jej o ankietach i o tym, dlaczego zbudowane zostały właśnie w ten sposób. Gdy Sonia chce je zobaczyć ponownie, okazuje się, że zostały w sali. Michał wraca. Gdy wchodzi do pomieszczenia, jest świadkiem dziwnych zdarzeń, które wywracają jego życie do góry nogami. Z konwersacji poetów wynika, że od samego początku wiedzieli, kim on jest. Znali także jego ojca, który porzucił chłopaka lata temu, a za którym nieustannie tęskni. Usłyszane informacje burzą mury wokół Michała. Chłopak opowiada szczerze o swoich uczuciach Soni, po raz pierwszy nazywa je.



Ostatnia scena dzieje się po pięciu latach. Jest to spotkanie autorskie Michała. Jednak postawy poetów wobec literatury ulegają diametralnym zmianom. Wspominają oni ankiety Michała, zastanawiając się, jak teraz Michał by ją zrozumiał i odpowiedział na zadane przez samego siebie pytania z perspektywy literata. Dramat kończy się, gdy do chłopaka dzwoni telefon – to moment, który otwiera najważniejsze drzwi do interpretacji dramatu.

Tekst *Jeszcze żywi* stawia nas wobec dwóch problemów: skąd właściwie bierze się literatura oraz dlaczego ludzie zajmują się tworzeniem wierszy? Zadaje je jednak dużo głębiej niż bohater, ponieważ, dzięki przedstawionym postaciom, ilustruje różne podejścia do słowa pisanego. Ukazuje słowo jako sposób na autoterapię, jako próbę ucieczki oraz jednocześnie jako poszukiwanie. Poruszone przez poetów tematy, takie jak samotność i podróże, łączą się w całość, jednak nadal nie dają odpowiedzi... która, prawdopodobnie, nawet nie istnieje – bo literatura, dla każdego, może być zupełnie czymś innym.

Aktorzy odgrywający role poetów i Michała popisali się kunsztem i znakomitą interpretacją tekstu. Postacie, w które się wcielili, nabrały wymiaru rzeczywistych osób, a samo spotkanie, w którym poeci brali udział, niosło ze sobą głębię i wieloznaczność. Sam zamysł Czytelni Dramatu wymagał od nich tego, by sztuka była czytana, nie było więc tutaj miejsca na naukę roli ani tekstu na pamięć, ale dzięki temu pojawiło się wspaniale wykorzystane miejsce na spontaniczne interpretacje i improwizacje.

W *Jeszcze żywych* niezwykle ważna jest także publiczność. Podczas czytania dramatu w Zatoniu aktorzy rozdawali widzom kartki oraz ołówki, tak aby oni również mogli poczuć się jak uczestnicy spotkania poetów. Następnie aktorzy zebrali odpowiedzi



i rozmawiali o nich, improwizując i szukając znaczeń. Nad całością czuwał Andrzej Nowak, który jako reżyser i postać Narratora panował nad eksperymentalną częścią czytania. Niezwykłego uroku dodawał całemu wydarzeniu fakt, w jakim miejscu było ono zorganizowane. Aktorzy czytali tekst przed ruinami zamku, a oprawa muzyczna w wykonaniu Bogdana Stasiaka dodawała głębi przedstawieniu, wprowadzając zarówno publiczność, jak i aktorów w odpowiedni nastrój. Białe światło towarzyszyło im lub zniknęło w odpowiednich momentach... aż zniknęło całkowicie, czego powodem był – dokładnie tak jak w dramacie – nagły i niespodziewany brak prądu. Orkan, który uwięził poetów i Michała w bibliotece, również pozbawił ich prądu, dzięki czemu dał im nowe możliwości, spowodował kolejne pytania, ale też dał parę odpowiedzi oraz nowe spojrzenia. Niezrażeni awarią aktorzy grali swoje postacie nadal, choć zarówno w nich, jak i w publiczności tak wymowny zbieg okoliczności musiał pozostawić ślad. Literatura i poezja mają moc zatrzymywania świata i czasu. Przez chwilowy brak prądu świat w Zatoniu też został zatrzymany, dając możliwość analizowania tych samych pytań, z którymi musieli zmierzyć się bohaterowie *Jeszcze żywych*.

**Weronika Nawrocka**

## „Szkice Nadobrzańskie” po 20 latach. Pismo Regionu Kozła!

Ukazał się pierwszy numer „Szkiców Nadobrzańskich”. To ważne wydawnictwo Regionu Kozła o charakterze popularnonaukowym. Zostało rozprowadzone we wszystkich gminach RK, dostępne jest także w biurze Regionu w Kargowej. Warto się zaopatrzyć!

Tak naprawdę „Szkice” zostały wznowione po 20 latach. Utworzył je bowiem w 1984 roku w Zbąszyniu miejscowy nauczyciel, regionalista, humanista z nietypowym wykształceniem konserwatora zabytków – Zenon Matuszewski. Dlatego pierwsze numery nosiły wtedy nazwę „Szkice Zbąszyńskie” (wspierał je prężnie działający w mieście nad Obrą oddział PTTK, a potem zaangażowało się Zbąszyńskie Towarzystwo Naukowo-Kulturalne). Gdy w latach 1995-1997 powołano do życia Region Kozła, Matuszewski, w porozumieniu z Kapitułą RK, przekształcił zbąszyńskie pismo w periodyk regionalny, właśnie w „Szkice Nadobrzańskie”. Ukazało się niewiele numerów, jednak były one ważnym elementem integracji Regionu, a na łamach pojawiały się publikacje autorów ze wszystkich „gmin kozłarskich”, piszących o szkolnictwie, przyrodzie, historii, zabytkach – słowem – na każdy temat. Zapewne z powodów finansowych periodyk upadł w 2002 roku. Zatem mamy równo 20 lat od tamtego momentu i „Szkice” zmartwych-

wstają. Niestety, ze względu na poważną chorobę nie mógł się podjąć redagowania „swego dziecka” Zenon Matuszewski. Kwestię tę Kapituła i starosta RK powierzyli zatem Eugeniuszowi Kurzawie, który właśnie przygotował pierwszy numer pisma. Tematyka – jak zapowiada we wstępie redakcja – będzie kontynuowana. Potwierdza ów fakt pierwszy po 20-letniej przerwie numer.

Wśród autorów głównych materiałów (tekstów) znajdujemy m.in. Danutę Wróblewską z publikacją o graniu *Mazurka Dąbrowskiego* w Kargowej, dr Joanna Rostkowska z Kopanicy przedstawiła gniazda bocianie w gminie Siedlec, wykorzystano też publikację Z. Matuszewskiego o historii obszarów wodnych Zbąszynia i jest ciekawe odkrycie Aleksandra Waberskiego z Babimostu dotyczące wizyty miejscowych winiarzy u króla polskiego. Znajdujemy też informację o niemieckiej poetce Annie Luizie Karschin związanej w dzieciństwie z Trzcielem. Słowem, dużo ciekawych tematów tzw. głównych.

Ponadto – obok nich – jest dział komunikatów. Tu o „wielorodzinnym”, nietypowym ulu pisze Tadeusz Mąkosa, przeczytamy o mało znanej (ale namalowanej na płótnie) bitwie Abrahama Zbąskiego z joannitami ze Świebodzina itd. Jest dość obszerny dział recenzji wystaw plastycznych oraz książek wydanych przez RK lub o nim mówiących. Trzeba odnotować kronikę kulturalną i na sam koniec przypomnienie, czyli teksty „odkopane”, są to tzw. varia, w nich zaś kilka stron o „spalonym” pomysle Tęgich Głów RK. Co godne podkreślenia – wśród autorów kilka osób z tytułami profesorskimi i stopniami doktorskimi, co świadczy o ambicjach redakcji, ale i o sporym poziomie i potencjale naukowym Regionu.

W piątek, 13 maja, odbyło się pierwsze spotkanie promocyjne, poświęcone nowemu wydawnictwu. Rozmowy o nim toczyły się w gminnej bibliotece. Spotkanie prowadziła Małgorzata Kwiecień,





która powitała przybyłych, w tym redaktora nowego periodyku, E. Kurzawę. Obecny był również dyrektor Regionu Kozła – Szczepan Sobczak, który oprócz pierwszego numeru „Szkiców Nadobrzezańskich” zaprezentował przybyłym inną pozycję wydaną niedawno przez RK – *Słowo zostaje. Bibliografia Regionu Kozła* przygotowaną przez duet autorski E. Kurzawa – Zofia Maziarz. W kontekście wspomnianej książki bibliograficznej *Słowo zostaje* istotny jest fakt, że to właśnie w „Szkicach Nadobrzezańskich”

pojawiły się pierwsze publikacje bibliograficzne dotyczące RK.

Następne spotkanie promujące „Szkice” odbyło się 20 maja w bibliotece miejskiej w Zbąszyniu. Niestety, przy nikłym zainteresowaniu czytelników, co trzeba stwierdzić z przykrością. Kolejna promocja odbyła się we wrześniu w Babimoście. Być może – o ile będzie zainteresowanie – będą inne spotkania w „gminach kozłarskich”.

**Eugeniusz Kurzawa**

## Ambicje sięgające kosmosu

**Magdalena Salik, *Płomień*, Powergraph, Warszawa 2021, 352 s.**

Minimalistycznie skonstruowana okładka przykuwa wzrok, a treść przede wszystkim zastanawia czytelników. Książka jest pełna dylematów i etycznych aspektów, rodzi pytania, na które nie sposób znaleźć odpowiedzi. Futurystyczne tematy, które coraz częściej znajdują się w spektrum zainteresowania współczesnych wizjonerów technologii, stanowią główny wątek w książce polskiej pisarki. Najbardziej kosztowna misja kosmiczna w dziejach ludzkości, mająca na celu kolonizację lodowej planety, budzi nie tylko niepokój, ale też i nadzieję.

Magdalena Salik, dziennikarka i redaktorka, wpłynęła na wody etycznych zagadnień związanych z tożsamością istoty ludzkiej. Najważniejszym pytaniem dla bohaterów i wszystkich zaangażowanych w kosmiczny projekt staje się kwestia, kiedy dokładnie człowiek przestaje być znanym nam gatunkiem *homo sapiens*, a kiedy przeistacza się w technologiczny twór, symbolizujący nową rasę oraz nowe zagrożenia. Rozwój techniki rodzi nowe problemy, na które ludzkość nie jest jeszcze gotowa, jednak postępu nie da się zatrzymać. Tym samym czytelnik otrzymuje *soft science fiction* bogate w naukowe terminy, połączone z preludium katastrofy na wielu płaszczyznach etycznych, jak i rozwoju, co tworzy dosyć ciekawe połączenie.

Język użyty w książce, zwłaszcza na samym początku, przypomina naukowy żargon, co niekoniecznie może trafić do osób, sięgających po raz pierw-



szy po ten gatunek. Jednak w dużej mierze jest on poetycki i bogaty w liczne nawiązania, które tworzą często filozoficzny patos umożliwiający stworzenie nowej perspektywy dla wydarzeń dziejących się w powieści. Pisarka sztywno skupia się na rozwija-

niu wątków, które uważa za istotne dla fabuły, pomijając niestety inne elementy wykreowanego świata, w tym motywacje bohaterów, przez co brakuje spójności w działaniach.

W *Plomieniu* została zastosowana zarówno wielotorowa narracja pierwszoosobowa, jak i trzecioosobowa, dzięki której czytelnik uzyskuje wgląd do wcześniej nakreślonych portretów psychologicznych bohaterów, jednak nie za bardzo można je uporządkować lub nadać im jakiś określony przez autorkę cel. Perspektywy przeplatają się między sobą nieustannie, co powoduje w pewnym momencie poczucie zagubienia i irytacji. Co więcej, jeżeli w jednej ścieżce zostało zbudowane napięcie, to każda inna wydaje się tracić swój wydźwięk. Między głównymi wątkami pojawiają się również raporty lub wywiady, które wydają się być umieszczone w niewłaściwym miejscu, przez co wszystko nabiera jeszcze bardziej kuriozalnej formy. Mimo że celowo zaburzona linia czasowa nabiera sensu przy zakończeniu, to fabuła przez to miejscami traci ciągłość.

Bogate opisy otoczenia, które potrafią zbudować odpowiedni nastrój oraz oddać stan bohaterów i pomieszczeń, nijak mają się do opisów relacji pomiędzy bohaterami. Są one mętne, nie do końca da się zrozumieć współzależności i motywacje każdego z nich. Pomędzy bohaterami nawiązują się również romantyczne, w każdym wymiarze tego słowa, uniesienia, które następnie przekładają się na ich światopogląd. Mimo że autorka starała się zachować niezależność każdej z postaci, to zmiany są znaczne i mają swoje konsekwencje fabularne, przez co niestety nie udało się ani autorce, ani bohaterom uciec od schema-

tu romansu, który często niszczy pieczołowicie nakreśloną odrębność i indywidualność.

Salik poświęca dużo uwagi pierwotnemu strachowi przed nieznanym, towarzyszącemu każdemu z przedstawianych podróżników pochodzenia ziemskiego i tego pozaziemskiego. W książce pojawia się również aspekt różnicowanych wartości. Wszelakie wątpliwości czy stanowiska znajdują odbicie w czynach i myślach dobrze rozbudowanych postaci, które istnieją w opisywanym świecie, gdzie technologia dominuje już praktycznie w każdym aspekcie życia. Autorka obrazuje to poprzez burzliwe konferencje i subtelne szczegóły pokazujące nastroje społeczeństwa oraz ekscytację połączoną z czającym się w cieniu przeświadczeniem, że ludzkość obiera drogę, z której nie sposób zawrócić. Czytając książkę przy jednoczesnym śledzeniu poczynąń naukowców, odczuwa się możliwość uczestniczenia w bieżących wydarzeniach, przez co cała linia fabularna nabiera realizmu.

I właśnie ten realizm powoduje, że książka jest pozycją jak najbardziej „na czasie”, ponieważ wszystkie wątki obracają się wokół postępu i problemów, które prędzej czy później staną się naszymi. Intensywna opowieść, uniwersalne tematy oraz chłodna konkluzja na temat ułomności i ślepego oddania się idei, przy użyciu której człowiek próbuje nadać formę czemuś, czego nie do końca rozumie. Całość wywarła na mnie ogromne wrażenie, kończące się gorzko-słodkim wnioskiem o nieuniknionej przyszłości i właśnie dla takich przemyśleń warto jest zanurzyć się w ten kosmiczny projekt pełen zarówno nadziei, jak i niepewności.

**Anna Madaj**

## Okładka, która obiecuje ucztę literacką i treść, która rozczarowuje

**Agnieszka Jelonek, *Trzeba być cicho*, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2022, 163 s.**

W ostatnim czasie polskie wydawnictwa pracują na pełnych obrotach, publikując mnóstwo nowych pozycji w każdym kolejnym miesiącu. W większości, od strony wizualnej, książki są naprawdę piękne, każdy

szczegół jest dopracowany, papier najwyższej jakości, a okładki zaprojektowane przez topowych artystów. Tak też wyglądała sytuacja z powieścią obyczajową *Trzeba być cicho* Agnieszki Jelonek, stycz-

niowej premiery wydawnictwa Cyranka. Jeśli chodzi o warstwę edytorską i okładkę, mającą cieszyć oko na półce, książka prezentuje się doskonale. Jednak jeśli chodzi o treść, pozostawia wiele do życzenia.

*Trzeba być cicho* to przede wszystkim historia rozpadającego się małżeństwa Luny i Theo, mieszkających w małym mieszkaniu w warszawskim blokowisku. Na tym samym osiedlu mieszka również Zachary, który na złość rodzinie przepisał Lunie i Theo dom na wsi, oraz Miśka, osiedlowa kosmetyczka i samotna matka. Luna i Theo postanawiają wyremontować odziedziczony dom i zamieszkać tam razem z Miśką i jej synem. Zmiana środowiska jest dla nich czymś, o czym marzyli, jednak niesie ze sobą konsekwencje, których nie byli w stanie przewidzieć.

Książka zapowiadała się naprawdę nieźle, szkoda, że jednak zostało po niej ogromne rozczarowanie. Czytając, odnosi się wrażenie, jakby kontrowersyjne elementy były wciskane w nią na siłę – ojciec Luny molestował ją jako dziecko, Theo pali marihuanę, a Miśka okazuje się lesbijką. Wszystko to było

opisane w zbyt naiwny sposób, dotykając tylko powierzchni, mimo nieustannych retrospekcji bohaterów, w których wracali myślami do swojego dzieciństwa. Postacie stworzone przez autorkę również nie raczą czytelnika swoją głębią. W książce poznajemy bohaterów, nieustannie próbujących uciec od prozy życia codziennego, goniących za miłością i zmianą, tak naprawdę nie wiedząc, czego szukają. Bohaterowie podążają za schematem powielanym w wielu innych powieściach, pragną zmiany, lecz zmiana ta, gdy nadchodzi, przytłacza ich i przeraża. Mimo usilnych prób nadania głębi postaciom, sprawiają one wrażenie niezwykle jednowymiarowych, tak jakby były pisane jedynie po to, aby dać komuś pryztyczek w nos. Z kartek książki wylewa się gorzyc i ułuda. Poruszane są tematy teoretycznie modne, ale zaczynające powoli wiać nudą.

*Trzeba być cicho* to kolejna z popularnych ostatnio prób literackiego romantyzowania toksycznego związku, problemów rodzinnych, braku komunikacji i traum z przeszłości. Wątki homoseksualne w książce są wciśnięte na siłę, utrwalają stereotyp o tym, że chłopiec, który nie bawi się samochodem w dzieciństwie i jest artystą w dorosłym życiu, musi okazać się homoseksualistą, a piękna, dorosła kobieta, która nie ma partnera, bezwarunkowo woli własną płęć. Autorka *Trzeba być cicho* posługuje się w książce wybitnym językiem i używa obrazowych, bardzo dopracowanych metafor, jednak przez sens zdań, jakie wypowiada, nawet to trudno jest dostrzec. Interesujący jest jednak tytuł oraz to, jak nawiązywała do niego historia. Hałas jest tutaj czymś niesamowicie intymnym, gwałci prywatność bardziej dotkliwie niż widziany obraz. Dom na wsi staje się metaforą wolności i niczym nieskrępowanego wyrażania głośnych uczuć, czego przeciwieństwem jest mieszkanie w warszawskim blokowisku.

Do przeczytania tej książki zachęciła mnie przede wszystkim genialna okładka wykonana przez graphiczkę i nauczycielkę akademicką Martę Różę Żak i z przykrością muszę przyznać, że powieść była przykładem na to, że „nie oceniamy książki po okładce” działa i ma się dobrze.



Weronika Nawrocka

## Rozważania liryczne dojrzałej kobiety

Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Spojrzenie spod kapelusza*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2016, 64 s.



W 2016 roku nakładem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów oraz wydawnictwa Organon ukazał się kolejny w dorobku Katarzyny Jarosz-Rabiej tomik poetycki zatytułowany *Spojrzenie spod kapelusza*. Poetka gwoli przypomnienia pierwszy swój tomik pt. *Dedykacja* wydała w 1996 roku, potem były kolejne publikacje. Poetka de facto debiutowała na łamach „Nadodrza” w 1978 roku, pisząc następnie dla pisma „Własnym Głosem” czy w „Bez Przysłony”. Za rok 2014 Katarzyna Jarosz-Rabiej otrzymała Lubuską Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Zdobywała także liczne wyróżnienia i nagrody w konkursach literackich. Zielonogórzanka i poetka Katarzyna Jarosz-Rabiej w tomiku *Spojrzenie spod kapelusza* przedstawia czytelnikowi subiektywny obraz świata w dojrzały, pogodzony z faktem upływającego czasu sposób. Książkę otwiera wiersz zatytułowany *Bezwarunkowo*, w którym autorka odzwierciedla swój prywatny stosunek do mężczyzn. Wątek kontynuuje w kolejnym utworze *Czerwona koszula*. W tomie są też wiersze poświęcone wnukom (*Gram*), rodzeństwu (*Foremka*), rodzicom, a także synom: Krzysiovi,

Mirkowi, Robertowi (*Podróż mojego życia*). Sama o sobie pisze zaś w wierszu *Gram*:

Moje role dramatyczne  
życie reżyseruje według własnego uznania  
Jestem starą kobietą z bogatym doświadczeniem  
więc nie powinienam dawać nikomu rad

I dalej:

Szłam zawsze własną drogą  
a moja droga dobiega końca

– konkluduje poetka.

W tomiku przeplatają się momenty zachwytu nad życiem z chwilami smutku związanymi ze świadomością przemijania i nieuchronnego końca:

Stało się to co było niemożliwe  
a świat będzie trwał  
może nawet piękny bez nas;

Tomik zawiera akcenty związane bezpośrednio z życiem poetki, np w wierszu *Jak przez sen – miasto dzieciństwa* z czułością sięga K. Jarosz-Rabiej do lat dzieciństwa spędzonych w Zielonej Górze, mieście „z dobytkiem, przybytkiem i ubytkiem”, jak pisze. Lizaki koguciki ze sklepiku „U Rumuna” wywołują u niej miłe wspomnienia. Z przeszłych zdarzeń nie mało uwagi poświęca pamięci zmarłym bliskim oraz znajomym przyjaciołom (*Na mych bliskich sercu przyjaciół*). *Lubiła ciszę* to wspomnienie niezującej matki czy też w utworze *Ona przychodzi niespodzianie* – śp. męża. Każdy wiersz jest dedykowany konkretnej osobie i pomimo wielu pożegnań z tymi, których już wśród nas nie ma, autorka stara się zachować okrucy nadziei. W utworze *Pióro pi-sze wiersz na niebie* poetka deklaruje:

...ciągle jeszcze wierzę  
W sprawiedliwość

Na tym  
i na tamtym świecie.

Podsumowując, trzeba zauważyć, że tomik jest bardzo osobisty. Poetka zaznacza w nim ważność relacji zarówno rodzinnych, jak i przyjacielskich. Wspomina dobre momenty spędzone z przyjaciółmi, którzy byli lub są istotni w jej życiu. Pomimo niejednokrotnie przewijającego się między wersami smutku i żalu, są w tomiku akcenty optymistyczne, a nawet nieco humorystyczne, jak we wspomnianym otwierającym tomik wierszu *Bezwarunkowo*:

Kocham was panowie  
takie kochanie wychodzi na zdrowie  
póki jeszcze czas, kocham was.

Bardzo poetycko brzmią w tomiku tytuły poszczególnych utworów. Dodam, że uzupełniony został tomik rysunkami – rycinami autorstwa Jerzego Fedry, na okładce umieszczono pastel *Pożegnanie z latem*. Ujęty w książce osobisty i wewnętrzny świat poetycki autorki, jej rozterki i rozmyślenia mogą stać się inspiracją dla młodszych pokoleń zarówno czytelników poezji, jak i dla piszących.

Anna V. Szewczuk

## Na pełnych obrotach

Marcin Mielcarek, *Sztuka latania*, Anagram, Warszawa 2022, 165 s.

*Sztuka latania* to niebanalna proza, łącząca w sobie elementy powieści obyczajowej oraz romansu z wątkami erotycznymi. Ale przede wszystkim to manifest młodości.

Książka stanowi debiut powieściowy urodzonego w 1996 roku Marcina Mielcarka, który wcześniej publikował krótsze formy prozatorskie. W 2021 roku ukazał się jego zbiór opowiadań pt. *Parada myśli nocnych* (wydany nakładem Miesięcznika Społeczno-Kulturalnego KREATYWNI).

Bohater powieści, dwudziestokilkuletni Karol, rozpoczyna nowy rozdział w swoim życiu. Przyjeżdża do dużego miasta, w którym wynajmuje pokój. Symbolicznie zrywa więzi z rodzicami i od tej pory zaczyna się jego samodzielne, dorosłe życie. Już od pierwszych stron bohater – a zarazem narrator – daje się poznać jako wnikliwy obserwator rzeczywistości, a przy tym ktoś bardzo wrażliwy. Te dwie cechy są jak najbardziej istotne, bo młody mężczyzna marzy o karierze pisarskiej.

Zanim jednak będzie mógł utrzymać się z pisania (czy rzeczywiście to możliwe?), musi się zatroszczyć o codzienny byt. Karol zahacza się w tymczasowej pracy, która nie daje specjalnie perspektyw, ale pozwala w miarę skromnie przeżyć. Szybko pochłania



go życie „na pełnych obrotach” – czego zapis znajdziemy w *Sztuce latania*.

Powieść nawiązuje do idei powieści pikareskiej. Mamy tu głównego bohatera – zawadiakę i trochę „łotrzyka”, idącego przez życie z uśmiechem i bez większych trosk. Inaczej niż w utworach klasycznych, nie jest on w żadnej mierze „czarnym charakterem”; Karol jest dobry, inteligentny, ma swój system wartości i wyrobione poglądy na wiele spraw. „Człowiek jest tylko raz młody”, pisał Ernest Hemingway. Chłopak korzysta z uroków młodości jak tylko się da: jest relacja „bez zobowiązań”, dobry seks, ale są też marzenia o idealnym, czystym uczuciu. Jak to wszystko ze sobą pogodzić?

Nie będę zdradzać zbyt wiele z fabuły, powiem tylko, że w niejednym miejscu czeka nas zaskoczenie. W powieści znajdziemy ciekawie zarysowane postacie. Są to bardzo zwyczajni, przeciętni ludzie. Każdemu tutaj o coś chodzi, każdy chce żyć na swoich warunkach. Czasami zdarza się, że losy niektórych bohaterów wchodzi ze sobą w kurs kolizyjny...

*Sztuka latania* raczej nie aspiruje do tego, by być literackim portretem pokolenia Z, które ma utrudniony start w dorosłość i stosunkowo niewiele perspektyw na stabilizację. Jednak bez wątpienia powieść tę można nazwać manifestem młodości – ze wszystkimi jej radościami i niepokojami. Symboliczny jest

tytuł – żeby móc wyfrunąć z gniazda i polecieć daleko, aż „na koniec życia”, trzeba nauczyć się latać...

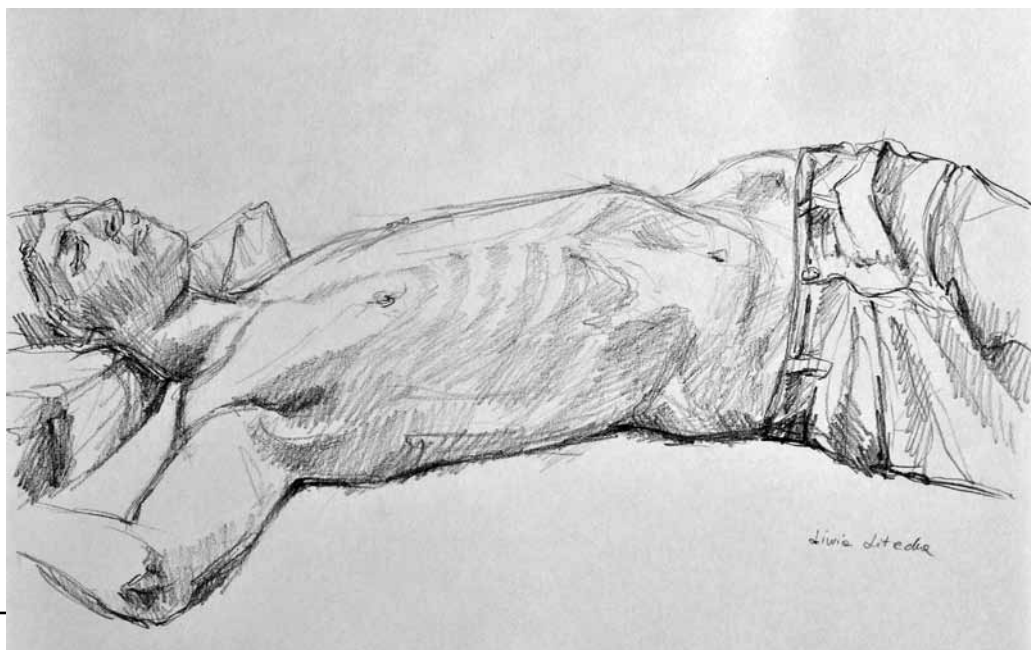
Marcin Mielcarek ma lekkie pióro, przez swój literacki świat prowadzi nas niezwykle swobodnie i z wycuciem. Dialogi brzmią naturalnie i mają swój rytm. Niejedna scena ma w sobie potencjał satyryczny, choć można go było, jak sądzę, wykorzystać pełniej. Utwór zyskałby wtedy „to coś”, ponieważ są miejsca, w których trochę trudno nam odgadnąć, po co powstała ta książka. Ale to niekoniecznie musi być zarzut – autor po prostu pisze, bo potrafi, a co więcej – potrafi to robić naprawdę dobrze, angażując nasze emocje i uwagę. Przy okazji, warto byłoby jeszcze przejrzeć tekst pod kątem drobnych stylistycznych usterek w rodzaju: „ubraliśmy buty”, „wydawała się być” czy „ciężko zapamiętać”.

W *Sztuce latania* znalazły się refleksje Karola o pisaniu: „[...] słowa tworzące zdania, zdania zamieniające się w życie”. Tym właśnie jest ta powieść: samym życiem, które dodatkowo zamienia się w spełnione marzenia. To przywilej młodości!

**Joanna Kapica-Curzytek**

---

Recenzja ukazała się w e-magazynie [www.esensja.pl](http://www.esensja.pl)



# KSIĄŻKI NADESŁANE



Stanisław Bryk, *Świat okiem estety*, sumptem autora, Zielona Góra 2022, 168 s.

Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, *„Pro Libris” Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne (2001-2021)*, Wydawnictwo Naukowe i Edukacyjne Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Warszawa 2022, 168 s.

Elżbieta Dybalska, *Pomimo*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2022, 72 s.

*Dzieje Żar do 1815 roku. Przeszłość zapisana w kamieniu i na papierze = Geschichte von Sorau bis 1815. Vergangenheit angehalten im Stein und auf dem papier*, red. L. Belzyt, Muzeum Pogranicza Śląsko-łuzyckiego w Żarach, 254 s.

Władysław Edelman, *Anomalie (humoreski i opowiadania)*, [b.w.], Zielona Góra 2022, 186 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Posypana wiatrem. Murki dla Ukrainy 2022 i inne wiersze = Dusted with wind. WALLS for Ukraine 2022 and other poems*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2022, 124 s.

*Gąsior. Jerzy Gąsior. Poeta i rzeźbiarz*, Stowarzyszenie Przyjaciół Gminy Santok „Pomocna Dłoń”, Santok 2021, 296 s.

Małgorzata Hellmann, *Droga z przekonania*, Hellmann Eurocolor, Zielona Góra 2022, 135 s.

Mirosław Kuleba, *Enografia mistyczna miasta Thalloris*, Pro Libris, Zielona Góra 2022, 172 s.

Adam Lizakowski, *Gdybym twą miłość miał Ameryko!*, Literary Waves Publishing, Londyn 2022, 92 s.

Zbigniew Łepkowski, *Pęknięta struna*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2022, 66 s.

Marcin Mielcarek, *Sztuka latania*, Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2022, 220 s.

*Ogrody = Gärten / Fundacja „Park Księcia Pücklera Bad Muskau”*, red. L. Głuchowska, Instytut Sztuk Wizualnych Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Zielonogórskiego, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2016, 102 s.

Edward Pasewicz, *Pulverkopf*, Wielka Litera, Warszawa 2021, 592 s.

Jerzy Prokopiuk, *Światłość i Radość*, red. K. Janczuk, Dom Wydawniczy Tchu, Warszawa 2022, 662 s.

Marcin Radwański, *Nożownik*, Wydawnictwo internetowe e-bookowo, [Będzin] 2022, 342 s.

Małgorzata T. Skwarek-Gałęska, *gorączka kameleona*, Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2022, 116 s.

Przemysław Słowiński, *W okowach niewoli. Polscy oficerowie w Oflagu II C Woldenberg podczas II wojny światowej*, Akademia im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wielkopolski 2021, 368 s.

# A AUTORZY NUMERU

## Jarosław Barańczak

Urodził się w 1951 roku w Wałbrzychu. Absolwent Politechniki Wrocławskiej (magisterium z budownictwa lądowego, następnie doktorat z nauk technicznych), ukończył także studia magisterskie z filologii polskiej. Pierwsze wiersze opublikował pod koniec lat 70. w zielonogórskim tygodniku „Nadodrze”. W latach 80. XX wieku zaangażowany w ruch odnowy. W 1989 roku zaangażował się w budowę nowej rzeczywistości. Pełnił funkcje parlamentarzysty i urzędnika państwowego, także jako dyplomata. Dużo poróżuje, słucha muzyki. Za tomik *Znak* otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki. Mieszka we Wrocławiu.

## Edward Derylak

Urodził się w 1953 roku w Harasiukach nad Tanwią. Prozaik. Autor powieści *Cień lasu* (2008), opowieści (z Tomaszem Lipowskim) *Czołgiści, czołgiści...* (2011), tomów opowiadań *Styro* (2004), *Wedelmann* (2014), *Historie niewyśnione* (2016), opowiadania *Per ardua ad astra* (2009). Współautor kilkunastu almanachów i antologii. Publikował w „Pro Libris”, „Aspektach”, „Temacie”, „Własnym Głosem”, „Filologii Polskiej”, „Na Winnicy”. Redaktor *Gawęd żagańskich* (2008) Adama Stawczyka, współredaktor książki-albumu *Dwudziesty dziewiąty w obiektywie* (2014). Laureat ponad 40. ogólnopolskich konkursów literackich. Wyróżniony w 2014 roku medalem „Za Zasługi dla Kultury w Wojsku Polskim”. Członek Związku Literatów Polskich i Grupy Literackiej „Dysonans” we Wrocławiu. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

## Andrzej Draguła

Urodził się w 1966 roku w Lubsku. Dr hab. teologii i publicysta. Kieruje Katedrą Teologii Praktycznej na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego, pracując na stanowisku profesora nadzwyczajnego US; pełni funkcję Przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk Teologicznych. Członek Komitetu Nauk Teologicznych Polskiej Akademii Nauk. Jest członkiem Rady Naukowej Laboratorium Więzi. Publikował m.in. w „Więzi”, „Rzeczpospolitej”, „W drodze” i „Tygodniku Powszechnym”. W 2018 został laureatem Nagrody Dziennikarskiej „Ślad” im. Biskupa Jana Chrapka. Autor wielu publikacji, m.in. *Eucharystia zmediatyzowana. Teologiczno-pastoralna interpretacja transmisji Mszy Świętej w radiu i telewizji*, *Ocalić Boga. Szkice z teologii sekularyzacji*, *Copyright na Jezusa. Język, znak, rytuał między wiarą a niewiarą*, *Bluźnierstwo. Między grzechem a przestępstwem*.



## **Władysław Edelman**

Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych na ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O Żółtą Szpilę”), Myslenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German), Małopolskiej Nagrodzie Poetyckiej „Źródło” i innych. Publikuje także w internetowym wydawnictwie MPK – Moja Przestrzeń Kultury. Wraz z Haliną Bohutą-Stapel i Aleksandrą Matusiak-Kujawską współtworzy Literacki Kabaret HALLO. Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego. Mieszka w Zielonej Górze.

## **Jolanta Fainstein-Pasternak**

Wywodzi się z Zielonej Góry. Pracuje jako adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim w Instytucie Neofilologii. Píše poezję, publikuje w czasopiśmie „Chidusz” i „Pro Libris”. Jest autorką zbioru *No pasaran!* (wyd. Papierowy Motyl). Jej debiutancki dramat pt. *mama ma szorstkie ręce* zakwalifikował się do ścisłej czołówki pierwszej edycji konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza zorganizowanego przez Teatr Miejski w Gliwicach.

## **Maria Fraszewska**

Absolwentka socjologii, psychologii oraz pedagogiki i coachingu. Zadebiutowała poetycko w 1990 roku („Gazeta Nowa”, „Goniec Pomorski”). Publikowała ponadto m.in. w „Tygodniku Literackim Śmigło”, „brulionie”, „Przedprozach”, „Radiowej Książce Poetyckiej”, „Na Winnicy”, „Pro Libris”, Piśmie Literacko-Artystycznym „Bezkrzes” oraz kilku antologiach. Od 2013 roku uczestniczy w programie unijnym Emulti-poetry: „Wiersze na murach”, Kraków Europejska Stolica Kultury UNESCO 2019. MURKI jej autorstwa znajdują się również w antologii *Wiersze na murach* – wybór z lat 2010-2020. Jest autorką dwunastu publikacji. Wykonywała pracę doradcy zawodowego, dziennikarki i nauczycielki oraz prowadziła własną firmę poradnictwa psychologicznego „Kraina Zmian”. Jej tomiki *Wio w snach* oraz *Płonące języczki* zostały wyróżnione nominacją do Wawrzynu Lubuskiego. W 2022 roku otrzymała dyplom uznania w konkursie Kobieta Roku Województwa Lubuskiego za działalność artystyczną i społeczną. Mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Wolontariacko współpracuje z Lubuskim Stowarzyszeniem na Rzecz Kobiet BABA. Należy do ZLP Oddział Zielona Góra.

## **Agnieszka Ginko**

Poetka, pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka książek dla dzieci, wyróżnionych w konkursach literackich oraz książek z zakresu animacji kulturalnej. Za twórczość dla dzieci otrzymała w 2015 roku Nagrodę Guliwer w Krainie Olbryzmów. Jej wiersze dla dorosłych oraz felietony ukazały się w polskich i brytyjskich czasopismach kulturalnych (m.in. „Opcje”, „Kresy”, „Fraza”, „Akant”, „Relacje-Interpretacje” i londyńskich „Arts Professional” i „The Wolf”) oraz w polskich i brytyjskich tomikach pokonkursowych. Mieszka w Zielonej Górze, należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Pracuje w zielonogórskiej WiMBP im. Cypriana Norwida.

## **Lidia Głuchowska**

Kierowniczka Pracowni Historii i Teorii Sztuki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Absolwentka polonistyki, animacji kultury i historii sztuki w Warszawie. Doktorat uzyskała na Uniwersytecie im. Humboldtów w Berlinie. Specjalizuje się w historii i teorii awangardy oraz modernizmu, w szczególności transgranicznej sieci kontaktów twórczych. Autorka czterech monografii i ponad stu artykułów oraz (współ)redaktorka 11 tomów zbiorowych, w tym *Malarz. Mentor. Mag. Otto Mueller a środowisko artystyczne Wrocławia* oraz *Nationalism and Cosmopolitanism in the Avant-Garde and Modernism. The Impact of WWI* (2022). Kuratorka ponad 20 wystaw modernizmu, awangardy i sztuki współczesnej, m.in. w Berlinie, Łodzi, Wrocławu.

wiu, Dreźnie, Lwowie i Belgradzie. Współorganizatorka międzynarodowych konferencji, m.in. w Scheersbergu, Canterbury, Sztokholmie, Helsinkach, Lizbonie, Wrocławiu i Pradze.

### **Julia Gwóźdź**

Rocznik 2001, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej ze specjalizacją pisanie kreatywne na Uniwersytecie Zielonogórskim. Od najmłodszych lat interesuje się różnorodną formą sztuki. Wiersze pisze od czasów gimnazjalnych, niektóre ukazały się w uczniowskich tomikach poezji. Marzy o wydaniu zbioru opowiadań oraz tomiku poezji. Jej największą inspiracją jest Edgar Allan Poe i to jego twórczości zawdzięcza miłość zarówno do poezji, jak i pisania.

### **Ryszard Jasiński**

Rzeźbiarz, pisarz. Autor nagrodzonej w Konkursie Literackim Uniwersytetu Gdańskiego (2003) powieści pt. *niewidzialna władza*, w której kontynuuje poszukiwania nowych form wypowiedzi artystycznej, nowych form ekspresji literackiej. Jest także autorem nowatorskiej powieści *wrota gomory*.

### **Berthold Oskar Kandora**

Historyk i prawnik prawa międzynarodowego i europejskiego, doktorant w Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta, pracownik Biura Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców.

### **Mirostław R. Kaniecki**

Urodził się w 1957 roku w Brodnicy. Krytyk literacki. Publikował m.in. w „Toposie”, „Pro Libris” i „Kotwicy”. Jako twórca aforyzmów debiutował na łamach „Karuzeli” w 1978 roku. Kilkakrotnie uczestniczył w ogólnopolskich konkursach im. Stanisława Jerzego Leca organizowanych przez Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu. W ósmej edycji tego konkursu zdobył drugą nagrodę. Swoje utwory publikuje również na łamach „Ziemi Michałowskiej”. Ostatnio wydał tomik aforyzmów pt. *Pchetki*.

### **Wiesław Karliński**

Dziennikarz, nauczyciel języków obcych, tłumacz przysięgły, wychowawca młodzieży społecznie niedostosowanej i pilot wycieczek. Dużo podróżuje, fotografuje i pisze. Opublikował ponad trzysta tekstów krajoznawczych, etnograficznych i kulinarnych opisujących pobyty w niemal czterdziestu krajach. Pisze także prozę – w 2022 roku został laureatem drugiej nagrody w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksztzy w Kargowej.

### **Elżbieta Brygida Kościucha-Wieczorek**

Poetka, prozatkorka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Autorka kilku tomików poetyckich (m.in. książka poetycka *W stronę praźródła* zilustrowana misternymi wycinankami Eriki Schirmer). Z zawodu nauczycielka, polonistka. Laureatka 6. Międzynarodowego Konkursu Literackiego „O Statuetkę Sowy Tuchówki 2015”. Zwycięzczyni 3. Zielonogórskiego Slamu Poetyckiego 2018.

### **Joanna Kapica-Curzytek**

Anglistka i pedagogka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów ([www.e-teatr.pl](http://www.e-teatr.pl)). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentką (wolontariuszka) e-magazynu kultury

„Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Interesuje się muzyką klasyczną oraz naukowym ujęciem problemów współczesnego świata. Kilka lat uczyła się śpiewu. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

### **Marek Krukowski**

Rocznik '80, zielonogórzanin, twórca awangardowego teatru, filozof, amator tenisa, a przede wszystkim autor *Udręczenia* nagrodzonego Srebrnym Sokolim Piórem za prozatorski debiut podczas Lubuskich Wawrzynów 2018 oraz powieści *Jamimój* nominowanej do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 2019.

### **Roman Krzywotulski**

Animator kultury, instruktor i pedagog teatru, reżyser związany z Żarskim Domem Kultury. Inicjator i organizator wielu projektów artystycznych (m.in.: Ż'ART Międzynarodowe Plenerowe Spotkania ze Sztuką, Akcje fotograficzne *24 sierpnia... w Żarach*, Międzynarodowe Plenery Malarstwa, Międzynarodowe Festiwale Muzyczne, konkursy recytatorskie i in.). Twórca amatorskiej grupy teatralnej pn. „Teatr Drewniana Kurytna”, z którą w latach 1978-2019 zrealizował kilkadziesiąt widowisk poetyckich, dramatycznych i plenerowych. Pasje teatralne realizował także jako prowadzący zajęcia na kierunku animacja w WSP w Zielonej Górze, następnie na UZ. Redaktor i autor wielu wydawnictw dotyczących wystaw, organizowanych przez ŻDK. Laureat wielu nagród lubuskich, krajowych i międzynarodowej. Honorowy Obywatel Gminy Żary. Od 2020 roku emeryt, nadal aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym regionu.

### **Elżbieta Kuna-Kwiecińska**

Rodowita sulechowianka. Absolwentka prawa i administracji na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. W 1998 roku wydała tomik poezji *Wyznania*. Przez długie lata mieszkała w Edynburgu, gdzie pracowała i rozwijała swoje twórcze pasje. Będąc na emigracji, w 2013 roku wydała tomik *Powracająca fala*, a w 2016 – *Krok do Aniołów*. Publikowała w „Gazecie Lubuskiej”. Współpracuje z ośrodkami kultury i szkołami, gdzie prezentuje swoją poezję, łącząc ją z działaniami teatralnymi, śpiewem i happeningiem. Organizuje wieczory autorskie. Teksty prozatorskie i reportaże zamieszcza w Biuletynie Miasta i Gminy Sulechów. Obecnie pracuje nad powieściami *Konfesjonat nie rozgrzesza* i *Anorexia od czerwonych porzeczek* oraz tomikiem poetyckim *Wyznania i wyzwania*.

### **Eugeniusz Kurzawa**

Poeta, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca; absolwent WSP w Zielonej Górze, wieloletni dziennikarz „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (obecnie honorowy prezes oddziału zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Wraz z żoną Lidią prowadzi pod Zieloną Górą „Ogród sztuk”, gdzie organizowane są wystawy plastyczne, fotograficzne, spotkanie literackie, teatralne. Autor kilkunastu tomików poezji, redaktor prac monograficznych, legend i opracowań redakcyjnych.

### **Adam Lizakowski**

Urodził się w 1956 roku w Dzierżonowie. Tłumacz, poeta i fotograf, instruktor teatralny. Od 1981 roku przebywał na emigracji (Austria, USA). Mieszkał w San Francisco, następnie przeniósł się do Chicago. Debiutował na łamach „Tygodnika Kulturalnego” wydawanego w Warszawie. Na emigracji publikował w wielu piśmiech Polonii amerykańskiej. Jest członkiem redakcji miesięcznika „Życie Kolorado” wydawanego w Denver w stanie Kolorado. W 1988 roku dzięki rekomendacji Czesława Miłosza wiele jego wierszy ukazywało się na łamach paryskiej „Kultury” oraz w „Tygodniku Powszechnym”. Jego twórczość była tłumaczona na języki:

angielski, rosyjski, niemiecki, francuski, litewski, hebrajski, chiński, ukraiński, hiszpański i białoruski. Współzałożyciel grup poetyckich „Krak” w Los Angeles – San Francisco oraz „Niezapłacony Rent” w Chicago. Redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Razem” wydawanego w San Francisco (1986-1989), kwartalnika poetyckiego „Dwa Końce Języka” (1993-1996) w Chicago. W Polsce współpracuje z „Zeszytami Poetyckimi” oraz „Rocznikiem Dzierżonowskim”. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich od 1993 roku. Tłumacz poezji amerykańskiej. Od wielu lat promotor kultury polskiej za granicą, organizator spotkań literacko-artystycznych od San Francisco po Chicago. W 2016 roku, po 35 latach emigracji w Ameryce, powrócił na stałe do ojczyzny.

### **Władysław Łazuka**

Urodził się w 1946 roku w Tyrawie Solnej koło Sanoka. Ukończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. W 1969 roku debiutował opowiadaniem *Dzień Starego* na antenie Polskiego Radia w Szczecinie oraz wierszami w szczecińskim kwartalniku kulturalnym „Vineta”. Członek Związku Literatów Polskich od 1984 roku. Autor kilku tomików poetyckich, m.in. *Przejdę sad, Tamto wszystko za tobą, Czytanie z natury, Bliżej o jeden dzień, Idę, Od przebiśniegów do płatków śniegu*. Mieszka i tworzy w Choszcznie.

### **Barbara Maculewicz**

Urodziła się w 1989 roku. Historyk sztuki, absolwentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W latach 2012-2013 pracownik Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim, a od 2021 roku zatrudniona w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. W ramach pracy zawodowej realizuje m.in. projekty edukacyjne. W polu jej zainteresowań pozostaje współczesna architektura teatralna oraz polskie malarstwo modernistyczne.

### **Paweł Markiewicz**

Urodził się w 1983 roku. Prawnik i germanista. Z upodobaniem tworzy haiku, które pisze po niemiecku (w Niemczech, Austrii i Szwajcarii), także po angielsku (w Indiach, Australii, Japonii, Kanadzie, USA, Chorwacji). Do numeru „Pro Libris” dostarczył wiersze w języku ojczystym.

### **Anna Madaj**

Studentka filologii polskiej i angielskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Swój wolny czas poświęca na poszerzanie wiedzy z zakresu literatury, popkultury i korekty tekstów. Realizuje się również jako grafik, copywriter i tłumacz.

### **Marcin Mielcarek**

Urodził się w 1996 roku. Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego (kierunek literatura popularna i kreacje światów gier). Wywodzi się spod Kalisza, z miejscowości Plewnia. Prozaik, autor wydanego w 2021 roku zbioru opowiadań *Parada myśli nocnych* oraz powieści *Sztuki latania* (2022), fan piłki nożnej i motoryzacji, głównie w szwedzkim wydaniu.

### **Ewa Mielczarek**

Urodziła się w 1961 roku w Gnieźnie. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego (nauki polityczne oraz bibliotekoznawstwo i informacja naukowa). Starszy kustosz, redaktor, kierownik Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, jurorka konkursów literackich. Sekretarz redakcji pisma literacko-kulturalnego „Pro Libris”. W latach 1999-2004 szefowa wydawnictwa Art-Druk Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze.

### **Małgorzata Mikołajczak**

Prof. zw. dr hab., kierownik Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego i kierownik studiów doktoranckich w dyscyplinie literaturoznawstwo, członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Koziół i Zbigniewa Herberta, redaktor naukowy serii „Nowy regionalizm w badaniach literackich”. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich.

### **Weronika Nawrocka**

Studiuje filologię polską oraz filologię angielską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi konto na Instagramie, gdzie publikuje swoje recenzje książek (@weronika\_nawrocka). Wolny czas spędza, pijąc kawę, słuchając starego rocka oraz czytając szeroko pojętą literaturę piękną i klasyczną.

### **Katarzyna Nowak-Szelejewska**

Psycholog, psychoterapeutka, prozatkorka. Mieszka i pracuje w Stalowej Woli. Laureatka trzeciej nagrody w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej.

### **Marek Pankowski**

Lekarz, doktor nauk medycznych z zakresu medycyny sądowej. Mieszka w Legionowie. W latach 1986-2019 zajmował się dziećmi i młodzieżą z rodzin ubogich i dotkniętych patologią społeczną w ramach Polskiego Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii. Jego pasją jest tropienie zagadek historycznych i politycznych. Uwielbia literaturę, w szczególności poezję, filmy i dokumenty historyczne.

### **Grzegorz Pełczyński**

Prozaik, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego (Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej, Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych). W centrum jego zainteresowań badawczych znajduje się problematyka etniczna (mniejszości narodowe – Ormianie i Karaimi), kwestia tożsamości narodu, Kresy Wschodnie, diaspora ormiańska, problematyka religijna (judaizm, chrześcijaństwo wschodnie, protestantyzm ewangelikalny), a także kino, literatura, literatura popularna.

### **Anna Polak**

Doktor nauk humanistycznych, znawczyni historii Łużyc wschodnich Dolnych i Górnych, szczególnie kwestii dotyczących społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Jednym z bardziej znaczących przedsięwzięć był projekt „Dolne Łużyce i południowa część województwa lubuskiego. Krajobraz kulturowy w centrum Europy”, realizowany przez Uniwersytet Zielonogórski i Brandenburski Uniwersytet Techniczny w Cottbus, a wspierany ze środków Unii Europejskiej. Dwukrotna stypendystka programu Erasmus. Pasjonatka fotografii i zdrowego stylu życia. Jest autorką wystaw fotograficznych oraz zdjęć do wielu książek. Wielbicielka turystyki i zwierząt. Obecnie pracuje jako adiunkt w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach.

### **Agnieszka Rautman-Szczepeńska**

Z zawodu lekarz, specjalista medycyny rodzinnej. Z zamiłowania poetka, pisarka, rysownicza. Mieszka i pracuje w Szwecji.

### **Paweł Rogalski**

Prozaik wywodzący się z Fajstawic. Laureat pierwszej nagrody w 23. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej.

### **Robert Rudiak**

Urodził się w 1966 roku, poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, wcześniej był prezesem stowarzyszenia kulturalnego „Debiut”. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych w kraju i za granicą.

### **Czesław Sobkowiak**

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu koło Wolsztyna. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim. Współpracował m.in. z „Odrą”, „Nadodrzem”, „Gazetą Lubuską”, „Kroniką Ziemi Żarskiej”. Debiutował wierszem w „Nadodrze” w 1967 roku. Autor ponad dwudziestu tomów poezji, kilku almanachów poetyckich. Laureat wielu prestiżowych nagród. Mieszka w zielonogórskiej Zawadzie.

### **Anna Viviana Szewczuk**

Urodziła się w 1967 roku w Sulechowie. Ukończyła studia polonistyczne i rusycystyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Prowadziła firmę wydawniczą. Debiutowała wierszem w Radiowej Książce Poetyckiej na antenie „Radia Zachód” w 1995 roku. Należy do Związku Literatów Polskich od 2002 roku. Mieszka w Zielonej Górze. Wydała kilka zbiorów wierszy oraz zbiór aforyzmów i sentencji. Twórczość A.V. Szewczuk znalazła się także w licznych publikacjach zbiorowych, w książkach recenzenckich, tomikach konkursowych i publikacjach prasowych.

### **Mirosława Szott**

Urodziła się w 1987 roku w Międzyrzeczu, obecnie mieszka w Zielonej Górze. Doktor nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku, Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie.

### **Henryk Warszawski**

Entuzjasta historii, krajoznawstwa, sportu; miłośnik literatury, w szczególności twórczości lubuskiej. Zawodowo zajmował się rehabilitacją ludzi niepełnosprawnych. Sympatyk biegania, czynny maratończyk odnoszący na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku spektakularne sukcesy sportowe. Od kilkudziesięciu lat przebywa w Niemczech.

### **Joanna Wawryk**

Doktor nauk humanistycznych, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autorka monografii *Wokół Leśmianowskich baśni dla dzieci* (Wrocław 2013). Jej zainteresowania naukowe obejmują polską literaturę współczesną, literaturę dla dzieci i młodzieży oraz przekształcenia baśni w współczesnych tekstach kultury.

## Dariusz Wojciechowski

Absolwent filozofii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Poeta, fotograf. Borykając się z poważną chorobą wzroku, wciąż tworzy i publikuje. Pracownik fundacji „Szansa. Jesteśmy razem”.

## Irena Zielińska

Urodziła się w Gorzowie Wielkopolskim. Poetka, eseistka, autorka tekstów piosenek, malarka. Członek Związku Literatów Polskich. Debiutowała we wrocławskiej „Odrze” w 1977 roku. Od 1983 roku związana z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury w Gorzowie. Uczestniczka Ogólnopolskich Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach i Garbiczu, laureatka licznych konkursów poetyckich. Wydała książki poetyckie: *Oceania Irenejska* (1998), *Naga rzeka* (2003, wyróżniona dyplomem dla najładniej wydanej książki w województwie lubuskim), *Przytapania na istnieniu* (2011), *Przepraszam za wiersze* (2021). Należy do gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Stała się bohaterką nagradzanego dokumentalnego filmu pt. *Zbliżenie* Piotra Wysockiego (2008), od 2012 roku współpracuje z kompozytorem Andrzejem Zaryckim (Piwnica pod Baranami). W 2012 roku otrzymała odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej.



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

Dyskusyjne Kluby Książki

Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich  
Oddział w Zielonej Górze

PROZA POETÓW

# 12. FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ



3 listopada, godz. 18.00  
**JACEK PODSIADŁO**

10 listopada, godz. 18.00  
**ZBIGNIEW ROKITA**

14 listopada, godz. 18.00  
**PROF. JERZY BRALCZYK**

16 listopada, godz. 18.00  
**CZYTELNIA DRAMATU  
ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ**

17 listopada, godz. 18.00  
**MARTA GRZYWACZ**

19 listopada, godz. 17.00  
**GALA PROZY POETÓW  
GOŚĆ ŁUKASZ MACIEJEWSKI  
KONCERT/MILENA WROCZYŃSKA,  
PAWEŁ KIELER**

21 listopada, godz. 18.00  
**ZIELONOGÓRSKI  
PRZEGLĄD POETYCKI MIŁOŚĆ**

23 listopada, godz. 18.00  
**MIROSLAW KULEBA**

24 listopada, godz. 18.00  
**KAMILA JANIAK**

1 grudnia, godz. 18.00  
**ANTOLOGIA DRAMATU LUBUSKIEGO**

KURATOR PROGRAMOWY FESTIWALU ANDRZEJ BUCK

PRO LIBRIS CAFÉ, SALA IM. JANUSZA KONIUSZA, AL. WOJSKA POLSKIEGO 9

[informacja@biblioteka.zgora.pl](mailto:informacja@biblioteka.zgora.pl)

[www.biblioteka.zgora.pl](http://www.biblioteka.zgora.pl)

[fb.com/biblioteka.norwida](https://fb.com/biblioteka.norwida)

[fb.com/literacki.norwid](https://fb.com/literacki.norwid)

**3 LISTOPADA – 1 GRUDNIA 2022, ZIELONA GÓRA**

NOR  
WID

SBP



Ministerstwo  
Kultury  
Dziedzictwa  
Narodowego



DKK



Lubuskie  
Województwo



Dofinansowano ze środków Instytutu Książki pochodzących z dotacji celowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zrealizowano przy pomocy finansowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego oraz Miasta Zielona Góra



WOJEWÓDZKA i MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
im. CYPRIANA NORWIDA w ZIELONEJ GÓRZE

# DEBIUT PRO LIBRIS

VI edycja

## PRACE LITERACKIE:

- poezja - 30-40 wierszy
- proza - 20-50 str.
- dramat - 20-50 str.

TERMIN ZGŁOSZEŃ - 15.03.2023

OGŁOSZENIE LAUREATÓW -  
do 20.08.2023



## NAGRODA GŁÓWNA:

publikacja książek laureatów (jeden laureat w każdej kategorii wiekowej)

## KATEGORIE WIEKOWE:

- 15-25 lat
- 26 lat i więcej

Konkurs jest skierowany do osób przed debiutem książkowym, wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie.

szczegółowy regulamin  
[www.biblioteka.zgora.pl](http://www.biblioteka.zgora.pl)

BIBLIOTEKA  
NOR  
WID

PRO  
LIBRIS

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze  
Dyskusyjne Kluby Książki  
Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Oddział w Zielonej Górze

Proza Poetów

# 12. Festiwal Literacki

im. Anny Tokarskiej



## Konkurs na interpretację wiersza Anny Tokarskiej

### CZEKAMY NA TEKSTY:

- będące próbą interpretacji jednego z dwóch debiutanckich wierszy Anny Tokarskiej
- o objętości od 1 do 2 stron A4

### WYNIKI:

- 15.12.2022, godz. 18.00
- autorzy wybranych tekstów zostaną poproszeni o ich zaprezentowanie

### ZGŁOSZENIA:

- osoby 18+
- na adres: [m.szott@biblioteka.zgora.pl](mailto:m.szott@biblioteka.zgora.pl)
- tekst + formularz do 1.12.2022

### NAGRODA:

- 500 zł
- dyplom
- publikacja w PRO LIBRIS

Szczegółowy regulamin na stronie [www.biblioteka.zgora.pl](http://www.biblioteka.zgora.pl)

Województwo  
LUBUSKIE  
NORWID

SBP  
Stowarzyszenie  
Bibliotekarzy  
Polskich

Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego

DKK  
Dobry Książki

DKK  
Dobry Książki

Lubuskie  
Województwo

Województwo  
Lubuskie

Województwo  
Lubuskie

Dofinansowanie ze środków Instytutu Książki pochodzących z dotacji celowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zrealizowano przy pomocy finansowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego oraz Miasta Zielona Góra





Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO  
LIBRIS